



GAYLE FORMAN

zostań, jeśli kochasz

FILM W KINACH

Nareszcie... Na zawsze.....

7:09

Wszyscy uważają, że winien był śnieg. I w pewnym sensie to prawda.

Rano budzę się i widzę biały puch, pokrywający trawnik przed domem niczym cienki koc. Nie ma nawet trzech centymetrów grubości, ale w tej części Oregonu wystarczy, że poproszy, a cały okrąg staje, jedyny zaś pług śnieżny budzi się do życia i oczyszcza drogi. To, co spada z nieba – kap, kap, kap – to woda w płynnej, niezamarzniętej postaci.

Śniegu jest akurat tyle, żeby zamknięto szkoły – w tym moje liceum oraz gimnazjum Teddy'ego. Mój młodszy braciszek wydaje okrzyk wojenny, gdy radio oznajmia, że lekcje zostały odwołane. – Śniegowy dzień! – wrzeszczy. – Tato, chodź lepić bałwana! Tato uśmiecha się i wystukuje fajkę. Zaczął palić niedawno; to jeden z elementów jego retrofiola na punkcie lat pięćdziesiątych, *à la* film *Father Knows Best*. Zaczął nawet nosić muszki. Tak naprawdę nie wiem, czy to powierzchowna moda, czy wyraz autoironii: może w ten sposób tato oznajmia, że dawny punk skończył (o ironio) jako nauczyciel angielskiego w gimnazjum, ale może też dawać do zrozumienia, że kariera zmieniła go w prawdziwy relikwyt przeszłości. Mimo to lubię zapach jego tytoniu. Jest słodkawy i dymny, przywołuje na myśl zimę i drewno płonące w kominku.

– Śmiało, do dzieła! – mówi tato do Teddy'ego. – Tylko że ten śnieg ledwo się trzyma drogi. Może powinieneś ulepić amebę. Widzę, że brat jest szczęśliwy. Mama, która pracuje w biurze podróży w miasteczku, wyłącza radio i nalewa sobie drugi kubek kawy.

– Ha, skoro wszyscy dzisiaj wagarujecie, nie ma mowy, żebym ja poszła do pracy. To by była zwyczajna niesprawiedliwość. Sięga po telefon. Po chwili kończy rozmowę i patrzy na nas.

– Zrobić śniadanie?

Oboje z tatą równocześnie wybuchamy śmiechem. Mama umie przyrządzić owsiankę i grzanki. To tato jest domowym kucharzem. Mama udaje, że nie słyszała, i sięga do szafki po pudełko naleśników w proszku.

– Litości. Przecież to żadna filozofia. Kto ma ochotę na naleśniki?

– Ja! Ja! – krzyczy Teddy. – A możesz zrobić z kawałkami czekolady?

– Oczywiście, czemu nie – odpowiada mama.

– Juhuu! – woła mały, machając rękami w powietrzu.

– Masz stanowczo za dużo energii jak na tak wczesną porę – drażnię się z nim.

Odwracam się do mamy. – Może nie powinnaś mu dawać tyle kawy.

– Przetawiałam go na bezkofeinową – ripostuje mama. – To naturalna żywiołowość.

– Tylko nie próbuj przestawić na bezkofeinową MNIE – ostrzegam.

– To by podpadało pod znęcanie się nad dziećmi – wtrąca tato. Mama podaje mi parujący kubek i gazetę.

– Widziałam tu niezłą fotkę twojego młodego przyjaciela – mówi.

– Naprawdę? Zdjęcie?

– Aha. Pierwszy raz od lata miałam okazję mu się przyjrzeć – dodaje mama i zerka na mnie z ukosa, unosząc brew. Jest to spojrzenie sięgające głębi duszy.

– Wiem – odpowiadam, a potem wzdycham mimo woli. Kapela Adama, Shooting Star, zaczyna robić karierę, co jest świetną sprawą... w zasadzie.

– Ach, sława, cóż po niej młodym – ironizuje tato, ale z uśmiechem. Wiem, że cieszy się z sukcesu Adama. Jest wręcz z niego dumny.

Przerzucam strony gazety, aż natrafiam na najświeższe wydarzenia. Znajduję maleńką notkę o Shooting Star i jeszcze mniejsze zdjęcie czworga członków zespołu, a obok sążnisty artykuł o Bikini i wielką fotę ich frontmanki, punkrockowej diwy Brooke Vegi. Fragment na temat Shooting Star w zasadzie sprowadza się do informacji, że miejscowa kapela wystąpi jako support w czasie portlandzkiego odcinka krajowej trasy Bikini. Nie ma nawet wzmianki o znacznie ważniejszej dla mnie sprawie: że ubiegłego wieczoru Shooting Star okazała się prawdziwym wydarzeniem w Seattle, a jeśli wierzyć SMS-owi, którego dostałam o północy od Adama, sala była pełna.

– Wybierasz się dzisiaj? – pyta tato.

– Tak planowałam. Chyba że cały okręg stanie z powodu śniegu.

– To już niemal zadymka – ironizuje ojciec, wskazując samotny płatek śniegu opadający na ziemię.

– Mam też próbę z jakąś pianistką z college’u, którą wynalazła profesor Christie.

Profesor Christie, emerytowana wykładowczyni muzyki, pod której kierunkiem pracuję od paru lat, ciągle wyszukuje nieszczęśników, z którymi mogłabym pograć.

– Dzięki temu zachowasz formę, żebyś mogła pokazać tym snobom z Juilliard School, jak się to robi – mawia.

Jeszcze się nie dostałam do Juilliard, ale przesłuchanie poszło mi naprawdę niezłe. Suita Bacha i Szostakowicza płynęły jak nigdy wcześniej; jak gdyby moje palce stały się przedłużeniem smyczka i strun. Kiedy skończyłam i stałam, zdyszana, na nogach trzęsących się od mocnego zaciskania kolan, jeden z członków komisji zaklaskał parę razy, co chyba nie zdarza się często. Wychodziłam, potykając się o własne stopy, a ten sam mężczyzna napomknął, że minęło sporo czasu, odkąd w szkole „widziano prostą dziewczynę z Oregonu”. Profesor Christie uznała to za gwarancję przyjęcia. Ja nie byłam o tym przekonana... ani też na sto procent pewna, czy tego właśnie bym chciała. Zarówno niespodziewany sukces Shooting Star, jak i przyjęcie mnie do Juilliard stworzyłyby komplikacje, a ściślej mówiąc: spiętrzyłyby te, które narosły w ciągu ostatnich paru miesięcy.

– Potrzebuję więcej kawy. Ktoś jeszcze ma ochotę? – pyta mama, stając nade mną ze starożytnym perkolatorem¹.

Wciążam zapach – aromatycznego, czarnego jak smoła, oleistego francuskiego naparu, jaki wszyscy lubimy najbardziej. Już on stawia mnie na nogi.

– Ja chyba się prześpię – odpowiadam. – Wiolonczelę

zostawiłam w szkole, więc i tak nie mogę poćwiczyć.

– Nie będziesz ćwicyć? Przez dwadzieścia cztery godziny?

Milcz i nie krwaw, serce – żartuje mama. Chociaż z biegiem lat polubiła muzykę poważną („To jak zacząć doceniać cuchnący ser”), nie zawsze była wdzięczną słuchaczką moich niekończących się prób.

Nagle słyszę dobiegający z piętra trzask i huk – Teddy wali w perkusję. Należała do taty, który dawno temu pracował w sklepie muzycznym i grywał w słynnej w naszym miasteczku, ale nieznannej nigdzie indziej kapeli.

Tato szczerzy się w uśmiechu, słysząc łomot, a ja czuję znajome ukłucie. To głupie, wiem, ale ciągle się zastanawiam, czy nie jest rozczarowany, że nie zostałam rockmanką.

Naprawdę chciałam. Do czasu aż w trzeciej klasie, na lekcji muzyki, podeszłam przypadkiem do wiolonczeli – wyglądała prawie jak człowiek. Wydawało mi się, że jeśli na niej zagram, zdradzi mi jakąś tajemnicę – więc zaczęłam grać. Od tamtego dnia minęło niespełna dziesięć lat, a ja wciąż nie przestałam.

– To tyle, jeśli chodzi o drzemkę! – woła mama, przekrzykując hałas.

– No i co powiecie, śnieg już topnieje – zauważa tato, pykając z fajki. Podchodzę do kuchennego wyjścia i wysuwam na zewnątrz czubek nosa. Przez chmury przebił się promień słonecznego światła; niemal słyszę, jak topnieje lód. Zamykam drzwi i wracam do stołu.

– Władze okręgu chyba przedobrzyły – stwierdzam.

– Być może. Ale nie mogą „ododwołać” szkoły. Mleko się rozlało, a ja już wzięłam wolny dzień – mówi mama.

– W rzeczy samej. Możemy jednak wykorzystać ten nieoczekiwany dar niebios i gdzieś się wybrać – proponuje tato. – Na przejażdżkę. Odwiedzić Henry’ego i Willow.

Henry i Willow to starzy kumple rodziców z czasów wspólnego grania, którzy także zdecydowali się na dziecko i postanowili zacząć się zachowywać jak dorośli. Mieszkają w wielkim starym domu na farmie. Henry projektuje coś w necie w swoim biurze (dawnej stodole), a Willow pracuje w pobliskim szpitalu. Mają malutką córeczkę – prawdę mówiąc, to ona jest prawdziwym powodem, dla którego rodzice chcą tam pojechać. Teddy właśnie skończył osiem lat, a ja mam siedemnaście, co znaczy, że czasy, gdy wydawaliśmy podobny do mleka zapach, od którego dorośli zupełnie się rozklejają, to odległa przeszłość.

– W drodze powrotnej możemy zajrzeć do Szopy z Książkami

– kusi mnie mama. Szopa to ogromny, zakurzony stary antykwariat.

W głębi leży hałda płyt z muzyką poważną po dwadzieścia pięć centów; wygląda, jakby nikt prócz mnie ich nie kupował. Cały ich stos trzymam pod łóżkiem – kolekcją muzyki poważnej raczej nie wypada się chwalić.

Pokazałam je Adamowi, ale dopiero po pięciu miesiącach chodzenia. Sądziłam, że mnie wyśmiej. To taki wyluzowany gość z subtelnymi tatuażami, w rurkach, czarnych trampkach i zwyczajnych znoszonych punkrockowych T-shirtach. Typ faceta, który zdecydowanie nie powinien być z kimś takim jak ja. Właśnie dlatego, kiedy dwa lata temu pierwszy raz go przyłapałam, jak mi się przygląda w studiu muzycznym w szkole, byłam przekonana, że

się ze mnie nabija, i zaczęłam go unikać. Tak czy inaczej mnie nie wyśmiał. Okazało się, że sam ma pod łóżkiem zakurzoną kolekcję płyt z punk rockiem.

– Możemy też wpaść do babci i dziadka na wczesną kolację – wtrąca tato i już sięga po telefon. – Zdamy wrócić i jeszcze zostanie mnóstwo czasu, żeby cię odstawić do Portland – dodaje, wystukując numer.

– Wchodzę w to – odpowiadam.

Nie z powodu przynęty w postaci Szopy z Książkami ani faktu, że Adam jest w trasie, ani tego, że moja najlepsza kumpela Kim jest zajęta uzupełnianiem szkolnej kroniki. Nawet nie dlatego, że wiolonczela została w szkole. Szczerze mówiąc, od oglądania telewizji lub drzemki wolę wyjście z rodzicami i bratem. To kolejna rzecz, którą nie należy się chwalić, a którą Adam też rozumie.

– Teddy! – woła tato. – Ubieraj się. Przygoda wzywa.

Brat kończy solówkę na perkusji uderzeniem w talerze. Chwilę później wpada do kuchni w kompletnym rynsztunku, jak gdyby wciągał na siebie ubranie, pędząc po stromych kręconych schodach naszego pełnego przeciągów, wiktoriańskiego domu.

– *School's out for summer...* – nuci.

– Alice Cooper? – pyta tato. – Czy ty nie masz żadnych zasad?

Śpiewaj przynajmniej Ramonesów.

– *School's out forever...* – zawodzi Teddy, zagłuszając protesty.

– Wieczny optymista – komentuję.

Mama się śmieje. Stawia na stole talerz nadwęglonych naleśników.

– Jedz, rodzinno.

8:17

Pakujemy się do samochodu, przerdzewiałego buicka, który był już stary, kiedy babcia podarowała nam go po narodzinach Teddy'ego. Mama i tato proponują, żebym prowadziła, ale odmawiam. Tato wślizguje się za kierownicę. Lubi prowadzić. Przez lata nie chciał zrobić prawa jazdy i upierał się, że będzie wszędzie jeździł rowerem. W czasach, kiedy grał w zespole, kumple z kapeli zasiadali za kółkiem podczas wspólnych wyjazdów w trasę, kręcąc nosem na jego pomysły. Mama nie ograniczyła się do tego. Zrzędziła, przypochlebiała się, czasami wrzeszczała, by zdał egzamin, choć tato i tak twierdził, że woli polegać na energii własnych mięśni. „W takim razie lepiej zacznij budować rower, który pomieści trzyosobową rodzinę, i to tak, żeby nie zmokła w czasie deszczu” – oznajmiła stanowczo. Na to tato wybuchnął śmiechem i odpowiadał, że coś wykombinuje.

Kiedy jednak mama była w ciąży z Teddym, uparła się na poważnie. „Dość” – powiedziała. I tato najwyraźniej zrozumiał, że żarty się skończyły. Przestał się spierać i zdał egzamin na prawo jazdy. Wrócił też na studia i zrobił kurs nauczycielski.

Podejrzewam, że z jednym dzieckiem życie w stylu wiecznego nastolatka było okej, ale przy dwojgu należało dorosnąć. Przyszła pora sięgnąć po muszkę.

Dzisiaj rano też ją włożył, a do tego cętkowaną sportową kurtkę i staroświeckie półbuty z niebarwionej skóry.

– Gotowy na wielki mróz, jak widzę – rzucam.
– Jestem jak urzędnik poczty – odpowiada tato, zdrapując z wozu śnieg jednym z plastikowych dinozaurów Teddy’ego, które ponieważ się po trawniku. – Ani śnieg z deszczem, ani ulewa, ani nawet centymetrowa warstwa śniegu nie zmuszą mnie, żebym się przebrał za drwala.

– Hej, w mojej rodzinie byli drwale – ostrzega mama. – Proszę się nie wyśmiewać z biednych białych pracowników leśnych!

– Nigdy bym się nie ośmielił – broni się tato. – Chodziło mi wyłącznie o kontrast stylistyczny.

Musi parę razy przekręcić kluczyk w stacyjce, zanim samochód kaszlnięciem oznajmi gotowość do jazdy. Jak zwykle następuje walka o władzę nad odtwarzaczem stereo. Mama chce słuchać radia, tato woli Franka Sinatrę, Teddy – grupę SpongeBob SquarePants, a ja chcę coś klasycznego, ale jako jedyna wielbicielka muzyki poważnej w rodzinie jestem gotowa na kompromis w postaci Shooting Star.

Tato wypracowuje konsensus.

– Biorąc pod uwagę, że nie ma dzisiaj szkoły, powinniśmy posłuchać przez chwilę wiadomości, żeby się nie pograć w ignorancji.. – Sądzę, że poprawnie będzie „nie popaść w ignorancję” – przerywa mama.

Tato przewraca oczami, ścisza jej dłoń i odchrząkuje po belfersku.

– Jak zatem mówiłem, najpierw newsy, a kiedy się skończą, stacja z muzyką poważną.

Teddy, nie będziemy cię tym katować. Możesz wziąć discmana – ciągnie, odłączając przenośny odtwarzacz podpięty do samochodowego radia. – Ale w moim wozie Alice Cooper jest zabroniony. Kategorycznie! – Sięga do schowka na rękawiczki, żeby sprawdzić, co się tam znajduje. – Co powiesz na Jonathana Richmana?

– Chcę SpongeBoba, jest w środku! – woła Teddy, podskakując i pokazując discmana.

Naleśniki z kawałkami czekolady oblane syropem najwyraźniej jeszcze zwiększyły jego chorobliwe podniecenie.

– Synu, ranisz mi serce – żartuje tato. Oboje z Teddym zostaliśmy wychowani na głupiutkich melodyjkach Jonathana Richmana, muzycznego ulubieńca mamy i taty.

Zaraz po dokonaniu muzycznych wyborów ruszamy w drogę. Na szosie gdzieś widać łąty śniegu, ale przeważnie nawierzchnia jest jedynie mokra. Nic dziwnego, znajdujemy się przecież w Oregonie, a tutejsze trasy zawsze są wilgotne. Mama żartowała kiedyś, że prawdziwe kłopoty pojawiają się, kiedy drogi wyschną: „Kierowcy zaczynają kozaczyć, zapominają o ostrożności i jeżdżą jak wariaci. Gliniarze nie nadążają wydawać mandatów za przekroczenie szybkości”.

Opieram głowę o szybę i patrzę na kalejdoskopowy żywy obraz z ciemnozielonych jodeł przysypanych śniegiem, wiotkich pasm białej mgły i ciężkich, ołowianych burzowych chmur w górze. W samochodzie jest tak ciepło, że okna ciągle parują; rysują na szybie zawijasy.

Wiadomości się kończą i przełączamy na stację klasyczną.

Słyszę pierwsze takty *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena –

utworu, nad którym miałam pracować dzisiejszego popołudnia. Wygląda to na jakiś kosmiczny zbieg okoliczności. Koncentruję się na nutach, wyobrażając sobie, że gram, wdzięczna za okazję do ćwiczenia; szczęśliwa, że znajduję się w ciepłym samochodzie z moją sonatą i rodziną. Zamykam oczy.. Nikt by się nie spodziewał, że po czymś takim radio będzie dalej grać. A jednak.. Samochód został dosłownie unicestwiony. Uderzenie czterotonowej ciężarówki sunącej z prędkością stu kilometrów na godzinę, która wbiła się w nasz wóz od strony pasażera, miało impet bomby atomowej. Wyrwało drzwi, wyrzuciło przedni fotel auta przez okno po stronie kierowcy. Wydarło podwozie, które zatrzymało się do góry kołami w poprzek szosy, i rozdarło silnik na strzępy niczym pajęczynę. Koła i kołpaki odrzuciło głęboko w las. Zapaliło szczątki zbiornika na paliwo, tak że teraz maleńkie płomienie liżą wilgotny asfalt.

Hałas był ogłuszający. Symfonia zgrzytów, chór trzasków, aria eksplozji i na koniec wątle okłaski hartowanego metalu wbijającego się w miękkie pnie drzew. Potem zrobiło się cicho, nie licząc jednego: nadal rozbrzmiewającej *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena. Samochodowe radio jakimś cudem pozostało podłączone do akumulatora i transmisja trwa bez zakłóceń w znów niepozornie spokojny lutowy poranek. Początkowo sądzę, że wszystko jest okej. Przede wszystkim nadal słyszę Beethovena.

Poza tym stoję w przydrożnym rowie. Spoglądam w dół – dżinsowa spódnica, kardigan i czarne buty, które włożyłam rano, wyglądają tak samo jak wtedy, kiedy wychodziłam z domu. Wspinam się na nasyp, żeby lepiej widzieć samochód. To już nawet nie samochód. To metalowy szkielet bez foteli, bez pasażerów. Czyli członkowie mojej rodziny musieli zostać z niego wyrzuceni podobnie jak ja. Otrzepuję dłonie o spódnicę i wchodzę na szosę, żeby ich odszukać.

Najpierw dostrzegam tatę. Nawet z odległości paru metrów widzę wybrzuszenie – fajkę w kieszeni marynarki. „Tato!” – wołam, ale kiedy się zbliżam, nawierzchnia drogi staje się śliska i pokryta szarymi grudkami podobnymi do kalafiora. Od razu wiem, co to jest, ale jakimś sposobem nie potrafię tego skojarzyć z moim ojcem. Przypominają mi się zasłyszane opowieści o tornadach i pożarach, które spustoszyły jeden dom, lecz sąsiedni pozostawiły nietknięty.

Fragmenty mózgu mojego ojca leżą na asfalcie. Ale fajka pozostała w lewej górnej kieszeni marynarki.

Potem znajduję mamę. Na jej ciele prawie nie widać śladów krwi, lecz wargi zdążyły już zsinieć, a białka oczu są całkowicie czerwone, jak u upiora z niskobudżetowego horroru. Wydaje się kompletnie nierzeczywista. Dopiero obraz mamy wyglądającej jak zombie sprawia, że ogarnia mnie fala przerażenia.

„Muszę znaleźć Teddy’ego. Gdzie on jest?”. Obracam się spanikowana jak wtedy, kiedy na dziesięć minut straciłam go z oczu w sklepie spożywczym. Byłam pewna, że został porwany. Oczywiście zaraz się okazało, że zwiedzał alejkę ze słodyczami. Kiedy go znalazłam, nie wiedziałam, czy go przytulić, czy skrzyczeć.

Biegnę z powrotem w stronę rowu, z którego się

wygramoliłam, i widzę wystającą dłoń.

„Teddy! Tu jestem! – wołam. – Podaj rękę. Wyciągnę cię!”.

Kiedy jednak się zbliżam, zauważam metaliczne lśnienie srebrnej bransoletki z małą wiolonczelą i gitarą. Dostałam ją od Adama na siedemnaste urodziny. To MOJA bransoletka. Założyłam ją dzisiaj rano. Patrzę na swój nadgarstek. Mam ją NADAL.

Ostrożnie przysuwam się bliżej i już wiem, że to nie Teddy tam leży. To ja. Krew z klatki piersiowej przesiąka przez koszulę, spódnicę i sweter, niczym farba zbiera się w kałużę na nieskalanym śniegu. Jedną nogę mam wykrzywioną, zdarta skóra i mięśnie odsłoniły białe smugi kości. Oczy są zamknięte, ciemnobrązowe włosy mokre i rude od krwi.

Odwracam się. To nie w porządku, to się nie może dziać naprawdę! Jesteśmy rodziną udającą się na przejażdżkę. To nie jest rzeczywiste. Musiałam zasnąć w samochodzie. „Nie!

Dość. Proszę, dość. Proszę, obudź się!” – mój krzyk przecina lodowate powietrze. Jest zimno, mój oddech powinien parować.

Nie paruje. Patrzę na nadgarstek – ten, który wygląda jak zawsze, bez śladu krwi – i szczypię się ze wszystkich sił.

Nic nie czuję.

Miewałam wcześniej koszmary – że spadam; że gram recital wiolonczelowy, nie znając nut; że zrywam z Adamem... Zawsze jednak potrafiłam się zmusić, by otworzyć oczy, unieść głowę z poduszki, zatrzymać film grozy rozgrywający się pod zamkniętymi powiekami. Próbuję znowu. „Zbudź się! – krzyczę. – Zbudź się! Zbudź się zbudź się zbudź się!”. Ale nie potrafię. Nie budzę się.

I wtedy coś słyszę. To muzyka. Nadal słyszę muzykę. Więc na tym się koncentruję.

Palcuję nuty *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena, jak często robię, kiedy słucham fragmentów, nad którymi właśnie pracuję. Adam nazywa to „niewidzialną wiolonczelą”. Ciągłe mnie pyta, czy któregoś dnia moglibyśmy zagrać w duecie, on na niewidzialnej gitarze, ja na wiolonczeli. „A kiedy skończymy, możemy połamać nasze niewidzialne instrumenty jak muzycy rockowi na scenie – żartuje. – Wiesz dobrze, że miałabyś ochotę”.

Gram, skoncentrowana bez reszty, aż zamiera ostatnie drgnienie życia w samochodzie, a wraz z nim muzyka.

Wkrótce potem rozlegają się syreny.

9:23

„Czy ja umarłam?”.

Naprawdę muszę sobie zadać to pytanie.

„Czy ja umarłam?”.

Z początku wydawało się oczywiste, że jestem martwa. Że ta scena, kiedy stoję i patrzę, jest przejściowa – taki antrakt poprzedzający finał z jasnym światłem i życiem przelatującym przed oczami, kiedy to zostaną przeniesiona do miejsca docelowego.

Tyle tylko, że teraz są tu sanitariusze wraz z policją i strażą pożarną. Ktoś przykrył płachtą ojca. Jakiś strażak zamyka mamę w plastikowym worku. Słyszę, jak o niej rozmawia z drugim strażakiem, który ma na oko nie więcej niż osiemnaście lat. Ten starszy tłumaczy żółtodziobowi, że mama została prawdopodobnie

trafiona pierwsza i zginęła natychmiast, co wyjaśnia brak krwi.

– Nagłe zatrzymanie akcji serca – mówi. – Kiedy serce nie może pompować, krew właściwie się nie leje, tylko sączy. Nie mogę o tym myśleć: o mamie, z której sączy się krew. Zamiast tego wyobrażam sobie, że chciałaby zginąć pierwsza, stanąć między nami i uderzeniem. Choć nie był to oczywiście jej wybór, tak by wołała.

Ale czy ja umarłam? Tę mnie, która leży na skraju drogi, z nogą zwisającą do rowu, otacza grupa mężczyzn i kobiet, desperacko obmywających moje ciało i zatykających mi czymś żyły. Leżę naga do pasa, bo sanitariusze rozdarli mi bluzkę. Jedna pierś jest odsłonięta.

Zawstydzona odwracam wzrok.

Policjanci zapalili flary i pokazują kierowcom nadjeżdżającym z obu stron, żeby zawrócili, bo droga zamknięta. Uprzejmie podpowiadają inne trasy; boczne drogi, które zaprowadzą podróżnych tam, dokąd chcą dotrzeć.

Ludzie w samochodach z pewnością mają swoje sprawy, ale wielu nie zawraca.

Wysiadają z wozów, obejmując się ramionami dla ochrony przed zimnem. Oglądają scenę wypadku. Potem odwracają wzrok, niektórzy płaczą, jedna kobieta wymiotuje w paprocie na skraju drogi. I mimo że nie wiedzą, kim jesteśmy ani co się stało, modlą się za nas. Czuję to.

I również z tego powodu myślę, że umarłam. Poza tym moje ciało wydaje się zupełnie zdrętwiałe, a przecież wystarczy na mnie spojrzeć – na nogę odartą ze skóry i ciała do gołej kości – by stwierdzić, że powinnam wic się z bólu. Do tego nawet nie płaczę, chociaż WIEM, że zaledwie przed chwilą coś niewyobrażalnego stało się z moją rodziną. Jesteśmy jak Humpty Dumpty²: wszyscy królewscy konni i dworzanie złożyć nas w całość nie są w stanie. Właśnie rozmyślam o tym wszystkim, kiedy opatrująca mnie ruda i piegowata sanitariuszka krzyczy: – Ósemka według skali śpiączki Glasgow. Intubujemy!

Razem z sanitariuszem z wystającą szczęką wsuwają mi do gardła rurkę, przyczepiają do niej worek z gumową gruszką i zaczynają pompować.

– Za ile może być helikopter?

– Dziesięć minut – odpowiada mężczyzna. – Dwadzieścia, żeby wrócić do miasta.

– Musimy ją tam dowieźć w piętnaście, choćbyś miał gnać jak sam diabeł.

Wiem, co myśli sanitariusz. Że w niczym mi to nie pomoże, i muszę się z nim zgodzić.

Ale nic nie mówi. Zaciska tylko szczęki. Pakują mnie do karetki; ruda wsiada ze mną z tyłu.

Jedną ręką naciska worek, drugą poprawia kroplówkę i przyrządy kontrolne. Potem przygląda lok na moim czole.

– Zostań z nami – prosi.

* * *

Z pierwszym recitalem wystąpiłam w wieku dziesięciu lat. Już od dwóch lat grałam wtedy na wiolonczeli. Z początku tylko w szkole, na zajęciach z muzyki. To był szczęśliwy przypadek, że w ogóle mieli instrument; wiolonczele są bardzo drogie i delikatne.

Jakiś stary profesor literatury z uniwersytetu zapisał w testamencie naszej szkole swojego hamburga. Instrument głównie kurzył się w kącie. Większość dzieciaków chciała się uczyć grać na gitarze albo na saksofonie. Kiedy oznajmiłam mamie i tacie, że zamierzam zostać wiolonczelistką, oboje wybuchnęli śmiechem. Potem przeproszali, twierdząc, że rozbawiło ich wyobrażenie mojej drobnej osoby z ogromnym instrumentem między patykowatymi nogami. Gdy zrozumieli, że mówię poważnie, natychmiast opanowali chichoty i zrobili zaciekawione miny.

Jednak reakcja rodziców nadal mnie bolała – z powodów, o których nigdy im nie wspomniałam i których chyba nie zrozumieli, nawet gdybym je wyjawiała. Tato żartował czasem, że w szpitalu, gdzie się urodziłam, musieli przypadkowo zamienić niemowlaki, bo w niczym nie przypominam reszty rodziny. Wszyscy są blondynami o jasnej cerze, a ja z brązowymi włosami i ciemnymi oczami wyglądam jak ich przeciwieństwo. Kiedy podrosłam, szpitalny żart nabrał nowych znaczeń, których tato nie mógł przewidzieć. Czasem naprawdę się czułam, jakbym pochodziła z innego plemienia. Nie byłam podobna do towarzyskiego, ironicznego ojca ani stanowczej mamy. A to, że zamiast uczyć się grać na gitarze elektrycznej, wybrałam wiolonczelę, tylko postawiło kropkę nad „i”.

W naszej rodzinie samo granie jest mimo wszystko ważniejsze od rodzaju muzyki, jaki się preferuje, więc kiedy po paru miesiącach stało się jasne, że moja miłość do wiolonczeli nie była przelotnym zauroczeniem, rodzice wypożyczyli instrument, żebym mogła ćwiczyć w domu.

Banalne gamy i triady zmieniły się w pierwsze podejścia do *Panie Janie*, te z czasem ustąpiły miejsca najprostszym etiudom, aż w końcu przymierzyłam się do suit Bacha. W gimnazjum nie mieliśmy zajęć muzycznych z prawdziwego zdarzenia, więc mama znalazła mi korepetytora, studenta college’u, który przychodził raz w tygodniu. W ciągu kilku lat uzbierała się spora grupa studentów, którzy najpierw mnie uczyli, a gdy ich przewyższyłam umiejętnościami, grywali razem ze mną.

Tak było do dziewiątej klasy, kiedy tato, który znał profesor Christie z czasów pracy w sklepie muzycznym, poprosił ją o udzielanie mi prywatnych lekcji. Zgodziła się posłuchać, jak gram, nie oczekując wiele i chcąc tylko – jak mi później powiedziała – oddać przysługę tacie.

Rodzice przysłuchiwali się z dołu, jak w swoim pokoju na piętrze ćwiczę sonatę Vivaldiego. Gdy zeszłam na dół na kolację, profesor oznajmiła, że zajmie się szkoleniem mnie.

Mój pierwszy recital odbył się jednak kilka lat wcześniej, zanim ją poznałam. Było to w miasteczku, w sali, której akustyka zupełnie nie nadawała się do wykonywania muzyki klasycznej bez wzmacniacza i gdzie zwykle występowały lokalne zespoły. Grałam solo wiolonczelowe z *Tańca cukrowej wróżki* Czajkowskiego. Stojąc za kulisami i przysłuchując się, jak inne dzieciaki rzępolą na skrzypcach i bębnią w fortepian, o mało nie stchórzyłam. Wybiegłam wejściem dla artystów i skuliłam się na werandzie, oddychając szybko i skrywając twarz w dłoniach. Moja nauczycielka, kolejna studentka, wpadła w panikę i wysłała za mną

oddział poszukiwawczy.

Znalazł mnie tato. Było to w początkowej fazie jego metamorfozy z luzaka w sztywniaka, więc miał na sobie klasyczny garnitur, a do tego nabijany ćwiekami skórzany pas i czarne trzewiki.

– Wszystko okej, Mio Oj-Oj-Oj? – zapytał, siadając obok na stopniach.

Pokręciłam głową, zbyt zawstydzona, by odpowiedzieć.

– O co chodzi?

– Nie mogę tego zrobić – zajęczałam.

Uniósł krzaczastą brew i spojrzał na mnie badawczo szaroniebieskimi oczyma. Poczułam się jak przedstawiciel jakiegoś tajemniczego, nieznanego gatunku, któremu tato się przygląda, próbując go zidentyfikować. Całe życie grywał w różnych zespołach. Na pewno NIGDY nie przeżywał czegoś tak obciachowego jak trema.

– Ha, to byłby wstyd – odpowiedział. – Bo mam dla ciebie pierwszorzędny prezent z okazji występu. Dużo lepszy niż kwiaty.

– Daj go komuś innemu. Nie wyjdę tam. Nie jestem taka jak ty, mama ani nawet Teddy.

Choć brat skończył wtedy pół roku, już dla wszystkich stało się jasne, że ma barwniejszą osobowość i więcej werwy niż ja. I oczywiście był blondynem z niebieskimi oczami. Nawet gdyby nim nie był, urodził się w kameralnej izbie porodowej, a nie w szpitalu, więc nie istniało ryzyko, że go przypadkiem zamienili.

– To prawda – dumiał tato. – Kiedy Teddy dawał swój pierwszy koncert na harfie, był zimny jak ślędz. Prawdziwy mały geniusz. Roześmiałam się przez łzy. Objął mnie łagodnie.

– Wiesz, kiedyś przed występami dostawałam okropnej trzęsawki.

Popatrzyłam na tatę, który zawsze wydawał mi się pewny siebie jak nikt na świecie.

– Tylko tak mówisz.

Pokręcił głową.

– Nie, wcale nie. To był istny koszmar. A przecież grałem na perkusji, siedziałem na samym tyle. Nikt nawet na mnie nie patrzył.

– I co zrobiłeś? – zapytałam.

– Upił się – wtrąciła mama, wysuwając głowę zza drzwi. Miała czarną winylową minispódniczkę, czerwony podkoszulek bez rękawów oraz Teddy'ego w nosidełku, zaślinionego i szczęśliwego. – Parę piw przed wyjściem na scenę. Tobie tego nie polecam.

– Mama chyba ma rację – przytaknął tato. – Opieka społeczna krzywo patrzy na pijane dziesięciolatki. Poza tym, to było straszne, jak upuściłem pałeczki i zwymiotowałem na scenę. Gdybyś ty upuściła smyczek i cuchnęła jak gorzelnia, uznano by to za wielki nietakt. Ci twoi goście od muzyki poważnej to straszne snoby.

Teraz już się śmiałam. Nadal się bałam, ale dodawała mi otuchy myśl, że być może trema to cecha, którą odziedziczyłam po tacie; że jednak nie jestem znajdą.

– A jeśli wszystko zepsuje? Jeśli wypadnę okropnie?

– Mam dla ciebie nowinę, Mio. Na scenie pojawi się niejedno

okropieństwo, więc nie będziesz się wyróżniać – powiedziała mama. Tato jęknął na potwierdzenie.

– Ale serio, jak sobie poradzić z trzęsawką?

Tato wciąż się uśmiechał, ale widziałam, że spoważniał, bo zaczął mówić wolniej.

– Nie można sobie poradzić. Trzeba przez to przebrnąć. I po prostu robić swoje.

Więc wyszłam na scenę. Nie byłam olśniewająca w tym utworze. Nie okryłam się sławą, nie dostałam owacji na stojąco, ale też nie spartaczyłam wszystkiego. A po występie dostałam swój prezent. Leżał na fotelu pasażera i wyglądał równie ludzko jak wiolonczela, która przyciągnęła moją uwagę dwa lata wcześniej. Ta nie była wypożyczona. Była moja.

10:12

Gdy karetka dojeżdża do najbliższego szpitala – nie tego w naszym miasteczku, ale w niewielkiej lokalnej przychodni przypominającej raczej dom starców niż ośrodek medyczny – sanitariusze pośpiesznie wtaczają mnie do środka.

– Zdaje się, że mamy zapadnięte płuco. Dren do opłucnej i jedźcie dalej jak najszybciej! – woła miła ruda sanitariuszka, przekazując mnie zespołowi pielęgniarek i lekarzy.

– Gdzie reszta? – pyta brodaty facet w szpitalnym stroju.

– Drugi kierowca ma lekki wstrząs mózgu, opatrzony na miejscu wypadku. Rodzice martwi w chwili przybycia. Chłopiec, około siedmiu lat, jedzie zaraz za nami.

Wypuszczam powietrze w długim westchnieniu, jakbym przez ostatnie dwadzieścia minut wstrzymywała oddech. Kiedy zobaczyłam siebie w rowie, nie byłam już w stanie szukać Teddy’ego. Gdyby spotkało go to, co mamę i tatę, i mnie... Nie chciałam nawet o tym myśleć.

Teddy jednak żyje.

Zabierają mnie do niewielkiej sali z jaskrawymi światłami.

Jakiś lekarz maluje z boku moją klatkę piersiową czymś pomarańczowym, a potem wbija cieką plastikową rurkę. Jego kolega świeci mi latarką w oko.

– Brak reakcji – mówi do pielęgniarki. – Helikopter jest na miejscu. Zabierzcie ją na urazówkę. Natychmiast!

W pośpiechu przetaczają mnie z oddziału ratunkowego do windy. Muszę biec, żeby im dotrzymać kroku. Na chwilę przed zamknięciem drzwi spostrzegam Willow. Dziwne. Mieliśmy odwiedzić ją, Henry’ego i małą u nich w domu. Została wezwana z powodu śniegu? Z naszego powodu? Pędzi szpitalnym korytarzem, jej skupiona twarz przypomina maskę. Pewnie nawet jeszcze nie wie, że chodzi o nas. Może próbowała dzwonić, zostawiła wiadomość na komórce mamy, przeprasząc, że z powodu nagłego wypadku nie będzie w domu podczas naszej wizyty.

Winda otwiera się wprost na dach. Pośrodku wielkiego czerwonego kręgu czeka helikopter, łopaty ze świstem przecinają powietrze.

Nigdy wcześniej nie leciałam śmigłowcem. Moja najlepsza przyjaciółka Kim – tak.

Poleciała na wycieczkę ponad Górą Świętej Heleny ze swoim

wujkiem, sławnym fotografem z „National Geographic”.

– Właśnie siedział i opowiadał o florze wulkanicznej, kiedy zwymiotowałam mu prosto na kolana – relacjonowała mi Kim następnego dnia w szkole. Nadal była lekko zielona wskutek tamtego przeżycia.

Kim pisze kronikę klasową i chciałaby zostać fotografem. Wuj zabrał ją na tę wyprawę, żeby jej zrobić przyjemność, wesprzeć wschodzący talent.

– Trochę wymiocin poleciało na jego aparaty – lamentowała. – Teraz już nigdy nie zostanę fotografem.

– Fotograf może się specjalizować w wielu dziedzinach – pocieszałam. – Nie musisz koniecznie latać helikopterem.

Kim się roześmiała.

– Całe szczęście. Bo nigdy więcej do niego nie wsiądę... I ty też nie próbuj!

Chciałabym jej powiedzieć, że czasem nie ma się wyboru.

Drzwi helikoptera są otwarte; ładują do niego wózek ze mną oraz wszystkimi rurkami i przewodami. Wdrapuję się w ślad za nim. Sanitariusz sadowi się tuż obok mnie, naciskając rytmicznie plastikową gruszkę, która najwyraźniej oddycha za mnie. Kiedy tylko odrywamy się od ziemi, rozumiem, dlaczego Kim dostała mdłości. Helikopter nie przypomina samolotu: szybko i gładko sunącego pocisku. Podobny jest raczej do hokejowego krążka odbijanego po niebie.

W górę i w dół, z boku na bok. Nie mam pojęcia, jak ci ludzie dają radę się mną zajmować, odczytywać wydruki z małego komputera i pilotować maszynę, rozmawiając przez słuchawki; jak mogą robić to wszystko w śmigłowcu miotającym się na wszystkie strony.

Helikopter wpada w dziurę powietrzną i zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem powinno mi się zrobić niedobrze. A jednak nie czuję nic – przynajmniej ta „ja”, która obserwuje wszystko z boku. Jak się wydaje, „ja” leżąca na wózku też nie czuje niczego. I znowu muszę się zastanowić, czy nie umarłam, ale mówię sobie, że nie. Nie załadowaliby mnie do helikoptera, nie przewozili nad bujnymi lasami, gdybym była martwa.

I myślę też, że gdybym nie żyła, mama i tato już by po mnie przyszli.

Widzę zegar na tablicy rozdzielczej – 10:37. Zastanawiam się, co się teraz dzieje na ziemi. Czy Willow dowiedziała się, kto ucierpiał w wypadku? Czy ktoś zadzwonił do dziadków?

Mieszkają w sąsiednim miasteczku, bardzo się cieszyłam na wspólną kolację. Dziadek łowi, a potem wędzi łososie i ostrygi; pewnie jedlibyśmy je z ciężkim, piwnym chlebem razowym babci. Potem babcia zabrałaby Teddy’ego do miasteczka, a konkretnie do wielkich kontenerów na makulaturę, w których pozwoliłaby mu nurkować w poszukiwaniu gazet. Ostatnio dostał kręćka na punkcie starych numerów „Reader’s Digest”. Uwielbia wycinać z nich żarty rysunkowe i robić kolaże.

Myślę o Kim. Dzisiaj nie ma szkoły. Jutro raczej tam nie dotrę.

Kim pewnie pomyśli, że nie przyszedłam, bo słuchałam do późna Adama i Shooting Star w Portland.

Portland... Jestem niemal pewna, że właśnie tam mnie zabierają. Pilot helikoptera ciągle rozmawia z pierwszym

oddziałem urazowym. Przez okno widzę majaczący w oddali wierzchołek Góry Hood. To oznacza, że Portland jest blisko. Czy Adam już tam dotarł? Wczoraj wieczorem grał w Seattle. Po występie jest zawsze naładowany adrenaliną, a jazda samochodem pozwala mu się odprężyć. Zwykle kumple z kapeli z radością pozwalają mu prowadzić, sami tymczasem drzemią. Jeśli jest już w Portland, pewnie wciąż śpi. Czy kiedy się obudzi, pójdzie na kawę na Hawthorne Boulevard? A może posiedzi z książką w Ogrodzie Japońskim? Tak właśnie robiliśmy, kiedy byliśmy tam ostatnim razem, tylko wtedy było cieplej. Wiem, że dzisiaj po południu zespół ma próbę dźwięku. Potem Adam wyjdzie przed dom i będzie na mnie czekał. Z początku pomyśli, że się spóźniam. Skąd miałyby wiedzieć, że w rzeczywistości przybyłam za wcześnie? Że przyleciałam do Portland rano, zanim stopniał śnieg?

* * *

– Słyszałaś kiedyś o tym kolesiu, co się nazywa Yo-Yo Ma? – zapytał Adam.

Zdarzyło się to wiosną, to był mój drugi rok w liceum, a on chodził do trzeciej klasy. Od kilku miesięcy obserwował, jak ćwiczę w skrzydle muzycznym. Nasza państwowa szkoła była z tych postępowych, o których ciągle piszą w krajowych gazetach z powodu rozszerzonego programu zajęć artystycznych. I rzeczywiście, często dostawaliśmy dni wolne na malowanie w studiu albo próby muzyczne. Ja spędzałam je w dźwiękoszczelnych pokojkach. Adam również często tam zaglądał i grał na gitarze. Nie elektrycznej, jak w kapeli. Grywał zwykłe akustyczne melodie. Przewróciłam oczami.

– Każdy słyszał o Yo-Yo Ma.

Wyszczrzył zęby. Pierwszy raz zauważyłam, że ma niesymetryczny uśmiech, jeden kącik ust unosił się wyżej.

Kciukiem ozdobionym obrączką wskazał szkolny dziedziniec.

– Nie wierzę, że znalazłabyś tam pięciu ludzi, którzy o nim słyszeli. A przy okazji, co to w ogóle za nazwisko? Kolesi pochodzi z getta czy co? Yo Mama!

– Jest Chińczykiem.

Adam pokręcił głową i się roześmiał.

– Znam masę Chińczyków. Mają nazwiska w rodzaju Wei Chin albo Lee coś tam. Nie Yo-Yo Ma.

– Nie znieważaj mistrza – skarciłam go. Ale zaraz mimo woli wybuchnęłam śmiechem.

Dopiero po ładnych paru miesiącach uwierzyłam, że Adam się ze mnie nie wyśmiewa; od tej pory zaczęliśmy odbywać krótkie pogawędki na korytarzu.

Jego zainteresowanie zbijało mnie z tropu. Nie dlatego, że należał do najpopularniejszych gości w szkole. Choć nie zapowiadał się ani na wybitnego sportowca, ani na człowieka sukcesu, to jednak był w porządku. Grywał w kapeli z ludźmi z miejskiego college'u. Miał swój rockowy styl – zamiast podróbek Urban Outfitters nosił ciuchy wyszukane w sklepach z odzieżą używaną i na garażowych wyprzedażach. Wydawał się naprawdę szczęśliwy, kiedy w szkolnej stołówce siedział z nosem w książce. Nie musiał udawać, że czyta, bo nigdy nie był sam. Wszędzie otaczała go gromadka przyjaciół i rzesza wielbicieli.

Ja również nie byłam odludkiem. Miałam kumpele i najlepszą przyjaciółkę, z którymi jadałam lunch. I masę dobrych znajomych na obozach muzycznych, dokąd jeździłam w wakacje.

Ludzie generalnie mnie lubili, ale też nie znali mnie naprawdę. Na lekcjach się nie odzywałam.

Rzadko zgłaszałam się do odpowiedzi, nie pyskowałam nauczycielom. Ciągle byłam zajęta; masę czasu zajmowały mi próby, gra w kwartecie smyczkowym i nauka teorii w lokalnym college'u.

Rówieśnicy odnosili się do mnie życzliwie, ale traktowali trochę jak dorosłą. Jeszcze jedna nauczycielka. A z nauczycielkami się nie flirtuje.

– Co ty na to, gdybym powiedział, że mam bilety na mistrza? – zapytał Adam z błyskiem w oku.

– Cicho bądź. Wcale nie masz – burknęłam i pchnęłam go trochę za mocno.

Udał, że się zatacza na szklaną ścianę. Potem się otrzepał.

– Mam. W Sznyclu w Portland.

– To się nazywa Sala Arlene Schnitzer. Siedziba orkiestry symfonicznej.

– Właśnie tam. Mam bilety. Dwa. Zainteresowana?

– Mówisz serio? Jasne! Strasznie chciałam iść, ale kosztowały chyba z osiemdziesiąt dolców sztuka! Zaraz, jak je zdobyłeś?

– Rodzice dostali od znajomego, ale są zajęci. Drobiazg – odpowiedział szybko. – W każdym razie koncert jest w piątek wieczorem. Jeśli chcesz, podskoczę po ciebie o wpół do szóstej po południu i pojedziemy do Portland razem.

– Okej – odparłam, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Jednak w piątek po południu dygotałam bardziej niż ostatniej zimy, kiedy przez pomyłkę, wkuwając do egzaminów końcowych, wypijałam cały dzbanek kawy gęstej jak smoła.

Nie denerwowałam się z powodu Adama. Do tej pory czułam się w jego towarzystwie w miarę swobodnie. Powodem była niepewność. Co to właściwie jest? Randka? Przyjacielska przysługa? Akt miłosierdzia? Nie znosiłam stąpać po niepewnym gruncie niemal tak bardzo, jak brnąć przez nieznaną część symfonii. Dlatego tak dużo ćwiczyłam: żeby jak najszybciej znaleźć się na znajomym terenie i stojąc na nim, dopracowywać szczegóły.

Przebierałam się chyba z sześć razy. Teddy, który chodził wtedy do przedszkola, siedział w mojej sypialni i ściągał z półek komiksy o Calvinie i Hobbsie, udając, że czyta. Zaśmiewał się do łez, a ja nie byłam pewna, czy przyczyną są figle Calvina, czy moje zachowanie.

Mama wsunęła głowę do pokoju, by ocenić moje postępy.

– To tylko facet, Mio – rzuciła, widząc, jaka jestem rozdygotana.

– Wiem, ale to pierwszy gość, z którym być może wychodzę na randkę – jęknęłam. – I nie wiem, czy się ubrać jak na randkę, czy jak na koncert... Czy miejscowi w ogóle stroją się na takie wyjścia? A może powinnam wystąpić całkiem zwyczajnie, na wypadek gdyby to jednak NIE BYŁA randka?

– Po prostu włóż coś, w czym się dobrze czujesz – podsunęła

mama. – W ten sposób zawsze będziesz zadowolona.

Nie miałam cienia wątpliwości, że ona na moim miejscu poszłaby na całość. Na starych zdjęciach z tatą wyglądała jak skrzyżowanie *femme fatale* z lat trzydziestych i dziewczyny z gangu motocyklowego: fryzura na chochlika, wielkie niebieskie oczy podkreślone kohlem³, a cała chuda jak tyczka postać nieodmiennie spowita w jakiś oryginalny ciuch, na przykład staroświecką koronkową koszulkę na ramiączkach i obcisłe skórzane spodnie.

Westchnęłam. Szkoda, że nie jestem równie odważna.

Ostatecznie wybrałam długą czarną spódnicę i kasztanowy sweter z krótkimi rękawami. Zwyczajnie i prosto. Mój znak firmowy, jak się zdaje.

Gdy zjawił się Adam – w garniturze z błyszczącego sztucznego jedwabiu i w zamszowych creepersach na platformach (zestawienie, które wzbudziło wielki podziw taty) – uświadomiłam sobie, że to naprawdę JEST randka. Oczywiście, mógł się wystroić z okazji koncertu, a garnitur z lat sześćdziesiątych stanowiłby jedynie wariację na temat formalnego stroju, podskórnie jednak czułam, że chodzi o coś więcej. Wyglądał na spiętego, kiedy ścisnął dłoń mojemu ojcu i chwalił się, że ma stare płyty jego zespołu.

– Świetnie się nadają na podstawki pod filiżanki, radzę spróbować – zakpił tato.

Adam wyglądał na zaskoczonego; pewnie nieczęsto spotykał rodziców bardziej sarkastycznych od własnych dzieci.

– Nie szalejcie za bardzo, dzieciaki! W zadymie po ostatnim koncercie Yo-Yo Ma parę osób zostało poważnie rannych! – zawołała mama, kiedy szliśmy przez trawnik.

– Masz strasznie fajnych rodziców – skomentował Adam, otwierając mi drzwi wozu.

– Wiem – odpowiedziałam.

W drodze do Portland gawędziliśmy uprzejmie. Adam puszczał mi kawałki swoich ulubionych kapel: szwedzkiego popowego tria, które brzmiało trochę monotonna, a potem jakiejś ambitnej islandzkiej grupy, naprawdę świetnej. Trochę się zgubiliśmy w centrum i dotarliśmy na salę koncertową parę minut przed rozpoczęciem.

Z miejsc na najwyższym balkonie widzieliśmy wszystko doskonale, choć na występ Yo-Yo Ma nie idzie się dla widoków. Dźwięk był niesamowity; gość umiał sprawić, że wiolonczela brzmiała w jednej chwili jak płacząca kobieta, a w następnej jak roześmiane dziecko.

Słuchając go, zawsze sobie przypominam, czemu wybrałam właśnie ten instrument – ma w sobie coś niezwykle ludzkiego i pełnego wyrazu.

Po rozpoczęciu koncertu kątem oka spojrzałam na Adama. Nie wyglądał na udręczonego, ale ciągle zerkał do programu, pewnie odliczając czas do przerwy. Zmartwiłam się, że się nudzi, lecz po chwili muzyka zupełnie mnie pochłonęła i zapomniałam o wszystkim.

I naraz, gdy Yo-Yo Ma zagrał *Le Grand Tango* Astora Piazzolli, Adam wziął mnie za rękę. W innej sytuacji wypadłoby to pretensjonalnie – obmacywanie z nudów. On jednak nie patrzył na

mnie. Oczy miał zamknięte i kołysał się nieznacznie na fotelu. Też dał się ponieść muzyce. Ścisnęłam jego dłoń i siedzieliśmy tak do końca koncertu.

Potem poszliśmy na kawę i pączki, spacerowaliśmy nad rzeką. Mżyło, więc zdjął marynarkę i zarzucił mi na ramiona.

– Wcale nie dostałeś biletów od znajomego rodziców, prawda?

– zapytałam.

Myślałam, że się roześmieje albo podniesie ręce w geście ironicznego poddania, jak robił, kiedy brakowało mu argumentów w dyskusji. Adam jednak spojrzał mi prosto w oczy, tak że widziałam zmieszane w jego tęczęwce zielenie, brązy i szarości. Pokręcił głową.

– To były napiwki za rozwożenie pizzy przez dwa tygodnie – przyznał.

Zatrzymałam się. Słyszałam plusk fal w dole.

– Czemu? – spytałam. – Czemu ja?

– Nigdy nie widziałem, żeby kogoś tak bardzo pochłaniała muzyka. Dlatego lubię patrzeć, jak ćwiczysz. Robi ci się wtedy śliczna fałdka, o tutaj – powiedział, dotykając mojego czoła tuż nad nosem. – Mam obsesję na punkcie muzyki, ale nawet ja nie daję się tak ponieść jak ty.

– No to co? Traktujesz mnie jak rodzaj eksperymentu towarzyskiego? – To miał być żart, ale zabrzmiał gorzko.

– Nie, nie jesteś eksperymentem – odpowiedział. Głos miał schrypnięty, zdławiony.

Fala gorąca uderzyła mi do głowy; poczułam, jak się czerwienię. Wbiłam spojrzenie w buty. Wiedziałam, że Adam na mnie patrzy, i byłam pewna – jeśli podniosę wzrok, spróbuje mnie pocałować. Zdziwiło mnie, jak bardzo tego pragnę; uświadomiłam sobie, że myślałam o tym wiele razy, aż utrwaliłam w pamięci kształt jego ust; wyobrażałam sobie, jak przesuwam palcem po zagłębieniu podbródka.

Zamrugałam i spojrzałam na niego. Adam czekał.

Tak to się zaczęło.

12:19

Mnóstwo rzeczy jest ze mną nie w porządku.

Podobno mam zapadnięte płuco. Pękniętą śledzionę.

Krwawienie wewnętrzne nieznanego pochodzenia. I najważniejsze – uraz mózgu. Mam też połamane żebra. Rany na nogach, wymagające przeszczepów skóry, i na twarzy, z powodu których będzie potrzebna operacja plastyczna – ale, jak skomentował chirurg, tylko jeśli będę miała szczęście.

W tej chwili na oddziale chirurgicznym lekarze muszą mi usunąć śledzionę, wstawić kolejną rurkę, by odprowadzała płyn z zapadniętego płuca, i zatkać to coś, co powoduje krwawienie. Dla mózgu niewiele potrafią zrobić.

– Po prostu czekamy i zobaczymy – mówi jeden z nich, oglądając wydruk z tomografu. – Tymczasem zadzwońcie do banku krwi. Potrzeba nam dwóch jednostek zero minus, a dwie kolejne niech trzymają w zapasie.

Zero minus. Moja grupa krwi. Nie miałam pojęcia. Jakoś nigdy wcześniej nie musiałam o tym myśleć. Nie leżałam w szpitalu,

jeśli nie liczyć jedyne go razu, kiedy pojechałam na ostry dyżur, bo rozciąłam kostkę szkłem. Nawet nie trzeba było szyć, zrobili mi tylko zastrzyk przeciwwężcowy.

Lekarze na sali operacyjnej debatują, jaką puścić muzykę – zupełnie jak my w samochodzie dzisiaj rano. Jeden życzy sobie jazz. Drugi rocka. Pani anesteziolog stojąca przy mojej głowie prosi o klasykę. Kibicuję jej i mam wrażenie, że to pomogło, bo ktoś nastawia CD z Wagnerem – chociaż pompatyczny *Cwał Walkirii* to raczej nie jest to, o co mi chodziło.

Liczyłam na lżejszy utwór. Powiedzmy, *Cztery pory roku*.

Sala operacyjna jest niewielka i zatłoczona, pełna oślepiająco jasnych świateł obnażających nieporządek. Zupełnie nie przypomina tych w filmach, które – niczym nieskazitelne sale koncertowe – mogą pomieścić nie tylko śpiewaczkę operową, ale i widownię.

Podłogę, choć jest wypastowana na błysk, pokrywają rysy i rdzawe smugi; biorę je za stare plamy krwi.

Krew jest wszędzie, lecz nie robi to na lekarzach najmniejszego wrażenia. Wśród jej potoków kroją, szyją i odsysają, zupełnie jakby zmywali naczynia w mydlinach.

Równocześnie pompują mi do żył wciąż nowe ilości płynu. Chirurg, który chciał słuchać rocka, okropnie się poci. Jedna z pielęgniarek musi co jakiś czas ocierać mu twarz gazą trzymaną w szczypcach. W pewnym momencie pot przesiąka przez maskę i lekarz musi ją wymienić.

Anesteziolog ma delikatne palce. Siedzi przy mojej głowie, nie spuszczać oka ze wskaźników życiowych i korygując podawane mi ilości płynów, gazów i leków. Najwyraźniej wykonuje dobrą robotę, bo nic nie czuję, chociaż lekarze szarpią moje ciało. To brutalna i brudna praca; w niczym nie przypomina gry *Operacja*, w którą bawiliśmy się w dzieciństwie – trzeba było uważać, by nie dotknąć skóry podczas wyjmowania kości, bo odzywał się brzęczyk.

Lekarka w roztargnieniu gładzi moje skronie dłońmi w lateksowych rękawiczkach. Tak samo robiła mama, kiedy leżałam z gripą albo migreną tak silną, że wyobrażałam sobie, jak rozcinam żyłę w skroni, by złagodzić ucisk.

Płytę z Wagnerem przesłuchano już dwa razy. Lekarze decydują – pora na zmianę.

Wygrywa jazz. Wszyscy zakładają, że ponieważ gram muzykę poważną, jestem też fanką jazzu.

Nic podobnego. Ale tato tak. Uwielbia szczególnie dzikie, późne kawałki Coltrane'a. Mawia, że jazz to punk dla staruszków. I to chyba wyjaśnia wszystko, bo punku też nie lubię.

Operacja ciągnie się w nieskończoność. Jestem wyczerpana.

Nie wiem, jak lekarzom starcza sił, żeby kontynuować. Nie ruszają się z miejsca, ale wydaje się to trudniejsze niż bieg w maratonie.

Powoli odpływam. A potem zaczynam rozmyślać nad stanem, w jakim się znajduję.

Skoro nie jestem martwa – elektrokardiograf ciągle popiskuje, więc zakładam, że żyję – i nie znajduję się we własnym ciele, to czy mogę gdzieś iść? Czy jestem duchem? Czy mogłabym śmignąć na plażę na Hawajach? Zajrzeć do Carnegie Hall w Nowym Jorku? Odwiedzić Teddy'ego?

W ramach eksperymentu poruszam nosem jak Samantha z filmu *Czarownica*. Nic się nie dzieje. Pstrykam palcami. Stukam piętami. Ciągle tu jestem.

Postanawiam spróbować czegoś prostszego. Podchodzę do ściany, wyobrażając sobie, że przeniknę przez nią i wyjdę po drugiej stronie. Tymczasem jedynie się z nią zderzam.

Na salę energicznie wchodzi pielęgniarka z workiem krwi; zanim drzwi się za nią zamkną, wyslizguję się na zewnątrz. Znajduję się na korytarzu. Wokół krząta się mnóstwo lekarzy i pielęgniarek w błękitnych i zielonych strojach szpitalnych. Jakaś kobieta w niebieskim przezroczystym czepku jak pod prysznic i z kroplówką podłączoną do ręki, leżąca na noszach na kółkach, woła „Williamie, Williamie!”. Idę dalej. Widzę ciąg sal operacyjnych pełnych śpiących pacjentów. Jeśli chorzy w tych salach znajdują się w stanie zbliżonym do mojego, czemu nie mogę zobaczyć, jak opuszczają ciała? Czy wszyscy snują się tutaj tak jak ja? Naprawdę bym chciała spotkać kogoś w tej samej sytuacji. Mam więcej pytań, na przykład: czym dokładnie jest ten stan i jak się z niego wydostać? Jak wrócić do własnego ciała? Czy powinnam czekać, aż zbudzą mnie lekarze? Wokół nie ma jednak nikogo podobnego do mnie. Może wykombinowali, jak zwać na Hawaje.

Przechodzę za kolejną pielęgniarką przez automatyczne podwójne drzwi i trafiam do niewielkiej poczekalni. Są tu moi dziadkowie.

Babcia terkocze jak nakręcona – do dziadka, a może po prostu do siebie. W ten sposób nie pozwala, by emocje wzięły nad nią górę. Widziałam to już wcześniej, gdy dziadek dostał zawału serca. Jest ubrana w kalosze i ogrodniczy fartuch pobrudzony ziemią.

Pewnie pracowała w szklarni, kiedy się dowiedziała, co się z nami stało. Włosy ma krótkie, skręcone i siwe; dziadek twierdzi, że nosi tę trwałą od lat siedemdziesiątych. „Tak jest łatwiej – odpowiada babcia. – Bez czesania, bez kłopotu”. Cała babcia. Żadnych fanaberii. Wydaje się tak stuprocentowo praktyczna, że nikt by jej nie posądził o fascynację aniołami. W pokoju do szycia, w specjalnej porcelanowej chatce, trzyma całą kolekcję aniołów z ceramiki, włóczki, dmuchanego szkła i kto wie czego jeszcze. Nie tylko zbiera anioły, lecz także w nie wierzy. Uważa, że są wszędzie. Kiedyś para nurów założyła gniazdo na stawie w lesie za domem. Babcia była przekonana, że to jej nieżyjący od dawna rodzice przybyli, by nad nią czuwać.

Innym razem, gdy siedzieliśmy na ganku, zauważyłam jakiegoś czerwonego ptaka.

– Czy to krzyżodziób? – zapytałam.

Babcia pokręciła głową.

– Moja siostra Gloria zmieniła się w krzyżodzioba – odparła, mając na myśli niedawno zmarłą cioteczną babkę Glo, z którą nigdy nie była w dobrych stosunkach. – Na pewno by się tutaj nie pojawiła.

Dziadek siedzi ze wzrokiem utkwionym w fusy na dnie styropianowego kubka i obłamuje krawędź; białe kuleczki sypią mu się na kolana. Widzę, że to paskudna lura, wyglądająca, jakby ją zaparzyli w 1997 roku i od tamtej pory tylko odgrzewali. Mimo to chętnie bym się jej napiła.

Między dziadkiem, tatą i Teddym widać wyraźnie

podobieństwo, chociaż faliste blond włosy dziadka posiwiały, a on sam jest tęższy nie tylko od chudego jak patyk Teddy'ego, lecz także od taty, który swoje mięśnie zawdzięcza popołudniowym ćwiczeniom ze sztangą w Klubie Y. Wszyscy trzej mają takie same przejrzyste, szaroniebieskie oczy o barwie oceanu w pochmurny dzień.

Może dlatego tak trudno znieść mi teraz widok dziadka.

* * *

Juilliard School to był pomysł babci. Pochodzi z Massachusetts, ale w 1955 roku przeniosła się do Oregonu, zupełnie sama. Teraz nie byłoby to nic wielkiego, ale, jak sędzę, pięćdziesiąt parę lat temu musiało bulwersować, że dwudziestodwuletnia niezamężna kobieta robi coś podobnego. Babcia twierdzi, że pociągały ją dzikie, otwarte przestrzenie, a trudno znaleźć dzikie miejsce niż bezkresne lasy i urwiste wybrzeża Oregonu. Znalazła pracę jako sekretarka w Służbie Leśnej. Dziadek był tam zatrudniony jako biolog. Czasami latem wyjeżdżamy do Massachusetts, do domku myśliwskiego w zachodniej części stanu, opanowanego na tydzień przez liczną rodzinę babci. Spotykam się wtedy z kuzynami w drugiej linii, ciotecznymi babkami i wujami, których imiona ledwie potrafię spamiętać. W Oregonie mamy masę krewnych, ale jedynie ze strony dziadka.

W ubiegłym roku zabrałam w głąsę wiolonczelę, żeby ćwiczyć przed zbliżającym się koncertem muzyki kameralnej. W samolocie było wiele wolnych miejsc, więc stewardesa pozwoliła mi – jak prawdziwej profesjonalistce – umieścić instrument na sąsiednim fotelu. Teddy uznał to za bardzo zabawne i całą drogę próbował karmić wiolonczelę preclami.

Któregoś wieczoru dałam krótki koncert w największym pokoju, mając za publiczność krewnych i trofea wiszące na ścianach. Wtedy właśnie ktoś napomknął o Juilliard, a babcia dała się porwać tej idei.

Z początku pomysł wydawał się oderwany od rzeczywistości. Pobliski uniwersytet ma całkiem niezły program muzyczny, a w odległości paru godzin jazdy samochodem znajdowało się konserwatorium w Seattle dla naprawdę ambitnych. Juilliard School leżała na drugim końcu kraju. I była droga. Mamę i tatę pomysł zaintrygował, ale widziałam, że żadne z nich w głębi duszy nie chce mnie puścić do Nowego Jorku ani zadłużyć się po to, żebym w odległej przyszłości została wiolonczelistką drugorzędnej orkiestry w jakiejś prowincjonalnej dziurze. Nie mieli pojęcia, czy jestem wystarczająco dobra. Prawdę mówiąc, ja też nie. Profesor Christie nazywała mnie jedną z najbardziej obiecujących studentek, z jakimi miała do czynienia, ale nigdy nie wspominała o Juilliard School. Ta szkoła była dla wirtuozów i wydawało się arogancją sądzić, że któryś z jej wykładowców poświęci mi więcej niż jedno spojrzenie.

Kiedy jednak po powrocie do domu jeszcze jakiś znajomy, niezaangażowany i pochodzący ze Wschodniego Wybrzeża, uznał mnie za godną Juilliard, pomysł na dobre zagnieździł się w głowie babci. Postanowiła porozmawiać z profesorem Christie, która ogromnie się do niego zapaliła.

Wypełniłam więc podanie, zebrałam listy polecające i

wysłałam nagranie. Adamowi nie wspomniałam o niczym. „Nie ma sensu się chwalić, skoro jest mało prawdopodobne, bym dostała się choćby na przesłuchanie” – przekonywałam siebie. Już wtedy jednak wiedziałam, że to kłamstwo. W głębi duszy czułam, że nawet ubieganie się o przyjęcie to rodzaj zdrady. Juilliard School jest w Nowym Jorku, Adam – tutaj.

Nie chodzi już do liceum. Adam jest ode mnie o rok starszy, więc kiedy kończyłam czwartą klasę, on zaczął studia na miejskim uniwersytecie. Uczęszczał tylko na wybrane zajęcia, bo zespół zyskiwał coraz większą popularność. Podpisali kontrakt na płytę z wytwórnią w Seattle i ciągle jeździli na koncerty. Dlatego dopiero wtedy, gdy otrzymałam kremową kopertę z wytłoczonym logo *The Juilliard School* oraz zaproszenie na przesłuchanie, wyznałam Adamowi, że ubiegałam się o przyjęcie. Wyjaśniłam, jak wielu chętnych nie dociera do tego etapu. Początkowo wyglądał na trochę oszołomionego, jakby nie do końca mi wierzył. Potem uśmiechnął się ze smutkiem.

– Yo Mama niech lepiej uważa – mruknął.

Przesłuchania odbywały się w San Francisco. Tacie wypadła ważna narada w szkole i nie mógł się wyrwać, a mama właśnie zaczęła pracę w biurze turystycznym, więc to babcia zaproponowała, że będzie mi towarzyszyć. „Zrobimy sobie babski weekend. Wpadniemy na podwieczorek do hotelu Fairmont. Obejrzymy sklepy przy Union Square. Przepłyniemy się promem do Alcatraz. Jak turystki”.

Tydzień przed planowanym wyjazdem potknęła się jednak o korzeń drzewa i skręciła kostkę. Musiała nosić na nodze ciężkie usztywnienie i unikać chodzenia. Wybuchła lekka panika.

Powiedziałam, że mogę jechać sama... Wezmę samochód albo pojadę pociągiem i wrócę prosto do domu.

Wtedy dziadek uparł się, że mnie odwiezie. Wybraliśmy się jego pikapem. Dygotałam ze zdenerwowania i ciągle dotykałam talizmanu: patyczka od lodów, który Teddy wręczył mi przed wyjazdem na szczęście. „Złam rękę” – powiedział.

W trasie słuchaliśmy muzyki poważnej albo wiadomości dla rolników, jeśli udało się złapać stację. Poza tym podróż upływała w milczeniu. Była to bardzo uspokajająca cisza, która mnie odprężyła. Poczułam z dziadkiem nawet bliższą więź, niż mogłaby mi dać szczerza rozmowa.

Babcia zarezerwowała nam pokoje w hoteliku pełnym bibelotów. Zabawnie było oglądać dziadka w roboczych butach i kraciastej flanelowej koszuli pośród koronkowych serwetek i potpourri, on jednak wszystko znosił z godnością.

Przesłuchanie było wyczerpujące. Miałam zagrać pięć utworów: koncert Szostakowicza, dwie suites Bacha, całe *Pezzo capriccioso* Czajkowskiego (co zdawało się niemal niemożliwością) oraz fragment muzyki do filmu *Misja* – ciekawy, lecz ryzykowny wybór, bo wykonywał ją także Yo-Yo Ma i wiedziałam, że wszyscy będą mnie porównywać. Wyszłam na uginających się nogach, mokra od potu. Nagły przyptyk endorfin w połączeniu w ogromną ulgą sprawiły, że czułam się jak pijana.

– Przejdziemy się po mieście? – zapytał dziadek i uśmiechnął się niespodziewanie.

– Jasne!

Zrobiliśmy wszystko, co obiecywała mi babcia: dziadek zabrał mnie na podwieczorek i zakupy; co prawda na kolację, zamiast w jedno z eleganckich miejsc na Fisherman's Wharf, gdzie mieliśmy rezerwację, wybraliśmy się do Chinatown, poszukaliśmy restauracji, przed którą stała najdłuższa kolejka, i tam zjedliśmy. Dziadek odwiózł mnie pod dom i mocno przytulił. Zwykle wymieniał z ludźmi tylko uścisk dłoni, w naprawdę szczególnych okolicznościach mógł poklepać po ramieniu. Objął mnie silnie i wiedziałam, że w ten sposób daje do zrozumienia, że świetnie się bawił.

– Ja też, dziadku – szepnęłam.

15:47

Właśnie przed chwilą zostałam przewieziona z sali pooperacyjnej na oddział intensywnej opieki medycznej, czyli OIOM. To pomieszczenie w kształcie podkowy z sześcioma łózkami i zastępem pielęgniarek, które krzątają się bez przerwy, czytając wydruki płynące z zamontowanych przy łózkach komputerów rejestrujących nasze funkcje życiowe. Pośrodku sali ustawiono kolejne komputery i wielkie biurko, za którym siedzi jeszcze jedna siostra.

Jestem pod opieką pielęgniarza i pielęgniarki oraz niekończącej się procesji lekarzy.

Pielęgniarz to milczący mężczyzna o ziemistej cerze, z blond włosami i wąsem, nie budzi mojej sympatii. Pielęgniarka ma skórę tak czarną, że wydaje się niebieskawa, i mówi ze śpiewnym akcentem. Nazywa mnie „kochaniem” i nieustannie poprawia okrycie, chociaż nie wydaje się, bym je skopywała.

Podłączyli do mnie tyle rurek, że nie potrafię ich nawet zliczyć: ta w gardle oddycha za mnie; ta w nosie opróżnia żołądek; ta w żyłę nawilża; ta w pęcherzu robi za mnie siusiu; kilka na piersi rejestruje pracę serca; kolejna na palcu zapisuje puls. Respirator, który tłoczy mi tlen do płuc, ma rytm kojący jak metronom⁴: wdech, wydech, wdech, wydech.

Poza lekarzami, pielęgniarkami i pracownicą socjalną nikt do mnie nie zaglądał. Ta ostatnia rozmawia z babcią i dziadkiem zniżonym, pełnym współczucia głosem. Tłumaczy, że mój stan jest „poważny”. Niezupełnie rozumiem, co to znaczy. W telewizji pacjenci są zawsze w stanie krytycznym albo stabilnym.

„Poważny” nie brzmi dobrze. „Powaga” kojarzy się z grobem, do którego się trafia, kiedy na tym świecie sprawy poszły źle.

– Gdybym tylko mogła coś zrobić – wzdycha babcia. – Czuję się taka bezużyteczna, kiedy tu siedzę i czekam.

– Zaraz sprawdzę, czy można panią do niej zaprowadzić – obiecuje pracownica socjalna.

Ma mocno kręcone siwe włosy, plamę z kawy na bluzce i życzliwą twarz.

– Wciąż jest na środkach uspokajających po operacji i znajduje się pod respiratorem, który pomaga jej oddychać, póki jej ciało nie dojdzie do siebie po wypadku. Ale nawet pacjentom w śpiączce dobrze robi, kiedy słyszą głosy bliskich.

Dziadek chrząka w odpowiedzi.

– Zna pani kogoś, do kogo by można zadzwonić? – pyta kobieta.

– Krewnych, którzy zgodziliby się z panią posiedzieć? Rozumiem, że to ciężka próba, ale im pani będzie silniejsza, tym bardziej pomoże Mii.

Wzdrygam się na dźwięk swojego imienia. To rozdzierające przypomnienie, że o mnie mowa. Babcia wylicza najróżniejsze osoby, które właśnie w tej chwili tu jadą – ciotki, wujów.

Ani słowem nie wspomina o Adamie.

Tylko jego jednego naprawdę chciałabym zobaczyć. Gdybym wiedziała, gdzie jest, spróbowałabym się do niego dostać.

Ciekawe, w jaki sposób się dowie, co mnie spotkało. Babcia i dziadek nie mają jego numeru telefonu. Nie noszą ze sobą komórek, więc on nie może do nich zadzwonić. I nie wiem nawet, skąd by się miał tego domyślić. Ci, którzy w normalnych okolicznościach daliby mu znać, że spotkało mnie coś złego, nie mogą już nic zrobić.

Stoję nad nieruchomym kształtem, który jest mną, oplecionym rurkami, podłączonym do piszczącej maszyny. Skórę mam szarą. Oczy zaklejone taśmą. Chciałabym, żeby ktoś ją zerwał.

Wygląda, jakby mnie swędziało. Ta miła pielęgniarka podchodzi bliżej. Nosi strój szpitalny w lizaki, chociaż to nie oddział pediatryczny. „Jak leci, kochanie?” – pyta, jakbyśmy wpadły na siebie przypadkiem w sklepie spożywczym.

* * *

Z Adamem na początku wcale nie układało się gładko, ale ja chyba wierzyłam, że miłość wszystko zwycięża. A kiedy odwiózł mnie do domu po koncercie Yo-Yo Ma, oboje byliśmy świadomi, że zaczynamy się w sobie zakochiwać. Sądziłam, że największe wyzwanie to dotarcie do tego etapu. W książkach i filmach opowieść kończy się zwykle w chwili, kiedy dwójka zakochanych wymienia czuły pocałunek. To, że odtąd żyli długo i szczęśliwie, uważa się za rzecz oczywistą.

W naszym wypadku wyglądało to trochę inaczej. Okazało się, że pochodzenie z dwóch różnych krańców społecznego uniwersum ma swoje wady. Nadal widywaliśmy się w skrzydle muzycznym, ale były to spotkania platoniczne, jak gdyby żadne nie chciało majstrować przy czymś, co nieźle funkcjonuje. Poza szkołą, kiedy przesiadywaliśmy razem w stołówce albo uczyliśmy się na dziedzińcu w słoneczny dzień, coś wydawało się nie tak. Nie czuliśmy się swobodnie. Rozmowa brzmiała sztucznie. Jedno zaczynało coś mówić i w tym samym momencie drugie wpadało mu w słowo.

– Mów dalej – zachęcałam.

– Nie, ty powiedz – wycofywał się Adam.

Uprzejmości sprawiały mi przykrość. Chciałam z nimi skończyć, odnaleźć blask tamtego wieczoru po koncercie, tylko nie wiedziałam, jak to zrobić.

Adam zaprosił mnie na występ swojej kapeli. To okazało się jeszcze gorsze niż szkoła.

Jeśli w otoczeniu własnej rodziny czułam się jak ryba wyjęta z wody, to w kręgu znajomych Adama miałam wrażenie, że jestem rybą na Marsie. Zawsze otaczali go fantastyczni, pełni energii ludzie, śliczne dziewczyny z mnóstwem kolczyków i farbowanymi włosami, zadufani w sobie kolesie, ożywiający się, gdy zaczynał z nimi rockerską gadkę. Nie potrafiłam udawać fanki. I kompletnie

się nie znałam na rockerskiej gadce. Jako muzyk i jednocześnie córka swojego ojca powinnam rozumieć ten język, ale tak nie było – przypominało to trochę sytuację ludzi mówiących po mandaryńsku, którzy łapią piąte przez dziesiąte z dialektu kantońskiego, bo w rzeczywistości oba dialekty znacznie się różnią, chociaż nie-Chińczykom się zdaje, że wszyscy Chińczycy potrafią się ze sobą dogadać.

Obawiałam się bywać na koncertach kapeli Adama. Nie chodziło o zazdrość ani o to, że nie odpowiadała mi tego rodzaju muzyka. Uwielbiałam patrzeć, jak Adam gra. Kiedy stał na scenie, zdawało się, że gitara zmienia się w jego piątą kończynę, naturalne przedłużenie ciała.

A gdy spocony wychodził po występie, krople na jego twarzy wydawały się tak czyste, że w głębi duszy kusiło mnie, by go polizać po policzku. Nigdy tego jednak nie zrobiłam.

Kiedy oblegali go fani, wycofywałam się. Adam próbował mnie zatrzymać, obejmował w pasie ramieniem, lecz wywijałam się i uciekałam w cień.

– Już mnie nie lubisz? – przyciął mi po którymś występie.

Żartował, ale w jego bezceremonialnym pytaniu słyszałam urazę.

– Nie wiem, czy powinnam przychodzić na twoje koncerty – odparłam.

– Czemu? – spytał. Tym razem nie próbował ukryć zawodu.

– Mam wrażenie, że przeze mnie nie możesz w pełni cieszyć się sławą. Nie chcę ci tego utrudniać.

Zapewnił, że wcale mu nie przeszkadzam, ale widziałam, że to nie do końca prawda.

Pewnie zerwalibyśmy ze sobą dość szybko, gdyby nie moi bliscy. W tym domu, z moją rodziną, poczuł się u siebie.

Chodziliśmy ze sobą od miesiąca, gdy przyprowadziłam go na pierwszy rodzinny obiad. Siedział w kuchni z tatą, prowadząc rockerską gadkę. Przysłuchiwałam się i nadal nie rozumiałam połowy z tego, o czym mówili, ale nie czułam się wykluczona jak podczas występów.

– Grasz w kosza? – spytał tato.

Jeśli chodzi o oglądanie sportu, był fanem baseballu, ale kiedy przyszło do grania, zdecydowanie wolał kosza.

– Jasne – odparł Adam. – To znaczy, nie jestem szczególnie dobry.. – Nie musisz być dobry; wystarczy, że będziesz grał z poświęceniem. Co powiesz na szybki mecz? To odpowiednie buty

– dodał, patrząc na trampki Adama. Obejrzał się na mnie. – Nie masz nic przeciwko?

– Skądże – odparłam z uśmiechem. – Poćwiczę przez ten czas.

Poszli na boisko przy pobliskiej podstawówce. Wrócili po trzech kwadransach. Adam lśnił od potu i wyglądał na lekko oszołomionego.

– Co się stało? Staruszek dał ci wycisk?

Najpierw pokręcił, ale zaraz pokiwał głową.

– W sumie tak. Ale nie o to chodzi. Pszczoła użądliła mnie w dłoń. Twój tato złapał mnie za rękę i wyssał jad.

Kiwnęłam głową. Nauczył się tej sztuczki od babci i inaczej niż w wypadku ukąszeń grzechotników, z pszczołami to naprawdę działa. Ponieważ żądło i jad zostają usunięte, czuje się tylko lekkie swędzenie.

Adam uśmiechnął się speszony. Nachylił się i szepnął mi do ucha: – To trochę dołujące, że jestem w bardziej intymnych stosunkach z twoim ojcem niż z tobą.

Roześmiałam się, ale w pewnym sensie miał rację. W ciągu tych paru tygodni chodzenia ze sobą ograniczyliśmy się do pocałunków. Nie dlatego, że byłam cnotką. BYŁAM dziewicą, ale z całą pewnością nie zamierzałam nią pozostać. A Adam z pewnością wcześniej miał już kogoś.

Chodziło raczej o to, że nasze pocałunki, podobnie jak rozmowy, krępowała ta sama bolesna uprzejmość.

– Chyba musimy coś z tym zrobić – mruknęłam.

Uniósł brwi pytająco. W odpowiedzi oblałam się rumieńcem. Przez cały obiad szczerzyliśmy się do siebie, słuchając Teddy'ego paplającego o kościach dinozaurów, które podobno wykopał w ogródku tego popołudnia. Tato przyrządził słynną pieczeń w soli – moją ulubioną potrawę – ale nie miałam apetytu. Przesuwałam jedzenie na talerzu w nadziei, że nikt nie zauważy. I cały czas rosło we mnie podniecenie. Przypominało mi to kamerton, którego używam do strojenia wiolonczeli. Kiedy się go uderzy, wibruje dźwiękiem A – drgania narastają, aż w końcu cały pokój rozbrzmiewa alikwotami. To właśnie działo się ze mną przy obiedzie pod wpływem uśmiechu Adama.

Po posiłku Adam szybko obejrzał skamieniałe znaleziska Teddy'ego, a potem poszliśmy na górę i zamknęliśmy drzwi. Kim nie wolno siedzieć samej w pokoju z chłopakami – nie żeby miała kiedyś okazję. Moi rodzice nigdy nie wspominali o żadnych zasadach w tej kwestii, wydawało mi się jednak, że wiedzą, co dzieje się między mną i Adamem. Chociaż tatę bawi rola OJCA, KTÓRY WIE NAJLEPIEJ, oboje z mamą głęboko wierzą w miłość.

Adam położył się na łóżku i założył ręce pod głowę. Śmiała mu się cała twarz – oczy, nos, usta.

– Zagraj na mnie – zaproponował.

– Co?

– Chcę, żebyś na mnie zagrała jak na wiolonczeli.

Zaprotestowałam, że to nie ma sensu, ale po chwili dotarło do mnie, że ma, i to wielki.

Wyjęłam z szafy zapasowy smyczek.

– Zdejmij koszulę – poleciłam drżącym głosem.

Usłuchał. Chociaż szczupły, był świetnie zbudowany.

Mogłabym przez bite dwadzieścia minut gapić się na rzeźbę jego piersi. On jednak chciał, żebym była bliżej. I JA chciałam być bliżej.

Usiadłam na łóżku, tak by mieć przed sobą jego długie, wyciągnięte ciało. Drżącą dłonią odłożyłam smyczek. Sięgnęłam lewą ręką i pogładziłam Adama po głowie, jakby to była główka wiolonczeli. Uśmiechnął się znowu i zamknął oczy. Odprężyłam się odrobinę. Musnęłam jego uszy, jakby były kołkami, na które nawija się struny, a potem połaskotałam go żartobliwie, aż cicho zachichotał. Ułożyłam dwa palce na jego szyi. Następnie wzięłam głęboki oddech dla dodania sobie odwagi i sięgnęłam do piersi. Przesunęłam dłońmi w dół i w górę przez całą długość torsu, wyczuwając ścięgna przy zakończeniach mięśni, i przypisałam każdemu z nich jedną strunę – A, G, C, D. Końcami palców

prześledziłam kolejno ich przebieg. Adam spoważniał, jakby się na czymś koncentrował.

Sięgnęłam po smyczek i przeciągnęłam nim w poprzek na wysokości bioder Adama, gdzie – jak sobie wyobraziłam – znajdowałyby się podstawek wiolonczeli. Zagrałam z początku delikatnie, potem z większą siłą i energią, w miarę jak melodia rozbrzmiewająca teraz w mojej głowie nabierała mocy. Adam leżał zupełnie nieruchomo, z jego ust wydobywały się ciche westchnienia. Spojrzałam na smyczek, na swoje ręce, na twarz Adama i poczułam ogarniającą mnie falę miłości i pożądania oraz nieznanego dotąd poczucia siły. Nie miałam pojęcia, że ja mogłabym wywołać u kogoś takie uczucia.

Kiedy skończyłam, Adam wstał i pocałował mnie długo, namiętnie. „Moja kolej” – rzucił.

Podniósł mnie z łóżka i na początek zdjął mi przez głowę sweter i zsunął trochę dzinsy. Potem usiadł na łóżku i ułożył mnie sobie na kolanach. Z początku tylko mnie trzymał. Z zamkniętymi oczyma próbowałam poczuć jego wzrok na swoim ciele, kiedy na mnie patrzył jak nikt wcześniej.

Następnie zaczął grać.

Najpierw parę akordów tuż poniżej ramion, co łaskotało i pobudziło mnie do śmiechu.

Delikatnie musnął mnie dłońmi, przesuając w dół. Przestałam chichotać. Wrażenie, że jestem kamertonem, nasiliło się – vibracje narastały z każdym dotknięciem Adama.

Po chwili zmienił styl na hiszpański, kiedy potrąca się struny czubkami palców.

Traktował górną połowę mojego ciała jak gryf, pieszcząc włosy, twarz, szyję. Muskał moje piersi i brzuch, ale czułam, że jego dotyk rozchodzi się po całym moim ciele. Grał coraz energiczniej; kamerton oszalał, pulsował od vibracji, aż całe moje ciało zaczęło śpiewać i nie mogłam złapać tchu. A kiedy poczułam, że nie wytrzymam tego ani chwili dłużej, wir wrażeń osiągnął oszalamiające crescendo i każdy mój nerw zapłonął.

Otworzyłam oczy, rozkoszując się ciepłą falą spokoju, rozlewającą się po ciele.

Wybuchnęłam śmiechem. Adam też. Całowaliśmy się aż do czasu, kiedy musiał wracać do domu.

Odprowadzając go do samochodu, chciałam powiedzieć, że go kocham. Ale wydawało się to banalne po tym, co właśnie zrobiliśmy. Powstrzymałam się więc i powiedziałam to następnego dnia. „Co za ulga. Bałam się, że zależy ci tylko na seksie” – zażartował z uśmiechem.

Od tamtej pory w naszym związku nadal zdarzały się problemy, lecz przesadna uprzejmość do nich nie należała.

16:39

Zdążył się już zebrać cały tłum. Babcia i dziadek. Wuj Greg. Ciocia Diane. Ciocia Kate.

Moi kuzyni Heather, John i David. Tato ma czworo rodzeństwa, więc w kolejce czeka masa krewnych. Nikt nie wspomina o Teddym, z czego wnioskuję, że go tu nie ma. Pewnie wciąż leży w drugim szpitalu, gdzie opiekuje się nim Willow.

Krewni gromadzą się w szpitalnej poczekalni. Nie tej małej przy oddziale chirurgicznym, gdzie widziałam babcię i dziadka w czasie mojej operacji, ale większej, w głównej części szpitala, pomalowanej gustownie w odcieniach jasnego fioleto, wyposażonej w wygodne fotele i sofy oraz niemal aktualne gazety. Wszyscy nadal mówią zniżonym głosem, jakby dla okazania szacunku innym czekającym, chociaż w poczekalni znajdują się tylko członkowie mojej rodziny.

Wszystko wydaje się takie poważne, takie złowróżbne. Wracam na korytarz, żeby odetchnąć.

Jestem szczęśliwa, kiedy zjawia się Kim uczesana w długi, czarny warkocz. Zaplata go codziennie. Zawsze przed porą lunchu loczki i loki wymykają się z gęstej czupryny niczym delikatne, niesforne macki. Kim jednak nie daje za wygraną i co rano splata włosy na nowo.

Towarzyszy jej mama. Nie pozwala córce prowadzić na dłuższe dystanse, a po tym, co się dzisiaj stało, z pewnością nie zrobi wyjątku. Pani Schein ma czerwoną, pokrytą plamami twarz, jakby płakała albo zamierzała się rozplakać. Wiem, bo wiele razy widziałam ją szlochającą. Jest bardzo uczuciowa. „Histeryczka – komentuje Kim. – To geny żydowskiej matki. Nie może nic na to poradzić. Pewnego dnia też taka będę”.

Kim stanowi całkowite przeciwieństwo matki: zabawna i ironiczna w nieostentacyjny sposób, tak że ciągle musi powtarzać „tylko żartowałam” ludziom, którzy nie łapią jej sarkastycznego dowcipu – dlatego nie potrafię sobie wyobrazić, jak się upodabnia do pani Schein. Ale też nie mam do czego porównywać. W naszym mieście nie ma wielu żydowskich matek, a w szkole – wielu dzieciaków żydowskiego pochodzenia. Te ostatnie są zwykle żydami jedynie w połowie, co właściwie oznacza, że obok choinki stoi u nich menora.

Kim jednak jest żydówką naprawdę. Czasem uczestniczę w kolacji szabasowej wraz z jej rodziną, kiedy zapalają świece, jedzą chały i piją wino (jedynie przy tej okazji neurotyczna pani Schein pozwala córce pić alkohol). Wszyscy oczekują, że Kim będzie się umawiać tylko z żydowskimi chłopakami – więc nie umawia się z nikim. Żartuje, że jej rodzina przeprowadziła się do Oregonu w celu utrudnienia jej kontaktów z płcią przeciwną, ale naprawdę chodziło o to, że ojca zatrudniono jako szefa fabryki chipów komputerowych. Kiedy skończyła trzynaście lat, miała bat micwę w synagodze w Portland i podczas ceremonii zapalania świec na przyjęciu poproszono mnie, żebym też jedną zapaliła. W każde wakacje wyjeżdża na zgrupowanie żydowskiej młodzieży w New Jersey, które nazywa się Obóz Tora Habonim, ale Kim mówi Tora Bara-Bara, bo jedyne, czym wszyscy się zajmują całe lato, to obściskiwanie.

– Całkiem jak letni obóz muzyczny – zażartowała, chociaż moje wyjazdy z konserwatorium w niczym nie przypominają tych w filmie *American Pie: Wakacje*.

Teraz jednak widzę, że Kim jest wkurzona. Idzie szybko korytarzem, utrzymując odległość dobrych trzech metrów od matki. Naraz wtula głowę w ramiona jak kot, który właśnie spostrzegł psa. Obraca się i patrzy na panią Schein.

– Przestań! – rozkazuje. – Skoro ja nie płaczę, ty też nie masz

prawa ryczeć, do cholery!

Kim nigdy nie przeklina, więc jestem w szoku.

– Ale... – protestuje pani Schein – ...jak możesz być taka... – szloch – ...taka spokojna, kiedy.. – Przestań! – przerywa córka. – Mia jeszcze nie umarła. Więc nie będę płakać. A jeśli ja nie będę, ty też się nie waź!

Rusza sztywno w stronę poczekalni, z matką wlokącą się bezwolnie z tyłu. Kiedy docierają do celu i widzą moich krewnych, pani Schein zaczyna pociągać nosem.

Tym razem Kim nie przeklina. Ale jej uszy różowieją, co znaczy, że nadal jest wściekła: – Zostaniesz tutaj. Ja idę się przejść. Wrócę za jakiś czas.

Wędruję za nią z powrotem na korytarz. Obchodzi główny hol, okrąża sklepik z prezentami, zagląda do baru. Zerka na tablicę informacyjną. Chyba wiem, dokąd pójdzie, zanim jeszcze sama się zdecyduje.

W podziemiu znajduje się niewielka kaplica. Panuje w niej cisza jak w bibliotece, stoją pluszowe krzesła, jakie widuje się w kinie, i cicho gra muzyka w stylu New Age.

Kim siada na jednym z tylnych krzeseł. Zdejmuje czarny aksamitny płaszcz, którego jej zazdroścę, odkąd go kupiła w galerii handlowej w New Jersey, kiedy odwiedziła dziadków.

– Uwielbiam Oregon – mówi i próbuje się zaśmiać, ale głos więźnie jej w gardle.

Z ironicznego tonu zgaduję, że rozmawia ze mną, nie z Bogiem.

– Oto szpitalne wyobrażenie o bezwyznaniowości.

Szerokim gestem ogarnia kaplicę. Na ścianie wisi krucyfiks, nad kazalnica udrapowana sztandar z krzyżem, w głębi widać kilka obrazów Madonny z Dzieciątkiem.

– My mamy swój symbol w postaci gwiazdy Dawida – ciągnie, wskazując sześcioramienną gwiazdę. – Ale co z muzułmanami? Żadnych modlitewnych dywaników ani znaku wskazującego, w którą stronę do Mekki? I co z buddystami? Nie stać ich było na gong?

Rozumiesz, w Portland znajdziesz pewnie więcej buddystów niż żydów.

Siadam na krześle obok. Wydaje się to takie naturalne: że Kim mówi do mnie jak zwykle.

Poza sanitariuszką, która dodawała mi otuchy, i pielęgniarką pytającą co jakiś czas, jak się miewam, od wypadku nikt się do mnie nie odezwał. Jedynie o mnie rozmawiają.

Właściwie nigdy nie widziałam, żeby Kim się modliła. To znaczy, modliła się w czasie bat micwy i odmawia błogosławieństwa podczas kolacji szabasowej, ale tylko dlatego, że tak trzeba. Najczęściej żartuje ze swojej religii. Ale po chwili przestaje ze mną rozmawiać, zamyka oczy, porusza wargami i mruczy słowa w nieznanym mi języku.

Potem otwiera oczy i zaciera ręce, jakby mówiła „dość tego”.

Zastanawia się i dodaje ostatnią prośbę.

– Proszę, nie umieraj. Rozumiem, czemu chcesz umrzeć, ale pomyśl tylko: jeśli to zrobisz, w szkole urządzią ckliwą żałobną imprezę *à la* księżna Diana i wszyscy będą składać kwiaty, świece i liściki wokół twojej szafki. – Grzbietem dłoni ociera zbuntowaną łzę. – Wiem, że nie znosisz takich klimatów.

* * *

Może chodziło o to, że byliśmy do siebie zbyt podobne. Kiedy tylko Kim się pojawiła, wszyscy założyli, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, ponieważ obie mamy ciemne włosy, jesteśmy milczące, pilne i przynajmniej z pozoru poważne. W rzeczywistości żadna z nas nie była szczególnie dobrą uczennicą (czwórki z góry na dół) ani, skoro już o tym mowa, taka znowu poważna. Traktowałyśmy poważnie niektóre sprawy – w moim wypadku była to muzyka; sztuka i fotografia w wypadku Kim – co w uproszczonym gimnazjalnym świecie wystarczało, żeby nas postrzegać jako bliźniaczki rozdzielone po urodzeniu.

Z miejsca zaczęto nas wyznaczać razem do różnych zadań. Trzeciego dnia Kim jako jedyna zgłosiła się na wuefie na kapitana drużyny piłki nożnej, co uznałam za dowód wyjątkowego lizusostwa. Kiedy wkładała czerwoną bluzę, trener rozejrzał się po klasie, szukając kapitana drużyny B, i wzrok zatrzymał na mnie, mimo że należałam do najmniej wysportowanych uczennic. Wlokąc się z ociąganiem po bluzę, szturchnęłam Kim i burknęłam: „Wielkie dzięki”.

W następnym tygodniu nauczycielka angielskiego kazała nam pracować w parze podczas dyskusji o *Zabić drozda* Harper Lee. Przez mniej więcej dziesięć minut siedziałyśmy naprzeciw siebie w grobowym milczeniu. W końcu się odezwałam: – Chyba powinniśmy pogadać o rasizmie na Południu albo czymś w tym guście.

Kim wywróciła oczami, aż miałam ochotę cisnąć w nią słownikiem. Zaskoczyło mnie, jak żywołowo jej nienawidzę. – Przerabialiśmy tę książkę w dawnej szkole – odpowiedziała. – Rasizm to banał. Myślę, że ważniejsza jest kwestia dobra w człowieku: czy ludzie są z natury dobrzy i zjawiska takie jak rasizm zmieniają ich w złych, czy też są od początku źli i muszą ciężko nad sobą pracować, żeby się temu przeciwstawić? – Kogo to obchodzi? – mruknęłam. – To głupia książka.

Nie mam pojęcia, czemu tak powiedziałam, bo w rzeczywistości ją uwielbiałam i dyskutowałam o niej z tatą; przerabiał ją z uczniami w szkole. Znienawidziłam Kim jeszcze bardziej za to, że przez nią zdradziłam ukochaną powieść.

– Okej. Więc zrobimy po twojemu – odparła, a kiedy obie dostałyśmy czwórki minus, wyglądało, jakby marny stopień sprawił jej wielką satysfakcję.

Wtedy przestałyśmy się do siebie odzywać. Mimo to nauczyciele nadal łączyli nas w parę, a wszyscy uważali za przyjaciółki. Im częściej się to zdarzało, tym bardziej nie mogłyśmy tego znieść – i siebie nawzajem. Im mocniej cały świat próbował nas zbliżyć, tym silniej się buntowałyśmy. Każda udawała, że druga nie istnieje, chociaż samo to dostarczało nam tematu do rozmyślań na całe godziny.

Czułam, że muszę wynaleźć powody, dla których nie znoszę Kim: była fałszywa; irytująca; uwielbiała się popisywać. Później odkryłam, że Kim robiła to samo, chociaż jej głównym wynalezionym zarzutem było, że jestem dziwką. Kiedyś nawet to napisała. Na lekcji angielskiego ktoś rzucił złożoną kartkę z zeszytu na podłogę obok mojej prawej stopy.

Podniosłam ją i rozprostowałam. „Dziwka!” – tak właśnie było

na niej napisane.

Nikt nigdy mnie tak nie nazwał i chociaż naturalnie wpadłam w furję, w głębi duszy pochlebiało mi, że wzbudzam na tyle silne uczucia, by zasłużyć na tę obelgę. Mamę ciągle tak nazywano, pewnie dlatego, że nie umiała trzymać języka za zębami i potrafiła być boleśnie bezpośrednia, kiedy się z kimś nie zgadzała.

Wybuchła jak wulkan, a po chwili wszystko było w porządku. Tak czy owak nie przejmowała się, że ludzie wyzywają ją od dziwek.

„To po prostu synonim słowa feministka” – wyjaśniła z dumą.

Nawet tato czasem tak do niej mówi, ale zawsze w żartobliwym, pochlebnym sensie. Nigdy w czasie awantur. Ma swój rozum.

Podniosłam wzrok znad podręcznika do gramatyki. Tylko jedna osoba mogła mi przysłać taki liścik, ale i tak ledwie w to wierzyłam. Rozejrzałam się po klasie. Wszyscy trzymali nosy w książkach. Oprócz Kim. Uszy jej się tak zaczerwieniły, że wydawało się, jakby krótkie, podobne do bokobrodów ciemne loczki także oblały się rumieńcem. Patrzyła na mnie ponuro. Chociaż miałam jedenaście lat i nie znałam się jeszcze dobrze na ludziach, umiałam rozpoznać, gdy ktoś rzuca mi rękawicę. Nie pozostało mi nic innego, jak ją podnieść.

Kiedy podrosłyśmy, lubiłyśmy żartować, że tamta walka sprawiła nam wielką frajdę. Nie tylko scementowała naszą przyjaźń, lecz także była pierwszą i zapewne JEDYNĄ szansą na porządną rozróbę. W jakiej innej sytuacji takie dziewczyny jak my mogłyby się pobić? Ja uprawiałam zapasy z Teddym i czasem go szczypałam, ale bójka na pięści? Był za mały, a gdyby nawet miał więcej lat, traktowałam go trochę jak brata, a trochę jak własne dziecko.

Opiekowałam się nim od pierwszych tygodni życia. Nie potrafiłabym go skrzywdzić. Kim, jedynaczka, nie miała rodzeństwa, któremu mogłaby przyłać. Pozostawałoby jej jedynie znaleźć okazję do walki na obozie, lecz poniosłaby poważne konsekwencje: ciągnące się godzinami seminaria z opiekunami i rabinem na temat rozwiązywania konfliktów. „Moi potrafią walczyć jak mały kto, ale za pomocą słów, mnóstwa słów” – wyznała mi kiedyś.

Tamtego jesiennego dnia walczyłyśmy jednak na pięści. Po ostatnim dzwonku w milczeniu wyszłyśmy na dziedziniec, rzuciłyśmy plecaki na ziemię wilgotną od padającej cały dzień mżawki. Kim walnęła mnie z byka, aż zaparło mi oddech.

Uderzyłam ją w głowę sierpowym jak mężczyzna. Dokoła zebrała się gromada dzieciaków, żeby obserwować widowisko. Bójka stanowiła nowość w naszej szkole. Bójka między dziewczynami to było coś superniezwykłego. A zobaczyć bijące się dwie dobre uczennice przypominało trafienie szóstki w totka.

Zanim nauczyciele nas rozdzielili, na widowni zebrała się połowa szóstoklasistów (prawdę mówiąc, to właśnie gapiący się uczniowie zaalarmowali opiekunów, że coś się dzieje).

Walka, jak sądzę, zakończyła się remisem. Ja miałam rozciętą wargę i posiniaczony nadgarstek – to ostatnie zafundowałam sobie sama, kiedy cios wymierzony w ramię Kim trafił w słupek na boisku do siatkówki. Kim miała spuchnięte oko i paskudnie otarte udo po tym, jak potknęła się o swój plecak, próbując mnie kopnąć. Nie było żadnego szczerzego zakończenia wojny, żadnego

oficjalnego zawieszenia broni.

Kiedy tylko nauczyciele nas rozdzielili, spojrzaliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem.

Wspólnymi siłami wykręciliśmy się od wizyty w gabinecie dyrektora i pokuśtykałyśmy do domu. Kim wyznała mi, że zgłosiła się na kapitana tylko dlatego, żeby potem mieć spokój, bo kiedy na początku roku szkolnego trener kogoś zapamięta, to później go nie męczy (przydatna sztuczka, której się od niej nauczyłam). Ja wyjaśniłam, że tak naprawdę zgadzam się z jej interpretacją *Zabić drozda*, jednej z moich ulubionych książek. I tyle. Zostałyśmy przyjaciółkami, tak jak wszyscy zakładali od samego początku. Nigdy więcej nie podniosłyśmy na siebie ręki i choć często ścierałyśmy się słownie, sprzeczki kończyły się podobnie jak walka na pięści: wybuchem śmiechu.

Po naszej bitwie pani Schein nie pozwoliła Kim odwiedzać mnie w domu, przekonana, że córka wróciłaby o kulach. Mama zaofiarowała się pójść i załagodzić sprawę, lecz oboje z tatą świetnie rozumieliśmy, że ze względu na jej temperament misja dyplomatyczna mogłaby się skończyć nakazem aresztowania nas wszystkich. Ostatecznie tato zaprosił państwa Schein na kolację z pieczonym kurczakiem w roli głównej i chociaż widać było, że mama Kim wpadła w lekki popłoch na widok naszej rodziny („A więc pracuje pan w sklepie muzycznym i równocześnie studiuje metodykę? I to PAN gotuje w domu? Jakie to niezwykle”) – pan Schein uznał moich rodziców za osoby przyzwoite, a całą rodzinę za niegroźną, po czym oznajmił żonie, że powinna pozwolić Kim odwiedzać nas bez przeszkód.

Na parę miesięcy zrzuciłyśmy maski grzecznych uczennic.

Plotki o naszej walce zataczały coraz szersze kręgi, obrastając w barwne szczegóły – połamane żebra, wyrwane paznokcie, ślady po ugryzieniach. Kiedy wróciłyśmy do szkoły po feriach zimowych, wszystko poszło w zapomnienie. Stałyśmy się znów ciemnowłosymi, milczącymi, pilnymi bliźniaczkami.

Nas jednak przestało to obchodzić. Prawdę mówiąc, z biegiem lat opinia okazała się całkiem przydatna. Jeśli na przykład obie byłyśmy nieobecne, wszyscy zakładali, że złapałyśmy tego samego wirusa, a nie że wagarowałyśmy, aby zapoznać się z ambitnym kinem na uniwersyteckich zajęciach z filmoznawstwa. Kiedy ktoś dla żartu wystawił naszą szkołę na sprzedaż, obstawiając ją tablicami i umieszczając zdjęcie na eBayu, podejrzliwe spojrzenia skierowały się w stronę Nelsona Bakera i Jenny McLaughlin, nie naszą. Nawet jeśli przyznałybyśmy się do kawału – co planowałyśmy zrobić, gdyby ktoś inny wpadł przez nas w tarapaty – niełatwo przyszłoby nam wszystkich przekonać, że to naprawdę nasz pomysł.

Kim ogromnie to bawiło.

– Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć – mawiała.

16:47

Kiedyś mama przeszmygłowała mnie do kasyna. Jechaliśmy na wakacje do Crater Lake i zatrzymaliśmy się na obiad w jakiejś letniskowej miejscowości w indiańskim rezerwacie. Mama postanowiła spróbować szczęścia w grach hazardowych, więc z nią

poszłam, a tato został z Teddym drzemiącym w wózku. Usiadła przy stoliku do black jacka ze stawkami od dolara.

Krupier zerknął na mnie, potem na nią. Widząc jego lekko zdumioną minę, posłała mu spojrzenie tak ostre, że przecięłoby diament, a zaraz potem uśmiech iskrzący się niczym brylant. Krupier uśmiechnął się pokornie, nic nie mówiąc. Patrzyłam zafascynowana, jak mama gra. Wydawało się, że spędziłyśmy tam zaledwie kwadrans, ale wkrótce zjawili się tato i Teddy, którzy wyruszyli na poszukiwania – obaj nadąsani. Okazało się, że nie było nas ponad godzinę.

OIOM jest taki sam. Nie sposób określić, jaka to pora ani ile czasu minęło. Nie ma naturalnego światła. Wszystkiemu towarzyszy podkład dźwiękowy, tylko że zamiast elektronicznych popiskiwań automatów do gry i krzepiącego brzęku ćwierćdolarówek słychać buczenie i warkot sprzętu medycznego, przytłumione komunikaty dobiegające z głośników i niemilknący szmer rozmów pielęgniarek.

Nie mam całkowitej pewności, ile czasu tu spędziłam.

Niedawno moja ulubiona pielęgniarka ze śpiewnym akcentem oznajmiła, że idzie do domu. „Wrócę jutro i chcę cię tu zastać, kochanie” – oznajmiła. Z początku uznałam to za dziwne. Czyżby nie chciała, żebym wróciła do domu albo została przeniesiona do innej części szpitala? Potem jednak zrozumiałam: pragnęła zobaczyć mnie na tym oddziale – żywą, nie martwą.

Lekarze zagląдают bardzo często, unoszą mi powieki i świecą latarkami. Robią to szorstko i w pośpiechu, jakby nie uważali, że należy się z nimi obchodzić delikatnie. Dzięki temu uświadamiam sobie, jak rzadko w normalnym życiu dotykamy nawzajem swoich oczu. Czasem rodzice przytrzymują powiekę, żeby wyjąć pyłek, albo chłopak muska ją wargami lekko jak motyl, tuż zanim odpłyniemy w sen. Powieki nie przypominają łokci, kolan czy ramion: części ciała nawykłych do szturchańców.

Pracownica socjalna staje przy moim łóżku. Przegląda kartę i gawędzi z jedną z pielęgniarek, która zwykle przesiaduje przy wielkim biurku pośrodku sali. Zdumiewające, jak czujnie jest się tu obserwowanym. Jeśli nie świecą latarką w oczy albo nie czytają wydruków płynących strugą z drukarek przy łóżkach, to kontrolują funkcje życiowe na monitorze centralnego komputera. Jeśli coś idzie nie tak jak trzeba, któryś z czujników zaczyna piszczeć.

Co chwila rozlega się alarm. Z początku mnie to niepokoiło, teraz jednak wiem, że w połowie wypadków to znak złego funkcjonowania maszyny, a nie człowieka.

Pracownica socjalna wygląda na wyczerpaną; z pewnością chętnie położyłaby się na którymś z wolnych łóżek. Nie jestem jej jedyną podopieczną. Całe popołudnie kursowała między pacjentami a ich krewnymi. Stanowi pomost pomiędzy lekarzami i zwykłymi ludźmi; widać po niej napięcie, jakiego wymaga balansowanie na granicy dwóch światów.

Czyta kartę i rozmawia z pielęgniarkami, a potem wraca piętro niżej do moich bliskich, którzy przestali dyskutować półgłosem i oddali się indywidualnym zajęciom. Babcia robi na drutach.

Dziadek udaje, że drzemie. Ciocia Diane rozwiązuje sudoku.

Kuzyni na zmianę bawią się game boyem z wyłączonym dźwiękiem.

Kiedy Kim wróciła z kaplicy, zastała panią Schein w stanie kompletnego załamania.

Okropnie się zawstydziła i pośpiesznie wyprowadziła matkę.

Prawdę mówiąc, sędzę, że obecność pani Schein okazała się błogosławieństwem. Pocieszając ją, wszyscy mieli zajęcie, mogli się poczuć użyteczni. Teraz znowu są nikomu niepotrzebni.

Pracownica socjalna wchodzi do poczekalni i wszyscy zrywają się z miejsc jak na powitanie króla. Kobieta uśmiecha się blado, co widziałam dziś kilkanaście razy. Myślę, że w ten sposób daje znać, że wszystko w porządku albo nic się nie zmieniło; przyszła tylko dostarczyć najnowsze wiadomości, a nie zrzucić bombę.

– Mia wciąż jest nieprzytomna, ale jej funkcje życiowe ulegają poprawie – wyjaśnia zebrany, którzy porzucili w nieładzie zabawki na krzesłach. – W tej chwili jest u niej specjalista od dróg oddechowych. Właśnie przeprowadza badania, by ustalić, jak działają płuca i czy można ją odłączyć od respiratora.

– Więc to dobra nowina, tak? – upewnia się ciocia Diane. – Skoro może oddychać sama, to wkrótce się obudzi?

Kobieta odpowiada wyćwiczonym, współczującym skinieniem.

– To dobry znak, jeśli będzie mogła oddychać samodzielnie.

Świadczy, że jej płuca się goją, a stan się stabilizuje. Jednak urazy mózgu wciąż pozostają niewiadomą.

– Jak to? – przerywa kuzynka Heather.

– Nie wiemy, kiedy się obudzi, i nie znamy rozmiarów uszkodzeń mózgu. Pierwsza doba jest krytyczna; Mia ma najlepszą możliwą opiekę.

– Możemy ją zobaczyć? – pyta dziadek.

Kobieta potakuje.

– Dlatego przyszłam. Myślę, że dobrze by jej zrobiły krótkie odwiedziny. Tylko jedna lub dwie osoby.

– My pójdziemy – oznajmia babcia, występując naprzód.

Dziadek staje u jej boku.

– Słusznie, tak właśnie pomyślałam – zgadza się pracownica socjalna. – Niedługo wrócimy – wyjaśnia pozostałym członkom rodziny.

Cała trójka w milczeniu rusza korytarzem. W windzie kobieta próbuje przygotować dziadków na mój widok, opowiada o obrażeniach zewnętrznych, które wyglądają poważnie, ale są uleczalne. „Najbardziej niepokoją lekarzy urazy wewnętrzne” – wyjaśnia.

Traktuje dziadków, jakby byli dziećmi. Oni jednak są twardsi, niż można by sądzić.

Dziadek był sanitariuszem w Korei. A babcia ciągle ratuje różne stworzenia: ptaki z połamanyimi skrzydłami, chorego bobra, jelenia potrąconego przez samochód. Jeleń trafił do rezerwatu przyrody: zabawne, bo normalnie babcia nie znosi tych zwierząt – niszczą jej ogród. „Urocze łajdaki” – mówi o nich. „Smaczne łajdaki” – ripostuje dziadek, piekąc na grillu steki z dziczyzny. Jeśli jednak chodzi o tamtego jelenia, babcia nie mogła patrzeć, jak cierpi, więc go uratowała.

W głębi duszy podejrzewam, że uznała go za któregoś ze swoich aniołów.

A jednak, kiedy przez podwójne automatyczne drzwi wchodzi na OIOM, oboje się zatrzymują, jakby powstrzymani przez

niewidzialną barierę. Babcia bierze dziadka za rękę, a ja próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam, żeby robiła to wcześniej. Rozgląda się po łózkach, szukając mojej postaci, lecz w chwili, kiedy pracownica socjalna wyciąga dłoń, dziadek mnie zauważa i rusza do mojego łóżka.

– Hej, kaczuszeko – mówi. Nie nazywał mnie tak od wieków, od czasu, kiedy byłam młodsza niż Teddy. Babcia zbliża się wolno, chwytając powietrze niewielkimi haustami. Chyba jednak ranne zwierzęta to zupełnie co innego.

Pracownica socjalna przysuwa dwa krzesła i ustawia je w nogach łóżka.

– Mio, twoi dziadkowie są tutaj. – Zaprasza ich gestem, by usiedli. – Zostawię teraz państwa samych.

– Czy ona nas słyszy? – pyta babcia. – Czy zrozumie, co będziemy do niej mówić?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiada kobieta. – Ale państwa obecność może wpłynąć kojąco, jak długo państwa słowa będą uspokajające.

Posyła im surowe spojrzenie, jakby ostrzegając, by nie mówili nic, co by mnie mogło zaniepokoić. Wiem, że jej praca polega na udzielaniu takich właśnie ostrzeżeń; że ma na głowie tysiące spraw i nie zawsze może okazywać wrażliwość, ale przez sekundę jej nienawidzę.

Po jej wyjściu babcia i dziadek siedzą chwilę w milczeniu.

Potem babcia zaczyna paplać o orchideach, które hoduje w szklarni. Zauważam, że zmieniła ogrodniczy fartuch na czystą parę sztruksów i sweter. Ktoś musiał jej przywieźć z domu świeże ubranie. Dziadek siedzi zupełnie nieruchomo, tylko ręce mu drżą.

Nie jest gadatliwy, więc musi mu być trudno rozmawiać na rozkaz.

Przechodzi kolejna pielęgniarka. Ma ciemne włosy i ciemne oczy podkreślone mocnym, błyszczącym makijażem. Nosi też tipsy z naklejonymi serduszkami. Takie piękne paznokcie z pewnością wymagają sporo wysiłku. Jestem pełna podziwu.

Nie zajmuje się mną, ale mimo to podchodzi do babci i dziadka.

– Niech państwo nie wątpią ani przez chwilę, że ona może was słyszeć – mówi. – Zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje wokół.

Przystaje wsparta pod boki. Niemal potrafiłabym sobie wyobrazić, jak wydmuchuje balon z gumy do żucia. Babcia i dziadek wpatrują się w nią, spijając z jej ust każde słowo.

– Pewnie państwo myślą, że wszystko zależy od lekarzy, pielęgniarek i tego tutaj – ciągnie, wskazując gestem ścianę sprzętu medycznego. – Nic podobnego, to ona o wszystkim decyduje. Może czeka tylko na właściwy moment. Więc niech państwo z nią rozmawiają. Proszę jej powiedzieć, że ma czas, ale musi wrócić. Że państwo na nią czekają.

* * *

Mama i tato nigdy nie nazwaliby mnie ani Teddy'ego pomyłką.

Ani wypadkiem przy pracy. Ani niespodzianką. Ani nie użyliby innego głupiego określenia. Żadne z nas nie było jednak zaplanowane i nigdy nie próbowali ukryć tego faktu.

Mama zaszła w ciążę, kiedy była bardzo młoda. Nie jako nastolatka, ale znacznie wcześniej od znajomych. Miała dwadzieścia trzy lata i od roku była mężatką.

W jakiś dziwny sposób tato zawsze zdawał się staroświeckim facetem; większym tradycjonalistą, niż można by sądzić. Mimo niebieskich włosów i tatuaży, mimo że chodził w skórzanej kurtce i pracował w sklepie płytowym, chciał się ożenić z mamą w czasach, kiedy reszta przyjaciół wciąż fundowała sobie po pijaku przygody na jedną noc. „Kochanka to takie głupie słowo – mawiał. – Nie potrafiłbym tak mówić o mojej dziewczynie. No więc musieliśmy się pobrać, żebym ją mógł nazywać ŻONĄ”.

Mama z kolei miała kompletnie popapraną rodzinę. Oszczędziła mi drastycznych szczegółów, ale wiedziałam, że ojciec dawno się ulotnił i że na jakiś czas straciła kontakt z matką, chociaż teraz widywaliśmy się z babcią i papą Richardem (bo tak nazywaliśmy ojczyma mamy) parę razy do roku.

Zafascynował ją więc nie tylko sam tato, lecz także jego wielka, w znacznej części kompletna, względnie normalna rodzina. Zgodziła się za niego wyjść, chociaż znali się tylko rok.

Oczywiście zrobili to po swoimemu. Ślubu udzieliła im sędzia pokoju, lesbijka, a przyjaciele odegrali na gitarach zgrzytliwą od przesterowań wersję marsza weselnego. Panna młoda miała na sobie suknię z frędzli w stylu lat trzydziestych i czarne szpiczaste buty. Pan młody wystąpił w skórze.

Wpadka ze mną zdarzyła się przez ślub znajomego. Okazało się, że dziewczyna jednego z kumpli taty – muzyka, który przeprowadził się do Seattle – jest w ciąży, więc postanowili się pobrać. Mama i tato pojechali na ślub; na weselu trochę popili i po powrocie do hotelu nie byli tak ostrożni jak zwykle. Trzy miesiące później na teście ciążowym zobaczyli cienką niebieską linię. Jeśli wierzyć temu, co opowiadali, żadne nie czuło się szczególnie gotowe do roli rodzica.

Jeszcze nie czuli się dorośli. Ale nie było wątpliwości, co postanowią. Mama niewzruszenie opowiadała się za prawem kobiety do wyboru. Na zderzaku swojego wozu miała nalepkę: „Skoro nie chcesz mi powierzyć wyboru, jak możesz powierzyć mi dziecko?”. Ale w jej wypadku wybór oznaczał, że mnie zatrzyma. Tato wahał się dłużej. Bał się bardziej. Do chwili, kiedy zobaczył, jak lekarz trzyma mnie na rękach, i wybuchnął płaczem. – Bujda na kółkach – irytował się, kiedy mama opowiadała tę historię. – Nic podobnego.

– Więc nie płakałeś? – pytała z sarkastycznym rozbawieniem.

– RONIŁEM ŁZY. Nie płakałem.

Po czym puszczał do mnie perskie oko i odgrywał pantomimę, udając, że szłocha jak dziecko.

Ponieważ byłem jedynym maluchem w kręgu ich znajomych, uchodziłam za atrakcję.

Wychowywała mnie gromada muzyków; miałam tuziny cioć i wujków, traktujących mnie jak własną małą znajdę, nawet kiedy zaczęłam zdradzać dziwaczne upodobanie do muzyki klasycznej. Nie odczuwałam też braku prawdziwych krewnych. Babcia i dziadek mieszkali niedaleko, więc z największą radością zabierali mnie na weekendy, żeby rodzice mogli poszaleć i balować do rana na występach taty.

Miałam chyba ze cztery lata, kiedy rodzice uświadomili sobie, że naprawdę wychowują dziecko – chociaż bez góry pieniędzy czy „prawdziwej” pracy. Mieszkaliśmy w ładnym domku z niskim

czynszem. Nie brakowało mi ubrań (nawet jeśli były to używane stroje po kuzynach), rosłam zdrowa i szczęśliwa. „Byłaś eksperymentem – powiedział tato. – Zdumiewająco udanym. Uznaliśmy, że to szczęśliwy traf. Potrzebowaliśmy drugiego dziecka jako czegoś na kształt próby kontrolnej”.

Starali się przez cztery lata. Mama dwa razy zaszła w ciążę i dwa razy poroniła. Martwili się tym, ale nie było ich stać na sztuczne zapłodnienie. Kiedy miałam dziewięć lat, uznali, że może tak jest lepiej. Stawałam się coraz bardziej samodzielna. Przestali próbować.

Chcąc przekonać samych siebie, jakie to wspaniałe, że nie jesteśmy zależni od niemowlęcia, kupili bilety na tygodniowy wyjazd do Nowego Jorku dla całej rodziny. Miała to być muzyczna pielgrzymka. Zamierzaliśmy odwiedzić klub CBGB i Carnegie Hall. Wtedy jednak mama z wielkim zaskoczeniem odkryła, że jest w ciąży, a kiedy z jeszcze większym zdziwieniem przekonała się, że minął pierwszy trymestr i nie poroniła, wyprawę trzeba było odwołać. Miała mdłości, była zmęczona i taka opryskliwa, że przepłoszyłaby nowojorczyków, jak żartował tato. Poza tym dzieci sporo kosztują, więc musieliśmy oszczędzać.

Wcale nie żałowałam. Byłam przejęta maluchem. I wiedziałam, że Carnegie Hall nie ucieknie. Kiedyś tam pojedę.

17:40

Zaczynam trochę panikować. Babcia i dziadek niedawno wyszli, a ja zostałam na OIOM-ie. Siedzę na krześle, przypominając sobie rozmowę z nimi, miłą, zwyczajną i uspokajającą. Do chwili, gdy zaczęli się zbierać. Kiedy wychodzili z OIOM-u, ze mną depczącą im po piętach, dziadek obrócił się do babci i zapytał: – Myślisz, że to ona decyduje?

– O czym?

Zrobił nieszczęśliwą minę. Przesząpił z nogi na nogę.

– No wiesz. Decyduje – szepnął.

– O co ci chodzi? – W głosie babci brzmiała równocześnie irytacja i czułość.

– Sam nie wiem, o co. To ty wierzysz w te swoje anioły.

– Ale co to ma wspólnego z Mią?

– Wierzysz, że skoro umarli, to wciąż tu są. Co będzie, jeśli zechcą, żeby do nich dołączyła? I jeśli ona zechce to zrobić?

– To nie działa w ten sposób – prychnęła babcia.

– Aha – mruknął tylko dziadek. Dociekania były zakończone.

„Być może pewnego dnia powiem babci, że nigdy nie wierzyłam do końca w jej teorie o tym, że ptaki to nasze anioły stróże” – pomyślałam po ich wyjściu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonana, że to nieprawda.

Moich rodziców tu nie ma. Nie trzymają mnie za rękę, nie podnoszą na duchu. Znam ich na tyle dobrze, by wiedzieć, że zrobiliby to, gdyby mogli. Może nie oboje. Może mama zostałaby z Teddym, a tato czuwałby przy mnie. Ale nie ma tu żadnego z nich. Kiedy o tym rozmyślam, przypominają mi się słowa pielęgniarki: „Wszystko zależy od niej”. Nagle do mnie dociera, o co dziadek pytał babcię. On też słyszał tamtą pielęgniarkę. I pojął jej przesłanie szybciej ode mnie.

Jeśli zostanie. Jeśli przeżyję. To ja decyduję.

Cała ta sztucznie wywoływana śpiączka to tylko lekarskie gadanie. To nie zależy od doktorów. Nie zależy od nieobecnych aniołów. Nie zależy nawet od Boga, który jeśli istnieje, nie przebywa akurat w tej okolicy. To zależy ode mnie.

Jak podjąć decyzję w takiej sprawie? Jak miałabym żyć bez mamy i taty? Jak mogłabym odejść, zostawiając Teddy'ego? Albo Adama? To za wiele. Nie rozumiem nawet, jak to wszystko działa, dlaczego znalazłam się w tym dziwnym stanie i jak mam z niego wyjść, gdybym chciała.

Czy jeślibym powiedziała: „Chcę się obudzić”, to tak po prostu bym się ocknęła? Usiłowałam już stuknąć piętami jak Dorotka, żeby odnaleźć Teddy'ego, i próbowałam się przenieść na Hawaje, ale nie wyszło. A decydowanie w tej sprawie wydaje się dużo bardziej skomplikowane.

Jednak wierzę, że to prawda. Znowu rozbrzmiewają mi w uszach słowa pielęgniarki.

Wszystko zależy ode mnie. To na mnie wszyscy czekają.

To ja decyduję. Teraz to wiem.

Przeraża mnie to bardziej niż cokolwiek innego, co się dzisiaj wydarzyło.

Gdzie, do diabła, jest Adam?!

* * *

W pierwszej klasie, tydzień przed Halloween, Adam triumfalnie pojawił się w drzwiach.

Z podłym uśmiechem na twarzy i pokrowcem na garnitur w rękach.

– Przygotuj się, że zaraz padniesz z zawiści. Właśnie skołowałam najfajniejszy kostium – oznajmił.

Rozsunął zamek. W pokrowcu znajdowała się biała marszczona koszula, spodnie do kolan i długi wełniany płaszcz z naramiennikami.

– Zamierzasz udawać Seinfelda w tej nadmuchanej koszuli? – spytałam.

– Phi, Seinfeld. I ty siebie nazywasz muzykiem klasycznym. Będę MOZARTEM.

Poczekaj, nie widziałaś jeszcze butów.

Sięgnął do torby i wydobył toporne czarne półbuty z metalowymi klamrami.

– Ładne – skomentowałam. – Moja mama ma podobne.

– Zwyczajnie zazdrościsz, bo sama nie zdobyłaś nic równie fajnego. Włożę też pończochy. Taki jestem pewien swojej męskości. Mam nawet perukę.

– Gdzie to wszystko dostałeś? – zapytałam, gładząc perukę. Przypominała w dotyku jutowy worek.

– W necie. Za jedyne sto dolców.

– Wydałeś sto dolarów na przebranie z okazji Halloween?

Na dźwięk słowa „Halloween” z piętra przygalopował Teddy i ignorując mnie, szarpnął łańcuch, na którym Adam nosił portfel.

– Zaczekaj chwilę! – rozkazał i śmignął na górę, by po paru sekundach wrócić, taszcząc jakąś torbę. – Czy to jest dobre przebranie? Nie będę wyglądał jak dzidzius? – zapytał, wyciągając

widły, diabelskie uszy, czerwony ogon i czerwone śpioszki.

– Och... – Adam cofnął się o krok, szeroko otwierając oczy. –

Umieram ze strachu na sam widok, a nawet go nie włożyłeś.

– Naprawdę? Nie myślisz, że z powodu śpiochów wygląda głupio? Nie chcę, żeby się ze mnie śmiali – oznajmił Teddy z powagą, marszcząc brwi.

Wyszczrzyłam się do Adama starającego się zachować kamienną twarz.

– Czerwone spodnie plus widły, plus diabelskie uszy i ogon prezentują się bardzo satanistycznie. Każdy, kto cię zlekceważy, ryzykuje wieczne potępienie – zapewnił.

Teddy wyszczrzył się od ucha do ucha, ukazując dziurę po przednim zębie.

– Mama też tak powiedziała, ale myślałam, że chodzi jej tylko o to, żebym przestał ją męczyć. Weźmiesz mnie na chodzenie po domach, prawda? – Patrzył teraz na mnie.

– Jak co roku – odparłam. – Jak inaczej zdobyłabym cukierki?

– Ty też idziesz? – zwrócił się do Adama.

– Za nic nie przepuściłbym takiej okazji.

Teddy obrócił się na pięcie i popędził do swojego pokoju.

Adam skierował się do mnie.

– A więc z Teddym załatwione. A ty co włożysz?

– Bo ja wiem? Nie lubię się przebierać.

Adam przewrócił oczami.

– Więc polub. To nasze pierwsze wspólne Halloween. Shooting Star daje wielki koncert.

Będzie bal przebierańców, obiecałaś przyjść.

Jęknęłam w duchu. Po pół roku chodzenia z Adamem ledwie

zdażyłam przywyknąć, że uważają nas w szkole za niedobraną parę

– mówili o nas „Piękny i Niunia”. Zaczęłam się czuć trochę

swobodniej w towarzystwie jego kumpli z kapeli i nawet

opanowałam podstawy rockerskiej gadki. Umiałam już ją

prowadzić samodzielnie, gdy Adam zabierał mnie do Domu Rocka,

wielkiego budynku obok uniwersytetu, gdzie mieszkali pozostali

członkowie zespołu.

Miałam nawet prawo uczestniczyć w ich punkrockowych

balangach, na które każdy musiał przynieść z własnej lodówki jakiś

produkt znajdujący się na granicy zepsucia. Gromadziliśmy

składniki i staraliśmy się coś z nich upichcić. Prawdę mówiąc,

okazałam się całkiem niezła w przetwarzaniu wegetariańskiej

wołowiny, buraków, sera feta i brzoskwiń w coś jadalnego.

Nadal jednak nienawidziłam występów i siebie za to, że ich

nienawidzę. Kluby wypełniał dym, od którego piekły mnie oczy i

cuchnęły ubrania. Głośniki były zawsze podkręcone na maksa; od

ogłuszającej muzyki tak mi dzwoniło w uszach, że przesywający

wizg nie pozwalał mi zasnąć. Leżałam w łóżku, odtwarzając w

pamięci przykrości wieczoru, a z każdą powtórką czułam się coraz

podlej.

– Tylko nie mów, że się chcesz wykręcić – ostrzegł Adam,

równie dotknięty, co zirytowany.

– A co z Teddym? Obiecaliśmy, że go zabierzemy na chodzenie

po domach.. – Jasne, o piątej po południu. Występ zaczyna się

dopiero o dziesiątej. Wątpię, by nawet panicz Ted potrafił chodzić

po domach przez bitych pięć godzin. Więc nie masz żadnej

wymówki. I lepiej sobie skombinuj naprawdę odjazdowy kostium,

bo ja zamierzam wyglądać zabójczo, w osiemnastowiecznym

znaczeniu tego słowa.

Adam udał się rozwozić pizzę, a ja poczułam, że ściska mnie w żołądku. Poszłam do siebie ćwiczyć wybrany przez profesor Christie utwór Dworzaka i próbowałam rozgryźć, co mnie dręczy. Czemu nie lubię koncertów Adama? Czy dlatego, że Shooting Star zyskuje popularność i jestem zazdrosna? Czy zniechęcają mnie rosnące zastępy fanek? Wydawało się, że to logiczne wyjaśnienie, chodziło jednak o coś innego.

Grałam jakieś dziesięć minut, kiedy do mnie dotarło: moja awersja do występów Adama nie miała nic wspólnego z muzyką, fankami czy zawiścią. Chodziło o wątpliwości. Zawsze ta sama dręcząca niepewność, że nigdzie nie przynależę. Nie czułam się częścią swojej rodziny, a teraz miałam wrażenie, że nie pasuję również do mojego chłopaka; tylko inaczej niż w wypadku bliskich, którzy byli na mnie skazani. Adam mnie wybrał – i tego nie rozumiałam.

Dlaczego zakochał się właśnie WE MNIE? To nie miało sensu. Wiedziałam, że zbliżyła nas przede wszystkim muzyka; dzięki niej znaleźliśmy się we wspólnej przestrzeni i mogliśmy się w ogóle poznać. Byłam świadoma, że Adamowi podoba się to, że muzyka znaczy dla mnie tak wiele. I lubi moje poczucie humoru – „tak mroczne, że go prawie nie widać”, jak mawiał.

A skoro mowa o mroku, wiedziałam, że ma słabość do ciemnowłosych, bo wszystkie jego dziewczyny były brunetkami. Wiedziałam też, że kiedy jesteśmy tylko we dwoje, możemy rozmawiać godzinami albo siedzieć obok siebie, czytając, słuchając muzyki ze swoich iPodów.

Wtedy także jesteśmy naprawdę razem. Rozumiałam to wszystko na poziomie intelektu, ale w głębi serca wciąż w to nie wierzyłam. Kiedy byłam z Adamem, czułam się wybrana, szczególna – i tym bardziej się zastanawiałam, DLACZEGO JA? Może właśnie dlatego, chociaż Adam bez oporu dał się prowadzić na symfonie Schuberta, brał udział w moich recitalach i przynosił lilie Casablanca (moje ulubione kwiaty), ja nadal wolałam wizytę u dentysty niż jego koncert. Co było bardzo chamskie. Przypomniało mi się, co radziła mama, kiedy ogarniała mnie nieśmiałość: „Udawaj, aż uwierzysz”. Zanim skończyłam grać utwór trzeci raz, postanowiłam, że nie tylko pójdę na występ, ale ten jeden raz włożę tyle wysiłku w zrozumienie świata Adama, ile on włożył w zrozumienie mojego.

– Potrzebuję twojej pomocy – oznajmiłam mamie tego wieczoru po kolacji przy zmywaniu naczyń.

– Chyba już ustaliłyśmy, że nie jestem zbyt dobra z trygonometrii. Spróbuj może korepetycji w necie – podsunęła.

– Nie chodzi o matematykę. To coś innego.

– Zrobię, co się da. Czego ci trzeba?

– Rady. Kto jest najfajniejszą, najtwardszą, najpopularniejszą rockmanką, jaka ci przychodzi na myśl?

– Debbie Harry – odparła.

– To.. – Jeszcze nie skończyłam – przerwała. – Nie da się wymienić jednej. Kathleen Hannah.

Patti Smith. Joan Jett. Courtney Love, na swój kretyński autodestrukcyjny sposób. Lucinda Williams – chociaż śpiewa country, jest twarda jak diament. Kim Gordon z Sonic Youth,

mimo pięćdziesiątki na karku wciąż na topie. Ta kobieta... Cat Power. Joan Armatrading. Ale o co chodzi, o projekt z nauk społecznych?

– Prawie – odparłam, wycierając obtłuczony talerz. – To na Halloween.

Klasnęła z zachwytem dłońmi mokrymi od mydlin.

– Chcesz się przebrać za jedną z nas?

– Aha – przytaknęłam. – Pomożesz mi?

Mama zwolniła się wcześniej z pracy, żebyśmy mogły przetrząsnąć sklepy z odzieżą z drugiej ręki. Uznała, że powinnam się zdecydować raczej na pastisz rockerskiego stylu niż naśladowanie konkretnej artystki. Kupiłyśmy obcisłe spodnie we wzór wężowej skóry. Blond perukę na pazia z długą grzywką *à la* Debbie Harry z wczesnych lat osiemdziesiątych, której mama dorobiła fioletowe pasemka. Jeśli chodzi o dodatki, wybrałyśmy czarną skórzaną pieszczochę na jedną rękę i dwa tuziny srebrnych bransoletek na drugą. Mama wygrzebała skądś własny oryginalny T-shirt z Sonic Youth – ostrzegając, żebym go nie zdejmowała, inaczej ktoś gotów go gwizdnąć i wystawić na eBayu za kilkaset dolarów – oraz parę czarnych skórzanych butów z noskami w szpic, w których wystąpiła na własnym ślubie.

W Halloween zrobiła mi makijaż: grube krechy z czarnej kredki, nadające moim oczom groźny wygląd. Biały puder, żeby cera wydawała się blada. Czerwone jak krew wargi.

Przyklejany kolczyk w nosie. Zerknęłam w lustro i zobaczyłam patrzącą na mnie mamę. Może z powodu blond peruki, ale pierwszy raz poczułam, że naprawdę przypominam swoją najbliższą rodzinę.

Rodzice i Teddy czekali na dole na Adama, ja zostałam w sypialni. Czułam się jak przed balem maturalnym. Tato ścisnął aparat fotograficzny. Mama dosłownie tańczyła z przejęciem. Kiedy Adam stanął w drzwiach i obsypał Teddy'ego skittlesami, rodzice zawołali mnie na dół.

Weszłam najbardziej zmysłowym krokiem, na jaki mnie było stać na wysokich obcasach.

Spodziewałam się, że Adam padnie z wrażenia, widząc mnie – wiecznie paradującą w dzinsach i swetrze – tak odstawioną. On jednak uśmiechnął się jak zwykle na powitanie, odrobinę chichocząc.

– Fajne przebranie – rzucił.

– Coś za coś. Nie mogłam inaczej. Sprawiedliwość musi być – odparłam, wskazując jego kreację *à la* Mozart.

– Wyglądasz przerażająco, ale ładnie – wtrącił Teddy. – Powiedziałbym też, że sexy, ale jestem twoim bratem, więc to by było obleśne.

– Skąd ty w ogóle wiesz, co to słowo znaczy? – spytałam. – Masz sześć lat.

– Każdy wie, co znaczy sexy – odparował.

Każdy prócz mnie, jak sądzę. Ale tego wieczoru trochę się nauczyłam. Kiedy obchodziliśmy domy razem z Teddym, nie poznawali mnie najbliżsi sąsiedzi, znający mnie od lat. Goście, którzy dotąd traktowali mnie jak powietrze, stawali jak wryci. I za każdym razem, kiedy się tak działo, czułam się odrobinę bardziej tą niebezpieczną seksowną laską, którą udawałam. Rada mamy

rzeczywiście się sprawdzała.

W klubie, gdzie miał wystąpić Shooting Star, panował ścisk. Wszyscy byli poprzebierani, większość dziewczyn w kostiumach z nutką pikanterii – wydekoltowane francuskie pokojówki, wywijające biczem dominy, zdzirowate Dorotki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz* w zadartych spódnicach odsłaniających szkarłatne podwiązki. Zwykle w takim towarzystwie czułam się jak totalna sztywniaczka. Tej nocy ani trochę, nawet jeśli do nikogo nie docierało, że jestem w przebraniu.

– Czemu nie włożyłaś czegoś ekstra? – skarcił mnie gość przebrany za szkielet, po czym postawił mi piwo.

– Cholera, kocham te spodnie! – krzyknęła mi do ucha *femme fatale* z lat dwudziestych. – Kupiłaś je w Seattle?

– Nie śpiewasz przypadkiem w Crack House Quartet? – spytał koleś w masce Hillary Clinton, mając na myśli hardcorową kapekę, którą Adam uwielbiał, a ja wprost przeciwnie.

Kiedy na scenę wyszedł Shooting Star, nie wycofałam się jak zwykle. Mogłam siedzieć na krześle, miałam doskonały widok na wszystko i nie musiałam z nikim rozmawiać. Tym razem zostałam przy barze, a kiedy *femme fatale* pociągnęła mnie za rękę, poszłam tańczyć pod scenę.

Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Nie kręciło mnie bieganie w kółko, podczas gdy pijani napakowani goście w skórach deptali innym po palcach. Tego dnia jednak dałam się totalnie ponieść. Zrozumiałam, co to znaczy wyładować energię w tłumie i równocześnie czerpać energię od innych. Pod sceną, kiedy zabawa się rozkręciła, każdy nie tyle tańczył czy biegał, ile dawał się porwać wirowi.

Po występie byłam równie zdyszana i spocona jak Adam. Nie poszłam za kulisy, żeby się z nim przywitać, zanim zrobią to inni. Zaczekałam, aż pojawi się w głównej sali, by jak zawsze spotkać się z fanami. A kiedy wyszedł, z ręcznikiem na szyi, popijając wodę z butelki, rzuciłam mu się w objęcia i na oczach wszystkich zafundowałam mu długi, gorący pocałunek. Czułam, jak się uśmiecha, całując mnie także.

– No, no, wygląda, że kogoś tu opętał duch Debbie Harry – zauważył, ścierając szminkę z podbródka.

– Najwyraźniej. A co z tobą? Czujesz się jak Mozart?

– Nic o nim nie wiem, widziałem tylko film. Ale pamiętam, że był ciągle napalony, więc sądząc po ostatnim pocałunku, chyba tak. Spadamy? Spakuję rzeczy i możemy jechać.

– Nie, zostanmy do ostatniego seta.

– Serio? – spytał, unosząc brwi ze zdumienia.

– Aha. Mogę nawet zatańczyć z tobą pod sceną.

– Piłaś? – zakpił.

– Tylko colę.

Tańczyliśmy, co jakiś czas robiąc przerwy na pocałunki, aż do zamknięcia klubu.

W drodze powrotnej Adam prowadził wóz i jednocześnie trzymał moją rękę. Co chwila zerkał na mnie i z uśmiechem kręcił głową.

– Więc podobam ci się taka? – zapytałam.

– Hmm – mruknął.

– To znaczy tak czy nie?
– Jasne, że mi się podobasz.
– Nie, ale taka. Podobałam ci się dzisiaj wieczorem?
Wyprostował się w fotelu.
– Podobało mi się, że się bawiłaś ze wszystkimi i nie marudziłaś, żeby się zmywać jak najszybciej. Fantastycznie było z tobą tańczyć. I to był odjazd, widzieć cię na totalnym luzie z naszą bandą.
– Ale czy podobałam ci się taka? Czy podobałam się bardziej?
– Bardziej niż kto? – zapytał. Wyglądał na szczerze zaskoczonego.
– Niż normalnie.
Zaczynało mnie to wkurzać. Tego wieczoru czułam się taka bezwstydna, jakby przebranie narzuciło mi nową osobowość – bardziej warta Adama, mojej rodziny. Próbowałam mu to wyjaśnić i odkryłam z przerażeniem, że jestem bliska łez.
Adam chyba wyczuł moje zdenerwowanie. Zatrzymał wóz w leśnej przecince i obrócił się do mnie.
– Mia, Mia, Mia – powiedział, gładząc pasma włosów, które wymknęły się z mojej peruki. – To ty mi się podobasz. Jasne, wyglądałaś bardziej sexy, no wiesz, byłaś blondynką. Ale ty z dzisiejszego wieczoru jesteś tą samą dziewczyną, którą kochałem wczoraj i którą będę kochał jutro. Kocham cię za to, że jesteś delikatna i twarda, nieśmiała i przebojowa. Cholera, jesteś jedną z najbardziej punkowych dziewczyn, jakie znam. Nieważne, kogo słuchasz ani w co się ubierasz.
Odtąd zawsze, kiedy zaczynałam wątpić w uczucia Adama, przypominałam sobie perukę kurzącą się na dnie szafy, a to przywoływało wspomnienie tamtego wieczoru. I wtedy cała niepewność gdzieś się ulatniała. Czułam tylko, że mam wielkie szczęście.

19:13

On tu jest.

Poszłam do pustej sali na porodówce, bo chciałam się znaleźć jak najdalej od krewnych i – jeśli to możliwe – jeszcze dalej od OIOM-u i tamtej pielęgniarki, a ściślej tego, co powiedziała i co właśnie zrozumiałam. Musiałam pobyć gdzieś, gdzie wszyscy nie byliby smutni, gdzie myśleliby o życiu, nie o śmierci. Więc przyszedłam tutaj, do krainy wrzeszczących niemowlaków. Prawdę mówiąc, kwilenie noworodków mnie uspokaja. Mają w sobie tyle woli życia.

Ale teraz na sali panuje cisza. Siedzę więc na parapecie, gapiąc się w noc. Jakiś samochód wjeżdża z piskiem opon na piętrowy parking, wyrywając mnie z marzeń. Spoglądam w dół w samą porę, by spostrzec tylne światła różowego wozu znikającego w ciemności. Sarah – dziewczyna Liz, perkusistki Shooting Star – ma różowego dodge'a darta. Wstrzymując oddech, czekam, czy Adam wynurzy się z tunelu. I naraz go widzę, jak wspina się rampą, ciasno owinięty skórzaną kurtką dla ochrony przed zimowym chłodem. Widzę łańcuch, na którym nosi zawieszony portfel, połyskujący w świetle latarni. Adam przystaje i obraca się, żeby porozmawiać z kimś idącym z tyłu. Widzę wynurzający się z

mroku miękki zarys kobiecej sylwetki.

W pierwszej chwili sędzę, że to Liz. Potem jednak zauważam warkocz.

Chciałabym ją uściskać. Podziękować za to, że zawsze odgaduje z wyprzedzeniem, czego bym chciała.

Jasne: to Kim pojechała do Adama, żeby mu przekazać wiadomość osobiście, zamiast przez komórkę, a potem przywiozła go tutaj, do mnie. Wiedziała, że Adam gra koncert w Portland. Jakimś sposobem nakłoniła swoją matkę, żeby podwiozła ją do centrum. To Kim, sądząc z nieobecności pani Schein, namówiła matkę do pozostania w domu, by sama mogła zostać z Adamem i ze mną. Pamiętam, jak dwa miesiące przekonywała rodziców, żeby jej pozwolili na wycieczkę helikopterem w towarzystwie wujka, więc jestem w szoku, że w ciągu zaledwie paru godzin wywalczyła sobie tak wielką niezależność. To Kim musiała się przedrzeć przez tłumy groźnie wyglądających bramkarzy i modnych kolesi, by dotrzeć do Adama. I musiała znaleźć siłę, by mu powiedzieć. Zabrzmi to śmiesznie, wiem, ale cieszę się, że nie jestem na jej miejscu. Chyba nie dałabym rady. Kim nie miała wyboru.

I teraz, dzięki niej, Adam wreszcie tu dotarł.

Cały dzień wyobrażałam sobie, jak przyjeżdża, i w marzeniach biegłam mu na spotkanie, chociaż nie może mnie zobaczyć i chociaż, o ile się orientuję, moja sytuacja w niczym nie przypomina filmu *Duch*, gdzie można było przenikać przez ciała ukochanych osób, by POCZUŁY naszą obecność.

Teraz jednak, gdy się tu znalazł, ogarnia mnie paraliż. Boję się go zobaczyć. Zobaczyć jego twarz. Dwa razy widziałam, jak płakał. Raz, kiedy oglądaliśmy *To wspaniałe życie*. I drugi – na dworcu kolejowym w Seattle na widok matki krzyczącej i wymierzającej klapsa synowi z zespołem Downa. Adam ucichł nagle i dopiero po chwili zauważyłam łzy płynące mu po policzkach. Cholera, mało nie pękło mi serce na ten widok. Jeśli się rozpłaczę, NAPRAWDĘ mnie to zabije. Mniejsza o całą gadkę o MOIM WYBORZE. To jedno starczy, żeby mnie wykończyć.

Jestem takim przeklętym tchórzem.

Zerkam na zegar na ścianie. Minęła siódma wieczorem. Więc jednak Shooting Star nie wystąpi jako support Bikini. Szkoda. To była ich wielka szansa. Przez moment się zastanawiam, czy reszta zespołu zagra bez Adama. Bardzo w to wątpię. Nie chodzi tylko o to, że jest frontmanem i głównym gitarzystą. Kapela ma swoje zasady. Uczucia mają znaczenie. Latem zeszłego roku, kiedy Liz i Sarah zerwały ze sobą (jak się okazało, na cały miesiąc) i Liz była zbyt zdołowana, żeby grać, odwołali pięciodniowe tournée, chociaż Gordon, perkusista ze znajomej kapeli, gotów był ją zastąpić.

Obserwuję, jak Adam idzie w stronę głównego wejścia do szpitala z Kim wlokącą się w tyle. Zanim zniknie pod daszkiem przed automatycznymi drzwiami, zerka nagle w górę, w niebo. Czeka na Kim, ale chcę też myśleć, że rozgląda się za mną. Jego twarz w blasku lamp jest pusta, jakby ktoś odkurzaczem wyssał z niej całą osobowość, pozostawiając maskę. Nie jest podobny do siebie. Ale przynajmniej nie płacze.

To mi dodaje odwagi, żeby natychmiast iść do niego – czy raczej do siebie, na OIOM, gdzie, jak wiem, będzie chciał dotrzeć.

Adam zna babcię, dziadka i kuzynów, więc, jak sobie wyobrażam, przyłączy się potem do czuwania w poczekalni. W tej chwili jednak chce zobaczyć mnie.

Na OIOM-ie czas stoi jak zwykle w miejscu. Jeden z chirurgów wcześniej mnie operujących – ten, który się bardzo pocił, a kiedy przyszła jego kolej wybrać muzykę, puścił na cały regulator Weezera – sprawdza, jak się miewam.

Sztuczne światła są przygaszone, cały czas świecą tak samo, ale rytm okołodobowy i tak bierze górę i nad całym oddziałem zapada nocna cisza. Panuje mniejszy ruch niż w ciągu dnia, jakby zarówno pielęgniarki, jak i maszyny poczuły znużenie i przeszły na tryb oszczędzania energii.

Kiedy więc głos Adama rozbrzmiewa echem na korytarzu, dosłownie stawia wszystkich na nogi.

– Jak to nie mogę wejść?! – krzyczy.

Wędruję przez całą salę i staję po drugiej stronie szklanych drzwi. Słyszę, jak salowy na zewnątrz wyjaśnia Adamowi, że nie wolno mu przebywać w tej części szpitala.

– To jakaś bzdura! – wrzeszczy Adam.

Na oddziale pielęgniarki zwracają głowy w stronę wejścia z czujnością w zmęczonych oczach. Jestem niemal pewna, że myślą: „Mało mamy problemów tu w środku, żeby się jeszcze zajmować jakimś wariatem na zewnątrz?”. Chcę im wyjaśnić, że Adam to żaden wariat. Że nigdy nie krzyczy, z wyjątkiem bardzo szczególnych sytuacji.

Siwiejąca pielęgniarka w średnim wieku, która nie zajmuje się pacjentami, tylko nadzoruje komputery i telefony, kiwa lekko głową i wstaje, jakby akceptowała nominację.

Wygląda zmięte białe spodnie i rusza w kierunku drzwi. To zdecydowanie nie jest najlepsza osoba do rozmowy z Adamem. Chciałabym ostrzec, że powinny wysłać siostrę Ramirez, tę, która podnosiła na duchu dziadków (i wprawiła mnie w panikę). Ona potrafiłaby uspokoić Adama. Ta tylko pogorszy sytuację.

Wychodzę za nią przez szklane drzwi na korytarz, gdzie Adam i Kim kłócą się z salowym. Salowy spogląda na pielęgniarkę.

– Mówiłem, że nie mają prawa wchodzić na górę – tłumaczy.

Kobieta odprawia go ruchem ręki.

– Czym mogę panu służyć, młody człowieku? – zwraca się do Adama.

Mówi zirytowanym, niecierpliwym tonem, jak koledzy taty ze szkoły, którzy pracują na pełny etat i tylko odliczają dni do emerytury.

Adam chrząka, próbuje wziąć się w garść.

– Chciałbym odwiedzić pacjentkę – wyjaśnia i wskazuje gestem drzwi zamykające mu drogę na OIOM.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odpowiada kobieta.

– Ale moja dziewczyna, Mia.. – Jest pod doskonałą opieką – przerywa mu pielęgniarka.

Brzmi, jakby była bardzo zmęczona; zbyt zmęczona, by odczuwać współczucie; zbyt zmęczona, by dać się wzruszyć pierwszej miłości.

– Rozumiem. I jestem za to wdzięczny – odpowiada Adam.

Stara się jak może grać według jej zasad, mówić dojrzałe, ale słyszę, że głos mu się rwie przy słowach: – Naprawdę muszę ją

zobaczyć.

– Bardzo mi przykro, młody człowieku, ale prawo do odwiedzin jest ograniczone do najbliższej rodziny.

Słyszę, jak Adam gwałtownie wciąga powietrze. NAJBLIŻSZA RODZINA. Pielęgniarka nie zamierzała być okrutna. Zwyczajnie nie zna sytuacji, ale Adam o tym nie wie. Chciałabym go ochronić – i ochronić pielęgniarkę przed tym, co mógłby jej zrobić.

Odruchowo wyciągam rękę, choć przecież nie mogę go dotknąć.

Stoi teraz zwrócony do mnie tyłem. Plecy ma zgarbione, nogi uginają się pod nim.

Kim, która podpierała ścianę, nagle znajduje się tuż obok, podtrzymuje jego osuwające się ciało. Obejmując go w pasie obiema rękami, obraca się do pielęgniarki z oczami płonącymi wściekłością.

– Nic pani nie rozumie! – krzyczy.

– Mam wezwać ochronę? – pyta kobieta.

Adam macha ręką, ulegając pielęgniarce, ulegając Kim.

– DAJ SPOKÓJ – szepcze do Kim.

Więc Kim daje spokój. Bez słowa zakłada sobie jego rękę na szyję i go podpira. Adam jest od niej o jakieś trzydzieści centymetrów wyższy i o dwadzieścia pięć kilogramów cięższy, ale dziewczyna zatacza się tylko przez moment i zaraz przystosowuje do dodatkowego brzemienia. Bierze je na barki.

* * *

Miałyśmy z Kim teorię, że prawie wszystko na świecie daje się przyporządkować do jednej z dwóch kategorii.

Są ludzie, którzy lubią muzykę poważną, i tacy, którzy wolą pop.

Są ludzie z miasta i ludzie ze wsi. Zwolennicy coca-coli i pepsicoli.

Konformiści i wolnomyśliciele. Dziewice i niedziewice. I

wreszcie dziewczyny, które zaczynają chodzić z chłopakami w liceum, i takie, które robią to później.

Obie z Kim zakładałyśmy zawsze, że należymy do tej ostatniej grupy. „To nie znaczy, że zostaniemy czterdziestoletnimi dziewczynkami ani nic podobnego – uspokajała. – Po prostu należymy do dziewczyn, które znajdują sobie facetów w college’u”.

Zawsze widziałam w tym sporo sensu. Mama zaliczała się do dziewczyn romansujących w liceum i często powtarzała, że żałuje zmarnowanego czasu. „Ile razy dziewczyna może marzyć o tym, żeby się upić piwem, dla zabawy zakraść nocą do obory i płoszyć krowy albo obściskiwać się na tylnym siedzeniu pikapa? Chłopaki, z którymi się umawiałam, tak właśnie wyobrażały sobie romantyczny wieczór”.

Z drugiej strony, tato nie umawiał się na poważnie, póki nie poszedł na studia. W liceum był nieśmiały, ale potem zaczął grać na perkusji, na pierwszym roku przyłączył się do punkowej kapeli i – bum! – nagle miał wokół siebie masę wielbicieli. A przynajmniej kilka, zanim poznał mamę i – bum! – ożenił się z nią. Trochę się spodziewałam, że ze mną będzie podobnie.

Więc było sporym zaskoczeniem i dla mnie, i dla Kim, kiedy się okazało, że należę do grupy A: dziewczyn mających chłopaków w liceum. Z początku próbowałam to ukrywać.

O koncercie Yo-Yo Ma opowiedziałam Kim w samych ogólnikach. Nie wspomniałam o całowaniu. Zracjonalizowałam ten fakt: nie ma sensu robić wielkiej sprawy z jednego pocałunku.

Jeden pocałunek to jeszcze nie chodzenie. Całowałam się już wcześniej z chłopakami i zwykle do następnego dnia wspomnienie wyparowywało niczym kropla rosy na słońcu.

Tyle tylko, że z Adamem to BYŁO coś poważnego. Poznałam to po fali ciepła, jaka mnie oblała tamtego wieczoru, kiedy mnie odwiózł do domu i pocałował raz jeszcze na progu. Po tym, że nie zasnęłam i leżałam do świtu, obejmując poduszkę. Po tym, że nie mogłam nic zjeść następnego dnia ani zetrzeć z twarzy uśmiechu. Zdawałam sobie sprawę, że ten pocałunek był niczym brama, przez którą przeszłam. I widziałam, że Kim została na zewnątrz. Tydzień później, po kilku kolejnych ukradkowych pocałunkach wiedziałam, że muszę jej powiedzieć. Po szkole poszłyśmy na kawę. Był maj, ale lało niczym w listopadzie. Czułam się trochę przytłoczona tym, co mnie czeka.

– Ja stawiam. Chcesz któryś z tych twoich wydumanych drinków? – spytałam.

To była jeszcze jedna z wynalezionych przez nas kategorii: ludzie pijący zwykłą kawę i ci, którzy wolą szpanerskie kombinacje w rodzaju latte z miętową czekoladą, jakie uwielbiała Kim.

– Chyba spróbuję cynamonowej chai latte – odparła i popatrzyła na mnie wyniośle, jakby chciała powiedzieć: „Nie będę się wstydzić swoich gastronomicznych wyborów”.

Zamówiłam dla nas kawę oraz porcję szarlotki z jeżynami. Usiadłam naprzeciw Kim i przesunęłam widelcem wzdłuż pofałdowanego brzegu ciasta francuskiego.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęłam.

– Coś o tym, że masz chłopaka? – W jej głosie brzmiało rozbawienie, ale chociaż wzrok miałam spuszczoney, wiedziałam, że przewróciła oczami.

– Skąd wiesz? – zdziwiona spojrzałam na nią.

Znowu przewróciła oczami.

– Litości. Wszyscy o tym wiedzą. To najgorętszy news zaraz po tym, że Melanie Farrow rzuciła szkołę, bo jest w ciąży. To jakby kandydat demokratów na prezydenta ożenił się z kandydatką republikanów.

– Kto tu mówi o ślubie?

– To była przenośnia – wyjaśniła. – Tak czy inaczej, wiem.

Wiedziałam wcześniej od ciebie.

– Akurat!

– Daj spokój. Taki gość jak Adam idzie na koncert Yo-Yo Ma? Chciał ci się podlizać.

– To nie było tak – zaprotestowałam, chociaż oczywiście tak właśnie było.

– I tylko nie rozumiem, czemu mi wcześniej nie powiedziałaś – dodała cicho.

Już miałam jej sprzedać swoją historyjkę, jak to jeden pocałunek o niczym nie świadczy, i wyjaśnić, że nie chciałam robić z igły widel, jednak się pohamowałam.

– Bałam się, że się wściekniesz – przyznałam.

– Nie wściekłałabym się – powiedziała Kim – ale to zrobię, jeśli jeszcze raz mnie okłamiesz.

– Okej – zgodziłam się.

– Albo jeśli się zmienisz w jedną z tych dziewczyn, które nie

zrobią kroku bez swojego faceta i zaczynają mówić w pierwszej osobie liczby mnogiej. „UWIELBIAMY zimę.

UWAŻAMY, że Velvet Underground rządzi”.

– Wiesz, że nigdy bym ci nie zafundowała rockerskiej gadki.

Ani w liczbie pojedynczej, ani w mnogiej. Obiecuję.

– Całe szczęście – odparowała Kim. – Bo jeśli się zamienisz w kogoś takiego, to cię zastrzelę.

– Jeśli się zmienię w kogoś takiego, sama pożyczę ci strzelbę. Roześmiała się szczerze i napięcie zniknęło. Wpakowała do ust kawał ciasta.

– Jak twoi rodzice to przyjęli?

– Tato w ciągu jednego dnia przeszedł pięć faz żałoby: wyparcie, gniew, akceptację i tak dalej. Chyba najbardziej przeraża go fakt, że osiągnął wiek, kiedy jego córka ma chłopaka. –

Urwałam i upiłam łyk kawy, pozwalając, by słowo CHŁOPAK zawisło w powietrzu. – I nie może uwierzyć, że chodzę z muzykiem.

– Przecież sama jesteś muzykiem – przypomniała Kim.

– No wiesz, punkowym, popowym.

– Shooting Star gra emocore – poprawiła.

Inaczej niż ja, stosowała miliard popowych rozróżnień: punk, indie, alternatywa, hardcore, emocore.

– Większość z tego to tylko gadanie, no wiesz, część image’u taty w muszce. Chyba lubi Adama. Poznali się, kiedy Adam przyjechał po mnie przed koncertem. Teraz tato chce, żebym go przyprowadziła na obiad, chociaż minął dopiero tydzień. Sama nie jestem jeszcze gotowa na etap „poznaj moich rodziców”.

– Ja chyba nigdy nie będę na to gotowa. – Kim wzdrygnęła się na samą myśl. – A twoja mama?

– Obiecała zabrać mnie do poradni planowanego macierzyństwa, żeby kupić pigułki, i kazała zmusić Adama do zrobienia badań na różne choroby. I mam natychmiast kupić prezerwatywy. Dała mi nawet dziesięć docłów, żebym sobie zrobiła zapas.

– I kupiłaś? – sapnęła Kim.

– Nie, to dopiero tydzień – odpowiedziałam. – Pod tym względem ciągle jesteśmy w jednej grupie.

– Do czasu – mruknęła.

Jeszcze jedną kategorią, którą wymyśliłyśmy z Kim, byli ludzie starający się być cool i tacy, którzy się nie starają. Uważałam, że pod tym względem Adam, Kim i ja należymy do tej samej grupy, bo chociaż Adam był fajny, wcale o to nie zabiegał. Przychodziło mu to bez wysiłku. Spodziewałam się więc, że wszyscy troje zostaniemy najlepszymi kumplami. Sądziłam, że Adam pokocha wszystkich, których kocham, równie mocno jak ja.

I w wypadku mojej rodziny tak się stało. Został praktycznie trzecim dzieckiem. Z Kim jednak nie zaskoczyło. Traktował ją tak, jak według moich wyobrażeń powinien traktować osoby mojego pokroju. Był całkiem miły – uprzejmy, przyjacielski – ale na dystans. Nie próbował wejść do jej świata ani zyskać zaufania.

Podejrzywałam, że nie uważa jej za dostatecznie fajną, i doprowadzało mnie to do szału. Po mniej więcej trzech miesiącach chodzenia doszło między nami z tego powodu do wielkiej awantury.

– Nie umawiam się z Kim, tylko z tobą – odparł, kiedy mu zarzuciłam, że nie jest dla niej wystarczająco miły.

– No to co? Przyjaźnisz się z masą dziewczyn. Czemu jej nie dodasz do kolekcji?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Tak jest i już.

– Straszny z ciebie snob – rzuciłam nagle, pełna złości.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi, jakbym była zapisanym na tablicy zadaniem matematycznym, które próbuje rozwiązać.

– Niby czemu? Nie możesz wymusić przyjaźni. Po prostu mamy ze sobą niewiele wspólnego.

– I właśnie TO świadczy, że jesteś snobem! Lubisz tylko ludzi podobnych do siebie! – krzyknęłam.

Wybiegłam i trzasnęłam drzwiami, spodziewając się, że za mną pójdzie i będzie błagał o przebaczenie, a kiedy tego nie zrobił, wściekłam się jeszcze bardziej. Pojechałam na rowerze do Kim, żeby odreagować. Wysłuchała mojej tyrady ze znudzoną miną.

– To bzdura, że lubi jedynie ludzi takich jak on sam – skrytykowała mnie, kiedy skończyłam się pieniść. – Lubi ciebie, a ty przecież nie jesteś do niego podobna.

– W tym kłopot – mruknęłam.

– No więc coś z tym zrób. Nie wciągaj mnie w swoje problemy

– odparła. – Poza tym, ja też nie do końca się z nim dogaduję.

– Nie?

– Nie, Mio. Nie każdy traci głowę na widok Adama.

– Nie o to mi chodzi. Po prostu chciałam, żebyście się przyjaźnili.

– Jasne, a ja chcę mieszkać w Nowym Jorku i mieć normalnych rodziców. Jak powiedział pewien gość: „Nie zawsze można mieć to, co się chce”.

– Ale jesteście dwojgiem najważniejszych ludzi w moim życiu.

Kim popatrzyła na moją czerwoną, zapłakaną twarz i jej rysy złagodniały; uśmiechnęła się.

– Wiemy o tym, Mio. Ale należymy do różnych jego części, podobnie jak ja i muzyka.

I tak jest dobrze. Nie musisz wybierać między nami, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

– Ale ja chcę, żeby części mojego życia się połączyły.

Kim pokręciła głową.

– To tak nie działa. Słuchaj, akceptuję Adama, bo go kochasz. A on pewnie mnie toleruje z tego samego powodu. Jeśli poprawi ci to humor, łączy nas twoja miłość. I to wystarczy. Ja i on nie musimy się kochać.

– Ale ja chcę! – zawodziłam.

– Mia – ostrzegawczy ton głosu świadczył, że jej cierpliwość się kończy. – Zaczynasz się zachowywać jak jedna z tych dziewczyn. Chcesz skoczyć po strzelbę?

Później tego wieczoru pojechałam do Adama z przeprosinami.

Przyjął je, z rozbawieniem całując mnie w nos. I nic się nie zmieniło. Oboje z Kim pozostali w przyjaznych, choć dość chłodnych stosunkach, bez względu na to, jak bardzo próbowałam ich sobie nawzajem zareklamować. Co najzabawniejsze, nigdy nie kupiłam idei, że moja osoba w jakiś sposób ich łączy – aż do chwili, kiedy zobaczyłam, jak Kim na wpół niesie Adama

szpitalnym korytarzem.

20:12

Patrzę, jak Kim i Adam się oddalają. Chcę za nimi iść, ale tkwię jak przyklejona do linoleum, niezdolna poruszyć widmowymi nogami. Dopiero kiedy znikają za rogiem, otrząsam się i wlokę ich śladem, choć wsiedli już do windy.

Do tej pory zdążyłam wykombinować, że nie mam żadnych nadnaturalnych zdolności.

Nie potrafię przenikać przez ściany ani sfruwać w dół klatką schodową. Mogę jedynie robić to, co w prawdziwym życiu, tyle że najwyraźniej wszystkie czynności, które wykonuję, są niewidoczne dla innych. Przynajmniej tak się wydaje, bo nikt nie zwraca najmniejszej uwagi, kiedy otwieram drzwi albo naciskam guzik windy. Mogę dotykać różnych rzeczy, nawet przekręcać gałki u drzwi i tak dalej, ale nie mogę naprawdę ODCZUĆ DOTYKU nikogo ani niczego. To tak, jakbym doświadczała wszystkiego z akwariem. Wiem, że to nie ma sensu, tak jak wszystko, co się dzisiaj stało.

Zakładam, że Kim i Adam poszli do poczekalni, by się przyłączyć do czuwających krewnych, ale kiedy docieram na miejsce, nikogo tam nie ma. Na krzesłach leżą stopy płaszczy i swetrów, poznaję pomarańczową puchową kurtkę kuzynki Heather. Mieszka na wsi i lubi wędrować po lesie, więc twierdzi, że musi nosić jaskrawe kolory, by jakiś pijany myśliwy nie pomylił jej z niedźwiedziem.

Patrzę na ścienny zegar. Może to pora kolacji. Wędruję korytarzami do baru przesyconego takim samym odorem smażeniny i gotowanych jarzyn, jak wszystkie inne na świecie. Pełno w nim ludzi. Przy stolikach tłoczą się lekarze, pielęgniarki oraz zdenerwowani studenci w krótkich białych kitlach i ze stetoskopami tak błyszczącymi, że przypominają zabawki. Pochłaniają podobną do tektury pizzę i purée ziemniaczane z proszku. Dopiero po chwili udaje mi się zlokalizować rodzinę skupioną wokół stołu. Babcia gawędzi z Heather, dziadek kontempluje kanapkę z indykiem.

Ciocia Kate i ciocia Diane szepczą o czymś w kącie.

– Parę rozcięć i siniaków. Już go wypisali ze szpitala – mówi ciocia Kate.

Przez sekundę sądzę, że to o Teddym, i omal nie zaczynam płakać z przejęcia. Potem jednak dociera do mnie informacja, że w jego organizmie nie wykryto alkoholu; że nasz samochód po prostu skręcił na jego pas i że jakiś pan Dunlap twierdzi, że nie miał szans zahamować. Wtedy się orientuję, że nie rozmawiają o Teddym – chodzi o drugiego kierowcę.

– Zdaniem policji ich wóz wypadł z pasa z powodu śniegu albo przez jelenia – ciągnie ciocia Kate. – Podobno skutki wypadku często są nieproporcjonalne. Pasażerowie jednego wozu wychodzą bez szwanku, a drugiego odnoszą straszne obrażenia... – jej głos cichnie.

Nie wiem, czy można powiedzieć, że pan Dunlap wyszedł „bez szwanku” – bez względu na to, jak powierzchowne były jego rany. Wyobrażam sobie, jak by to było znaleźć się w jego skórze:

obudzić się pewnego wtorkowego ranka, wsiąść w samochód i pojechać do pracy w młynie albo sklepie z paszami, albo może do restauracji U Loretty na lekko wysmażone jajka sadzone. Pan Dunlap, być może absolutnie szczęśliwy albo absolutnie nieszczęśliwy; zonaty ojciec albo kawaler. Kimkolwiek i czymkolwiek był dziś rano, już nim nie jest. Także jego życie zmieniło się nieodwołalnie. Jeśli ciotka mówi prawdę i nie on spowodował wypadek, to jest po prostu nieszczęsnym frajerem, jak by to ujęła Kim, który znalazł się na niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. A przez jego pecha – ponieważ to on siedział tego ranka w ciężarówce jadącej na wschód drogą nr 27 – dwoje dzieci nie ma teraz rodziców i przynajmniej jedno z nich znajduje się w poważnym stanie.

Jak można żyć po czymś takim? Przez sekundę wyobrażam sobie, jak zdrowieję, wychodzę ze szpitala i odwiedzam pana Dunlapa w domu, by mu ulżyć, zapewnić go, że to nie była jego wina. Może zostalibyśmy przyjaciółmi.

Oczywiście pewnie wcale tak by się nie stało. Wszystko mogłoby wypaść niezręcznie i smutno. Poza tym ciągle jeszcze nie wiem, co wybiorę, no i przede wszystkim brak mi wskazówek, w jaki sposób rozstrzygnąć, czy zostać, czy też nie. Póki tego nie wykombinuję, muszę się zdać na los albo na lekarzy, albo tego Kogoś (ktokolwiek to jest), kto decyduje w podobnych sprawach, kiedy właściwy decydent jest zbyt skołowany, by wybrać jedno albo drugie.

POTRZEBUJĘ Adama. Raz jeszcze rozglądam się za nim i za Kim, ale nigdzie ich nie widzę, więc wracam na górę na OIOM. Odnajduję ich ukrywających się na oddziale urazowym parę sal od OIOM-u. Starając się sprawiać niewinne wrażenie, sprawdzają drzwi rozmaitych składzików. W końcu znajdują niezaryglowany i wślizgują się do środka. Macają w ciemności w poszukiwaniu kontaktu.

Przykro mi to mówić, ale kontakt znajduje się na korytarzu.

– Obawiam się, że tego rodzaju rzeczy udają się tylko w filmach – mówi Kim, przesuwając dłonią po ścianie.
– Każda fikcja jest oparta na faktach – odpowiada Adam.
– Nie wyglądasz na lekarza.
– Zamierzałem udawać salowego. Albo może dozorcę.
– Co dozorca miałby robić na OIOM-ie? – pyta Kim. Jest straszną pedantką, jeśli chodzi o podobne drobiazgi.
– Przepalona żarówka. Bo ja wiem. Zależy, jak to rozegrasz.
– Ciągle nie rozumiem, czemu po prostu nie poprosisz jej krewnych – dziwi się Kim, praktyczna jak zawsze. – Na pewno dziadkowie mogliby wyjaśnić, przekonać ich, żeby cię wpuścili do Mii.

Adam kręci głową.

– Wiesz, kiedy tamta pielęgniarka zagroziła, że wezwie ochronę, moją pierwszą myślą było: „Zadzwoń do rodziców Mii, żeby to załatwili”. – Milknie, bierze parę oddechów. – Ciągle od nowa mnie to rozwala i każdy kolejny raz wydaje się jak pierwszy – dodaje schrypniętym głosem.
– Wiem – odpowiada Kim szeptem.
– W każdym razie – kończy Adam, podejmując poszukiwania kontaktu – nie mogę iść do jej dziadków. Nie mogę im dodawać

ciężaru. Tę sprawę muszę załatwić sam.

Jestem pewna, że w rzeczywistości dziadkowie z największą ochotą by mu pomogli.

Spotykali go setki razy i bardzo go lubią. Na Boże Narodzenie babcia zawsze pamięta, żeby upiec dla niego ciasto z syropem klonowym, bo wspomniał kiedyś, jak je lubi.

Ale czasami Adam lubi dramatyzować. Uwielbia Wielkie Gesty, jak na przykład oszczędzanie przez dwa tygodnie napiwków za rozwożenie pizzy, żeby mnie zabrać na koncert Yo-Yo Ma, zamiast zwyczajnego zaproszenia na randkę. Albo ozdabianie mojego parapetu kwiatami codziennie przez tydzień, gdy leżałam z ospą wietrzną.

Teraz widzę, jak się koncentruje na nowym zadaniu. Nie wiem dokładnie, co mu przyszło do głowy, ale mniejsza o plan: cieszę się choćby dlatego, że Adam otrząsnął się z emocjonalnego stuporu, w jakim go widziałam na korytarzu przed OIOM-em.

Widywałam go w podobnym stanie, kiedy pisał nową piosenkę albo próbował mnie namówić do zrobienia czegoś, na co nie miałam ochoty – na przykład żebym pojechała z nim na kemping.

Dzięki temu wiem, że nic – ani uderzenie meteora w Ziemię, ani nawet fakt, że jego dziewczyna leży na OIOM-ie – nie zdołaloby go odwieść od powziętego zamiaru.

Poza tym, to właśnie z powodu dziewczyny leżącej na OIOM-ie jest zmuszony obmyślić fortel. Jak przypuszczam, to najstarszy numer szpitalny, skopiowany wprost z filmu *Ścigany*, który oglądałyśmy niedawno z mamą na TNT. Plan budzi we mnie pewne wątpliwości. W Kim też.

– Nie sądzisz, że pielęgniarka cię pozna? – pyta. – Przecież na nią nawrzeszczałeś.

– Nie będzie musiała mnie poznawać, jeśli mnie nie zobaczy.

Teraz widzę, jak jesteście z Mią podobne. Dwie Kasandry.

Adam nigdy nie spotkał pani Schein, więc nie ma pojęcia, że sugerowanie Kim, iż zamartwia się bez powodu, doprowadzi ją do szału. Kim marszczy brwi, ale potem ustępuje.

– Może ten twój kretyński plan miałby większe szanse powodzenia, gdybyśmy mogli zobaczyć, co robimy.

Grzebie w torebce i wyciąga komórkę, którą matka kazała jej ze sobą nosić, kiedy skończyła dziesięć lat – Kim nazywa ją Systemem Lokalizacji Zaginionych Dzieci – i włącza ekran.

Kwadrat światła rozjaśnia ciemności.

– To bardziej przypomina tę genialną laskę, którą Mia ciągle wychwala – rzuca Adam.

Włącza własną komórkę i teraz pomieszczenie wypełnia błądki poblask.

Niestety, teraz można także zobaczyć w składziku pełno szcotek, wiadro i dwa mopy, brakuje natomiast przebrań, na jakie liczył Adam. Gdybym mogła, wyjaśniłabym, że w szpitalu są szatnie z szafkami, gdzie lekarze i pielęgniarki chowają cywilne ubrania, kiedy przebierają się w stroje szpitalne albo laboratoryjne. Jedyne typowo szpitalne rzeczy w okolicy to kłopotliwe koszule nocne, jakie noszą pacjenci. Adam pewnie mógłby włożyć jedną z nich i krążyć po korytarzach na wózku, ale to i tak nie pomogłoby mu w przemknieniu na OIOM.

– Szlag – burczy.

– Nie traćmy nadziei – mówi Kim, która naraz staje po jego stronie. – Szpital ma z dziesięć pięter. Na pewno znajdziemy inne niezamknięte składziki.

Adam siada na podłodze.

– Mhm. Miałaś rację. To głupie. Trzeba wymyślić lepszy plan.

– Mógłbyś udać, że przedawkowałeś albo coś w tym guście, żeby cię przewieźli na OIOM – podsuwa Kim.

– To Portland. Masz szczęście, jeśli z powodu przedawkowania zabiorą cię na oddział ratunkowy – odpowiada. – Nie, myślałem o czymś dla odwrócenia uwagi. No wiesz, na przykład odpalić alarm przeciwpożarowy, żeby wszystkie siostry wybiegły na korytarz.

– Naprawdę sądzisz, że zraszacze i spanikowane pielęgniarki pomogłyby Mii?

– Okej, niezupełnie to miałem na myśli, ale musi być coś, co sprawi, że wszyscy odwrócą wzrok na pół sekundy, bym mógł się wślizgnąć.

– Szybko cię nakryją. I wywalą na zbity pysk.

– Nie szkodzi – odpowiada Adam. – Potrzebuję tylko chwilki.

– Czemu? To znaczy, co możesz zdziałać przez chwilę?

Adam milknie. Jego oczy, zwykle o barwie szarości i brązu skrzyżowanych z zielenią, ciemnieją.

– Dać jej znać, że tu jestem. Że ktoś tu został.

Kim nie pyta już o nic. Siedzą w ciszy, każde pogrążone we własnych myślach, i to mi przypomina, jak oboje z Adamem potrafimy być i razem, i osobno. Po chwili uświadamiam sobie, że stali się przyjaciółmi tak naprawdę. Nieważne, co będzie dalej, osiągnęłam przynajmniej tyle.

Po mniej więcej pięciu minutach Adam klepie się w czoło.

– No jasne – mówi.

– Co?

– Pora wyświecić sygnał nietoperza.

– Hę?

– Chodź. Pokażę ci.

* * *

Kiedy zaczynałam grać na wiolonczeli, tato ciągle był perkusistą w swoim zespole, chociaż parę lat później, po narodzinach Teddy'ego, stopniowo się z tego wycofywał. Od samego początku widziałam jednak, że granie mojej muzyki jest inne i chodzi tu nie tylko o widoczne zdumienie rodziców moim klasycznym gustem. Muzyka klasyczna wymagała samotności. Tato mógł samotnie walić w perkusję przez parę godzin albo w odosobnieniu pisać teksty przy kuchennym stole, brzdąkając na zdezelowanej gitarze akustycznej, ale zawsze powtarzał, że tak naprawdę piosenki się tworzy, grając je innym. To jest w nich najciekawsze.

Ja grałam najczęściej sama w pokoju. Nawet kiedy ćwiczyłam z kolejnymi studentami z college'u, pomijając lekcje, i tak zwykle ćwiczyłam solo. Kiedy dawałam koncert albo recital, występowałam samotnie: wiolonczela, ja i słuchacze. I inaczej niż na występach taty, gdzie fani wskakiwali na scenę, a potem nurkowali w tłum, między mną i audytorium zawsze istniała bariera. Po pewnym czasie zaczęłam odczuwać osamotnienie. I coś w rodzaju nudy.

Wiosną w ósmej klasie postanowiłam więc rzucić granie.

Zaplanowałam, że wycofam się po cichu: zrezygnuję z obsesyjnego ćwiczenia, przestanę dawać recitale.

Wykombinowałam, że jeśli zrobię to stopniowo, to zanim pójde do liceum jesienią, będę miała czysty start; nie będę już znana jako „wiolonczelistka”. Może zacznę grę na nowym instrumencie, gitarze albo basie, albo nawet na perkusji. W dodatku mama była bardzo zajęta Teddym, a tato zawałony planami lekcji i ocenianiem wypracowań, więc pomyślałam, że nikt nawet nie zauważy, że przestałam ćwiczyć, póki nie będzie za późno. Przynajmniej tak sobie wmawiałam. W rzeczywistości mogłam zrezygnować z gry na wiolonczeli równie łatwo, jak przestać oddychać.

Ale może rzeczywiście by mi się udało, gdyby nie Kim.

Któregoś popołudnia umówiłam się z nią po szkole na wyprawę do centrum.

– To nie weekend. Nie musisz ćwiczyć? – zapytała, ustawiając kod na zamku od swojej szafki.

– Dzisiaj mogę zrobić sobie wolne – odparłam i udałam, że szukam książki do geografii.

– Czyżby Mię porwało UFO? Najpierw żadnych recitali. Teraz opuszczasz ćwiczenia. Co się dzieje?

– Nie wiem – mruknęłam, bębniąc palcami w szafkę. – Zastanawiam się, czy nie spróbować na nowym instrumencie. Na przykład perkusji. Instrument taty kurzy się w piwnicy.

– Aha, jasne. Ty i perkusja. To dobre! – zachichotała Kim.

– Mówię poważnie.

Popatrzyła na mnie z otwartymi ustami, jakbym właśnie oświadczyła, że na obiad mam zamiar ugotować parę ślimaków.

– Nie możesz zrezygnować z wiolonczeli – oświadczyła po chwili milczenia.

– Czemu?

Z udręczoną miną spróbowała wyjaśnić.

– Nie wiem, ale po prostu wiolonczela wydaje się częścią ciebie. Nie potrafię wyobrazić sobie Mii bez tego czegoś między nogami.

– Bzdura. Nie mogę nawet zagrać w szkolnej orkiestrze dętej.

Kto w ogóle gra na wiolonczeli?! Gromada starych dziadów. To beznadziejny instrument dla dziewczyny.

Głupkowaty. I chcę mieć więcej wolnego czasu, robić fajne rzeczy.

– Jakie fajne rzeczy? – spytała prowokująco Kim.

– Ehm, bo ja wiem? Zakupy. Spędzanie czasu z tobą.. – Litości

– przerwała. – Nienawidzisz zakupów. I ciągle się widzimy. Ale, okej, daruj sobie dzisiejszą próbę. Chcę ci coś pokazać.

Zabrała mnie do siebie do domu, wygrzebała płytę *Nirvana MTV Unplugged* i puściła mi *Something in the Way*.

– Posłuchaj – powiedziała. – Dwie gitary, perkusja i wiolonczelistka. Nazywa się Lori Goldston i założę się, że w młodości ćwiczyła po dwie godziny dziennie jak pewna znana mi osoba, bo jeśli się chce grać z filharmonikami albo z Nirvaną, nie da się inaczej. Nie wierzę, że ktoś ośmieliłby się nazwać ją głupkowatą.

Pożyczyłam płytę i przez następny tydzień słuchałam jej na okrągło, rozmyślając o tym, co powiedziała Kim. Parę razy wyjęłam wiolonczelę i zagrałam razem z płytą. To był inny rodzaj

muzyki od tej, którą znałam dotychczas, trudny i dziwnie dodający energii. Postanowiłam zagrać dla Kim *Something in the Way* w kolejnym tygodniu, kiedy przyjdzie na obiad.

Zanim jednak zdążyłam to zrobić, Kim przy obiedzie jak gdyby nigdy nic oświadczyła moim rodzicom, że jej zdaniem, powinnam pojechać na letni obóz.

– Próbujesz mnie nawrócić i zabrać ze sobą na studiowanie Tory? – zazartowałam.

– Nie. To obóz muzyczny. – Wyjęła błyszczącą ulotkę Konserwatorium Franklin Valley o letnich zajęciach w Kolumbii Brytyjskiej. – Dla POWAŻNYCH muzyków – powiedziała. – Żeby się dostać, trzeba wysłać swoje nagranie. Dzwoniłam do nich. Termin wysyłania zgłoszeń upływa pierwszego maja, więc masz jeszcze trochę czasu.

Spojrzała mi w oczy, jakby prowokując, żebym się na nią wściekła za wtrącanie się w moje życie.

Nie byłam zła. Serce mi waliło, jak gdyby oznajmiła, że moja rodzina wygrała na loterii i zaraz usłyszę, jaką sumę. Popatrzyłam na nią – nerwowy błysk w oczach przeczył drwiącemu uśmiewi w stylu „coś ci się nie podoba?” – i ogarnęła mnie wdzięczność za to, że przyjaźnię się z kimś, kto często rozumie mnie lepiej niż ja sama. Tato zapytał, czy chcę jechać, a kiedy zaczęłam protestować, że to za dużo kosztuje, odparł: – Mniejsza o pieniądze.

Czy chcę jechać? Chciałam. Ze wszystkich sił.

Trzy miesiące później, kiedy tato wysadził mnie w odludnym zakątku wyspy Vancouver, nie byłam tego taka pewna. Miejsce wyglądało jak typowy obóz letni: chaty z bali w lesie, kajaki rozrzucone na brzegu i około pięćdziesiątka dzieciaków, które, sądząc z uścisków i wrzasków, znały się od lat. Ja tymczasem nie miałam tam bratniej duszy. Przez pierwszych sześć godzin nikt nie odezwał się do mnie słowem – prócz zastępcy dyrektora, wyznaczył mi bowiem miejsce w chacie, pokazał łóżko i wskazał drogę do stołówki, gdzie tego samego dnia dostałam na kolację coś, co wyglądało jak klops.

Nieszczęśliwa gapiłam się w talerz, oczekując smętnego, ponurego wieczoru. Już tęskniłam do rodziców, Kim, a najbardziej do Teddy'ego. Był w tym rozkosznym wieku, kiedy chciał wszystkiego próbować, ciągle pytał: „A co to?”, i mówił przezabawne rzeczy. Dzień przed moim wyjazdem oświadczył, że „chce mu się pić na dziewięć dziesiątych”, i o mało się nie posusiałam ze śmiechu. Stęskniona za domem, westchnęłam i obróciłam kawał mielonego mięsa na talerzu.

– Nie martw się, nie leje codziennie. Tylko co drugi dzień.

Podniosłam wzrok. Naprzeciw siedział podobny do elfa dzieciak, który miał nie więcej niż dziesięć lat, krótko ostrzyżone blond włosy i masę piegów ledwo mieszczących się na nosie.

– Wiem – odparłam. – Jestem z Północnego Zachodu; co prawda, dzisiaj rano było u nas słońce. To mięso psuje mi humor.

Roześmiał się.

– Na to nic nie poradysz. Ale kanapka z masłem orzechowym i galaretką sprawdza się zawsze – dodał, wskazując gestem stół, przy którym pół tuzina koleś robiło sobie kanapki. – Peter. Puzon. Ontario – dodał. Jak się miałam przekonać, tak brzmiało standardowe powitanie we Franklin Valley.

– Och, cześć. Jestem Mia. Wiolonczela. Oregon, chyba. Peter powiedział, że ma trzynaście lat i jest tu drugi raz; prawie wszyscy zaczęli w wieku dwunastu lat i dlatego się znali. Z pięćdziesięciu uczestników mniej więcej połowa grała jazz, a połowa muzykę poważną, więc ekipa nie była zbyt liczna. Przyjechało jeszcze tylko dwoje wiolonczelistów, jednym z nich był wysoki, wiotki rudzielec imieniem Simon, którego Peter przywołał ruchem dłoni.

– Bierzesz udział w konkursie? – zapytał Simon, ledwie Peter zdążył mnie przedstawić jako: „Mię. Wiolonczelę. Oregon”. Simon okazał się „Simonem. Wiolonczelą. Leicester”, co było miastem w Wielkiej Brytanii. Nasza grupa wyglądała na mocno międzynarodową.

– Nie sądzę. Nie wiem nawet, co to za konkurs – odpowiedziałam.

– Cóż, słyszałaś, że na koniec wykonujemy symfonię w orkiestrowym składzie, tak? – zapytał Peter.

Kiwnęłam głową, chociaż miałam o tym jedynie mgliste pojęcie. Całą wiosnę tato czytywał na głos materiały na temat obozu, ale jedyne, co mnie obchodziło, to że pojedę na wakacje z innymi muzykami klasycznymi. Nie zwracałam uwagi na szczegóły.

– To symfonia na zakończenie wakacji. Zjeżdżają na nią ludzie z całego stanu. Duża sprawa. My, najmłodszy, występujemy jako słodki dodatek – wyjaśnił Simon. – Ale jeden uczestnik obozu zostaje wybrany do występu z zawodową orkiestrą i wykonuje solo. W zeszłym roku mało mi brakowało, wygrała pewna flecistka. To moja przedostatnia szansa, zanim skończę szkołę. Od paru lat nie zwyciężył żaden smyczek, a Tracy, trzecia członkini naszego małego tria, nie zamierza próbować. Gra raczej dla przyjemności. Jest niezła, ale nie traktuje gry poważnie. Słyszałem, że ty tak.

Czy traktowałam grę poważnie? Przecież rozważałam jej porzucenie.

– Skąd wiesz?

– Nauczyciele przesłuchują wszystkie nagrania i plotki się rozchodzą. Podobno twoja taśma była naprawdę świetna. To niezwykle, żeby dopuszczać kogoś w drugim roku. No więc liczyłem na trochę porządnej rywalizacji, żeby się podciągnąć, że tak powiem.

– Hej, daj dziewczynie szansę – wtrącił Peter. – Ledwie zdążyła spróbować kłopsa.

Simon zmarszczył nos.

– Proszę o wybaczenie. Ale jakbyś chciała pogadać o wyborze materiału na przesłuchanie, możesz na mnie liczyć – zaofiarował i zniknął w okolicach baru z lodami.

– Nie wkurzaj się na niego. Od ładnych paru lat nie mieliśmy porządnego wiolonczelisty, więc podnieca go zapach świeżej krwi. W czysto estetycznym sensie. To ciota, chociaż niełatwo się domyślić, bo jest Anglikiem.

– Ach, rozumiem. Ale o co mu chodziło? To znaczy, mówił, jakby naprawdę CHCIAŁ, żeby z nim rywalizowała.

– Jasne, że chce. Na tym polega zabawa. Dlatego wszyscy przyjechaliśmy na obóz w samym środku cholernego lasu

deszczowego – dodał, wskazując na zewnątrz. – Dlatego i z powodu fantastycznej kuchni. – Spojrzał na mnie. – Nie po to przyjechałaś?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Nie grałam z wieloma ludźmi, a przynajmniej nie z takimi, którzy traktują to poważnie.

Peter podrapał się w ucho.

– Serio? Wspominałaś, że jesteś z Oregonu. Miałaś coś wspólnego z Portlandzkim Projektem Wiolonczelowym?

– Z czym?

– Awangardowy kolektyw. Grają bardzo ciekawe rzeczy.

– Nie mieszkam w Portland – mruknęłam zawstydzona, bo nigdy nawet nie SŁYSZAŁAM o żadnym Projekcie Wiolonczelowym.

– Okej, więc z kim grasz?

– Z innymi ludźmi. Głównie studentami college’u.

– Żadnej orkiestry? Żadnego zespołu kameralnego? Kwartetu smyczkowego?

Pokręciłam głową, przypominając sobie, jak raz jedna z moich studentek-korepetytorek zaprosiła mnie do kwartetu. Odmówiłam, bo co innego grać z kimś sam na sam, a co innego z kompletnie obcymi ludźmi. Zawsze uważałam, że wiolonczela to samotny instrument, teraz jednak zaczynałam się zastanawiać, czy to nie JA jestem samotniczką.

– Hmm. Więc jakim cudem udało ci się do czegoś dojść? – spytał Peter. – Nie chcę zabrzmieć jak dupek, ale czy to nie w ten sposób STAJESZ SIĘ lepsza? To jak w tenisie. Jeśli grasz z patałachem, wcześniej czy później zaczniesz przepuszczać piłki albo serwować do bani, ale jeśli trafisz na pierwszorzędnego gracza, nagle ciągle jesteś przy siatce, wyprowadzając świetne woleje.

– Nie miałam pojęcia – wyjaśniłam, czując się jak najnudniejsza, najbardziej skryta osoba w dziejach. – W tenisa też nie gram.

Następnych parę dni przemknęło w okamgnieniu.

Zastanawiałam się, po co w ogóle wyciągnęli kajaki. Nie było czasu na zabawę. W każdym razie nie tego rodzaju. Plan dnia okazał się okropnie wyczerpujący. Pobudka o szóstej trzydzieści, śniadanie do siódmej, czas na indywidualną naukę przez trzy godziny rano i po południu oraz próba orkiestrowa przed kolacją. Nigdy wcześniej nie grałam z więcej niż garstką muzyków, więc pierwszych parę dni w orkiestrze upłynęło mi pod znakiem chaosu. Dyrektor muzyczny obozu, będący równocześnie dyrygentem, miotał się, żeby nas rozsadzić, a potem z wielkim wysiłkiem zdołał skłonić do odegrania najbardziej podstawowych fragmentów w czymś na kształt tempa. Trzeciego dnia zaprezentował parę kołysanek Brahmsa. Kiedy zagraliśmy je pierwszy raz, bolało. Instrumenty nie tyle zlewały się, ile zderzały ze sobą niczym kamienie, które wpadły do kosiarki do trawy. „Okropnie! – krzychał. – Jak możecie w ogóle myśleć o graniu w zawodowej orkiestrze, skoro nie potraficie utrzymać tempa w kołysance? Jeszcze raz!”.

Po mniej więcej tygodniu zaczęło się kleić i pierwszy raz poczułam, co znaczy być trybikiem w maszynie. Zaczęłam słyszeć

wiolonczelę w zupełnie nowy sposób: jak jej niskie brzmienie podczas koncertu współgra z wyższym strojem altówki, jak dostarcza oparcia instrumentom dętym drewnianym po drugiej stronie kanału dla orkiestry. I chociaż wydawałoby się, że będąc w grupie, można się odrobinę odprężyć, nie przejmować tak bardzo, jak się zabrzmi w otoczeniu wszystkich pozostałych – to było wręcz przeciwnie.

Siedziałam za siedemnastoletnią altowiolistką imieniem Elizabeth. Była jednym z najbardziej utalentowanych muzyków na obozie – została przyjęta do Królewskiego Konserwatorium w Toronto – a w dodatku piękna jak modelka: wysoka, o królewskiej postawie, skórze koloru kawy i kościach policzkowych, którymi można by rzeźbić w lodzie. Kusiłoby mnie, by ją znienawidzić, gdyby nie jej gra. Jeśli się nie uważa, altówka potrafi wydawać przeraźliwe piski nawet w rękach doświadczonego muzyka. Jednak w dłoniach Elizabeth dźwięk rozbrzmiewał czysto, przejrzysto i lekko. Kiedy słuchałam jej gry i obserwowałam, jak głęboko zatracza się w muzyce, chciałam grać tak samo. A nawet lepiej. Nie chodziło TYLKO o to, że pragnęłam ją pokonać; chciałam grać na równi z nią, jakbym była to winna jej, zespołowi i sobie samej. – Brzmi całkiem ładnie – oznajmił Simon pod koniec obozu, przysłuchując się, jak ćwiczę fragment *Koncertu wiolonczelowego nr 2* Haydna – utworu, z którym męczyłam się bezskutecznie zeszłej wiosny, kiedy robiłam do niego pierwsze podejście. – Wykorzystasz to na konkurs?

Kiwnęłam głową i nie potrafiąc się powstrzymać, uśmiechnęłam się szeroko. Co wieczór po kolacji i przed zgaszeniem świateł oboje z Simonem wynosiliśmy wiolonczelę na zewnątrz i urządzaliśmy improwizowane koncerty o zmierzchu. Na zmianę wyzywaliśmy się na muzyczne pojedynki, starając się pokonać szaleńczymi pomysłami. CIĄGLE współzawodniczyliśmy, ciągle próbowaliśmy sprawdzić, kto zagra lepiej, szybciej, z pamięci. To była wielka frajda i chyba jedyny powód, dla którego tak bardzo polubiłam Haydna.

– Ach, ktoś tu się czuje niezwykle pewny siebie. Myślisz, że mnie pokonasz? – spytał.

– W nogę? Bez dwóch zdań – zażartowałam.

Simon często powtarzał, że uchodzi w rodzinie za czarną owcę nie dlatego, że jest gejem ani muzykiem, ale ponieważ jest beznadziejnym piłkarzem.

Udał, że zraniłam go w samo serce. Potem wybuchnął śmiechem.

– Niesamowite rzeczy zaczynają się dziać, kiedy tylko przestajesz się chować za tą przyczajoną bestią – zauważył, wskazując wiolonczelę. Kiwnęłam głową. Uśmiechnął się do mnie. – Nie bądź taka pewna siebie. Powinnaś usłyszeć mojego Mozarta. Brzmi niczym chór cholernych aniołów.

Tamtego roku żadne z nas nie dostało solówki. Wygrała Elizabeth. Ale chociaż zabrało mi to kolejne cztery lata, w końcu dostąpiłam tego zaszczytu.

21:06

– Mam równo dwadzieścia minut, zanim nasz menedżer pęknie

ze złości.

Schrypnięty głos Brooke Vega huczy na cichym teraz korytarzu szpitalnym. A więc to był pomysł Adama: Brooke Vega, bogini muzyki indie i frontmanka Bikini. W stroju w stylu punky glam, będącym jej znakiem firmowym – dziś wieczorem to krótka spódniczka-bombka, kabaretki, wysokie, czarne skórzane buty, artystycznie podarty T-shirt z logo Shooting Star plus staroświecka futrzana narzutka i czarne okulary *à la* Jackie O. – rzuca się w oczy na szpitalnym korytarzu niczym struś w zagrodzie dla kurcząt. Otacza ją gromada ludzi: Liz i Sarah; Mike i Fitzy – odpowiednio akompaniator i basista Shooting Star – oraz garść ludzi z Portland, których mgliście kojarzę. Z różowymi włosami jest jak słońce, wokół którego krążą zachwycone planety.

Adam przypomina księżyc – stoi z boku, gładząc się po podbródku. Kim wygląda na kompletnie oszołomioną, jakby do budynku właśnie wtargnęła wycieczka Marsjan. A może to dlatego, że ona uwielbia Brooke Vegę. Prawdę mówiąc, Adam też.

Pomijając moją osobę, to jedna z niewielu rzeczy, jakie ich łączą.

– Wyjdiesz za piętnaście – obiecuje Adam.

Brooke podchodzi do niego.

– Adam, dziecino – grucha. – Trzymasz się jakoś?

Obejmuje go, jakby byli starymi przyjaciółmi, chociaż wiem, że pierwszy raz spotkali się dzisiaj; ledwie wczoraj Adam mówił, jak się denerwuje z tego powodu. Teraz jednak Brooke jest tutaj i zachowuje się niczym jego najbliższa kumpela. Na tym, jak sędzę, polega siła tej sceny.

Kiedy przytula Adama, każdy facet i każda panna na korytarzu obserwują ich głodnym wzrokiem, marząc (jak sobie wyobrażam), żeby to ich bliska osoba leżała piętro wyżej w ciężkim stanie, by mogli zasłużyć na pocieszający uścisk Brooke.

Mimo woli zastanawiam się, czy gdybym tu była, gdybym oglądała tę scenę jako dawna, prawdziwa Mia, też bym się czuła zazdrosna? Ale znowu, gdybym była dawną, prawdziwą Mią, Brooke Vega nie znajdowałaby się na szpitalnym korytarzu jako element świetnego fortelu, mającego pomóc Adamowi zakraść się na mój oddział.

– Okej, dzieciaki. Pora na rock and rolla. Adam, jaki jest plan?

– pyta Brooke.

– Ty jesteś planem. Prawdę mówiąc, nie wymyśliłem nic poza zaprowadzeniem cię na OIOM i zrobieniem zadymy.

Brooke oblizuje napompowane wargi.

– Robienie zadymy to moja specjalność. Jak sądzisz, od czego zacząć? Wydać krzyk pierwotny? Rozebrać się? Rozwalić gitarę? Zaraz, nie zabrałam gitary. Cholera.

– Może byś zaśpiewała? – sugeruje ktoś.

– Co powiesz na ten stary kawałek Smithsów *Girlfriend in a Coma*?! – woła ktoś inny.

Adam blednie wobec tej nagłej konfrontacji z rzeczywistością, Brooke zaś unosi brwi w surowym napomnieniu. Wszyscy poważnieją.

Kim chrząka.

– Ehm, niewiele nam pomoże, jeśli Brooke zrobi zadymę na korytarzu. Musimy się dostać na górę na OIOM i potem może ktoś by krzyknął, że przyszła Brooke Vega. To by mogło poskutkować.

A jeśli nie, wtedy zaśpiewaj. W gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby wywabić na zewnątrz parę ciekawskich pielęgniarek i tę skwaszoną szefową. Jak wyjdzie z oddziału i zobaczy nas wszystkich na korytarzu, będzie zbyt zajęta rozprawianiem się z nami, żeby zauważyć, że Adam wślizgnął się do środka.

Brooke mierzy wzrokiem Kim w wymiętych czarnych spodniach i mało twarzowym swetrze. Potem uśmiecha się i bierze moją najlepszą kumpelę pod ramię.

– Brzmi nieźle. No to gazu, dzieciaki.

Zwlekam z podążeniem za nimi, obserwując kolorową procesję sunącą korytarzem.

Hałas, jaki wzniesają ciężkie buty i donośne głosy, podekscytowane doniosłością chwili, niesie się echem przez szpitalną ciszę, wnosząc nieco życia w to miejsce. Pamiętam, jak kiedyś oglądałam program o domu spokojnej starości, do którego przyprowadzano psy i koty, żeby rozweselić starych i umierających mieszkańców. Może wszystkie szpitale powinny importować niesfornych punkrockowców, żeby pobudzili do życia słabnące serca pacjentów.

Stają przed windą i czekają w nieskończoność, aż przyjedzie na tyle pusta, by zabrać na górę wszystkich naraz. Decyduję, że chcę być obok swojego ciała, kiedy Adam dotrze na OIOM.

Zastanawiam się, czy będę w stanie POCZUĆ jego dotyk.

Podczas gdy tamci czekają na windę, wspinam się po schodach.

Nie było mnie ponad dwie godziny i na OIOM-ie wiele się zmieniło. Na jednym z pustych łóżek leży nowy pacjent, mężczyzna w średnim wieku, którego twarz przypomina surrealistyczny obraz: połowa wygląda normalnie, wręcz przystojnie, druga stanowi masę krwi, gazy i szwów, jakby ktoś ją zdmuchnął. Może to rana od postrzału. W tych okolicach zdarza się sporo wypadków podczas polowań. Inny pacjent, owinięty taką ilością gazy i bandaży, że nie byłam w stanie określić, czy to mężczyzna, czy kobieta, zniknął. Na jego/jej miejscu pojawiła się kobieta z szyją unieruchomioną ortopedycznym kołnierzem.

Co do mnie, to zostałam odłączona od respiratora. Pamiętam, jak pracownica socjalna wspominała dziadkom i cioci Diane, że to pozytywna oznaka. Przystaję, żeby sprawdzić, czy to coś zmieniło, ale nadal nic nie czuję, przynajmniej fizycznie. Dzieje się tak od chwili, kiedy siedziałam w samochodzie dzisiaj rano, słuchając *Sonaty wiolonczelowej nr 3* Beethovena. Teraz, kiedy oddycham o własnych siłach, ściana obsługujących mnie maszyn popiskuje znacznie rzadziej, więc pielęgniarki rzadziej mnie odwiedzają. Siostra Ramirez, ta z tipsami, zagląda co jakiś czas, ale jest zajęta nowym gościem z połową twarzy.

– Ja cię kręcę! Czy to nie Brooke Vega? – dolatuje mnie czyjś totalnie sztuczny, dramatyczny głos zza automatycznych drzwi OIOM-u.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby któryś z kumpli Adama wyrażał się tak infantylnie.

To ocenzurowana na użytek szpitalny wersja.

– Jasna cholera! Brooke Vega z Bikini? Ta Brooke Vega, która była na okładce „Spinu” w zeszłym miesiącu? Tutaj, w tym szpitalu? – To Kim. Brzmi jak sześciolatka recytująca tekst ze szkolnej sztuki o grupach produktów żywnościowych: „To znaczy,

że należy jeść owoce i warzywa pięć razy dziennie?”.

– Aha, właśnie ta – odpowiada ochryply głos Brooke. – Przyszłam udzielić rockandrollowego wsparcia wszystkim mieszkańcom Portland.

Kilka młodszych pielęgniarek, które pewnie słuchają popowego radia albo oglądają MTV i słyszały o Bikini, podnosi wzrok, na ich twarzach maluje się podniecenie pomieszane z zaskoczeniem. Słyszę, jak szepczą; aż je skręca, by sprawdzić, czy to rzeczywiście Brooke, albo może po prostu cieszą się, że coś przerwało szpitalną rutynę.

– No więc sobie pomyślałam, że mogłabym coś zaśpiewać. Jeden z moich ulubionych kawałków. Nosi tytuł *Eraser* – ciągnie Brooke. – Ktoś z was może mi podawać rytm?

– Potrzebuję czegoś do stukania – odpowiada Liz. – Ma ktoś długopis albo coś?

Pielęgniarki i salowe na OIOM-ie, bardzo zaciekawione, ruszają do wejścia. Obserwuję rozgrywającą się scenę niczym film. Stoję obok swojego łóżka ze wzrokiem utkwionym w automatyczne drzwi, czekając, by się otworzyły. Aż się skręcam z napięcia. Myślę o Adamie, jakie to uspokajające uczucie, kiedy mnie dotyka; o tym, że kiedy w roztargnieniu gładzi mnie po karku albo dmucha w moje zgrabiące dłonie, czuję, jak się roztapiam.

– Co tu się dzieje? – pyta surowo przełożona pielęgniarek. Nagle wszystkie siostry na oddziale patrzą na nią, nie na Brooke. Nikt nie próbuje wyjaśnić, że na korytarzu jest sławna gwiazda rocka. Czar prysł. Czuję, jak podniecenie zmienia się w rozczarowanie. Drzwi się nie otworzą.

Słyszę na korytarzu Brooke zaczynającą śpiewać słowa *Eraser*. Nawet *a cappella*, nawet zza drzwi, brzmi nieźle.

– Niech ktoś NATYCHMIAST wezwie ochronę! – warczy pielęgniarka.

– Adam, lepiej dawaj od razu! – krzyczy Liz. – Teraz albo nigdy. Idź na całość!

– Biegnij! – krzyczy Kim, przejmując rolę dowódcy operacji. – Będziemy cię kryć.

Drzwi się otwierają. Do środka wtacza się ponad pół tuzina punków, Adam, Liz, Fitzy, parę osób, których nie znam, a na końcu Kim. Na zewnątrz Brooke nadal śpiewa, jak gdyby to właśnie był koncert, na który przyjechała do Portland.

Kiedy Adam i Kim wparowują przez drzwi, oboje wyglądają na zdeterminowanych, wręcz szczęśliwych. Zaskakuje mnie ich odporność, ukryte zasoby siły. Mam ochotę skakać i ich dopingować, jak zwykłam robić na meczach baseballowych Teddy’ego, kiedy mijał trzecią bazę i zmierzał do bazy domowej. Trudno uwierzyć, ale patrząc na Kim i Adama w akcji, czuję się niemal szczęśliwa.

– Gdzie ona jest?! – woła Adam. – Gdzie Mia?

– W rogu, obok szafy z lekami! – odkrzykuje jakiś głos.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że to siostra Ramirez.

– Ochrona! Łapać go! Łapać go! – nawołuje skwaszona pielęgniarka. Wyłowiła Adama wśród pozostałych najeźdźców i jej twarz poróżowiła z gniewu. Dwóch strażników szpitalnych i dwóch salowych wbiega do środka.

– Koleś, to była Brooke Vega? – pyta jeden, łapiąc Fitzy’ego i

popychając go w stronę wyjścia.

– Tak mi się zdaje – odpowiada drugi, chwytając Sarah i wyprowadzając ją na zewnątrz.

Kim mnie zauważyła.

– Adam, jest tutaj! – krzyczy, a potem obraca się, by na mnie spojrzeć, i krzyk zamiera jej w gardle. – JEST TUTAJ – powtarza, lecz tym razem brzmi to jak jęk.

Adam słyszy i robiąc uniki przed pielęgniarzkami, przedziera się w moim kierunku.

A potem staje w nogach łóżka i wyciąga do mnie rękę. Zaraz mnie dotknie. Nagle przypomina mi się nasz pierwszy pocałunek po koncercie Yo-Yo Ma, kiedy Adam aż do ostatniej chwili nie domyślał się, jak bardzo pragnę dotyku jego ust. Nie uświadamiałam sobie, jak bardzo się za nim stęskniłam, aż do teraz, kiedy prawie go czuję.

Prawie. Bo Adam nagle odsuwa się ode mnie. Dwóch strażników złapało go za ramiona i szarpie w tył. Jeden z nich chwytą też Kim za łokieć i prowadzi na korytarz. Jest teraz bezwolna, nie stawia oporu.

Brooke wciąż śpiewa. Na widok Adama przerywa.

– Przykro mi, skarbie – mówi. – Muszę zmykać, zanim się spóźnię na występ. Albo zanim mnie aresztują.

I odchodzi korytarzem, a za nią podąża kilku salowych, błagając o autograf.

– Wezwijcie policję! – krzyczy starsza pielęgniarka. – Każcie go aresztować.

– Zabieramy go na dół na stanowisko ochrony. Taka jest procedura – wyjaśnia jeden ze strażników.

– Aresztowanie to nie nasza działka – dodaje drugi.

– Wyprowadźcie go z mojego oddziału! – piekli się pielęgniarka i ogląda za siebie. – Siostrzo Ramirez, całe szczęście, że nie pomogła siostra tym łajdakom.

– Naturalnie, że nie. Byłam przy szafie z lekarstwami. Umknęło mi całe zamieszanie – odpowiada pielęgniarka. Kłamie tak sprawnie, że jej twarz niczego nie zdradza.

Przełożona klaszcze energicznie.

– W porządku. Koniec przedstawienia. Wracamy do pracy.

Pędzę za Adamem i Kim, których prowadzą w stronę wind.

Wskakuję do środka wraz z nimi. Kim wygląda na oszołomioną, jakby ktoś wcisnął jej reset i jakby ciągle się ładowała.

Adam ma zaciśnięte usta. Nie potrafię powiedzieć, czy zamierza się rozpłakać, czy uderzyć strażnika. Ze względu na niego mam nadzieję, że to pierwsze. Ze względu na siebie – że drugie.

Na parterze ochroniarze prowadzą ich w kierunku korytarza z ciemnymi gabinetami po obu stronach. Właśnie mają wejść do jednego z nielicznych, gdzie palą się światła, kiedy słyszę, jak ktoś woła Adama po imieniu.

– Adam, stój! To ty?

– Willow?! – woła Adam.

– Willow? – nie dowierza Kim.

– Przepraszam, dokąd panowie ich zabierają?! – krzyczy Willow do strażników, biegnąc w ich stronę.

– Przykro mi, ale ta dwójka została przyłapana na próbie wdarcia się na OIOM – wyjaśnia jeden z ochroniarzy.

– Tylko dlatego, że nie chcieli nas wpuścić – tłumaczy słabo Kim.

Willow zrównuje się z nimi. Wciąż ma na sobie strój pielęgniarki, co jest dziwne, bo zwykle jak najszybciej zrzuca, jak to nazywa, swój „ortopedyczny *couture*”. Jej długie, faliste kasztanowe włosy wydają się wiotkie i przetłuszczone, jakby ich nie myła od paru tygodni.

Policzki, zwykle rumiane niczym jabłka, wyglądają jak przemalowane na beżowo.

– Przepraszam. Jestem dyplomowaną pielęgniarką z Cedar Creek. Odbywałam tutaj szkolenie, więc jeśli panowie chcą, możemy wyjaśnić sprawę z Richardem Carutherssem.

– Kto to jest? – pyta jeden ze strażników.

– Dyrektor do spraw społecznych – wyjaśnia drugi. Następnie zwraca się do Willow. – Nie ma go. Już skończył pracę.

– Cóż, mam jego numer domowy – mówi Willow, wymachując komórką niczym bronią.

– Wątpię, czy będzie zachwycony, jeśli zadzwonię teraz i opowiem, jak w tym szpitalu traktuje się chłopaka, który próbował odwiedzić swoją znajdującą się w stanie krytycznym przyjaciółkę. Wiedzą panowie, że dyrektor ceni współczucie nie mniej od sprawnego działania, a to nie jest właściwy sposób traktowania rozpaczonej bliskiej osoby.

– Wykonujemy tylko swoją pracę, proszę pani. Wypełniamy polecenia.

– Więc co panowie powiedzą na to, żebym wam oszczędziła zachodu i przejęła sprawę?

Rodzina pacjentki znajduje się na piętrze. Czekają na tych dwoje. W razie problemów proszę powiedzieć panu Caruthersowi, żeby się ze mną skontaktował.

Sięga do torebki i wyjmuje wizytówkę. Jeden ze strażników zerka na karteczkę, przekazuje ją drugiemu, który patrzy i wzrusza ramionami.

– Równie dobrze możemy sobie oszczędzić papierkowej roboty – stwierdza. Puszczą Adama, który wygląda niczym strach na wróble zdjęty z kija. – Przepraszam, kolego – mówi strażnik i przygląda mu kurtkę na ramionach.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze z twoją dziewczyną

– mamrocze drugi.

Po czym odchodzą w stronę automatów z napojami, od których rozchodzi się błąd pomyłki.

Kim, która widziała Willow może dwa razy w życiu, rzuca się jej w ramiona.

– Dzięki! – szepcze wtulona w jej szyję.

Willow obejmuje ją, klepie po ramieniu i wypuszcza. Ociera oczy, krzywi się i śmieje niepewnie.

– Co wyście sobie wyobrażali, do diabła?! – pyta.

– Chcę zobaczyć Mię – mówi Adam.

Willow odwraca się, żeby na niego popatrzeć, i wydaje się, jakby ktoś odkręcił jej wentyl, pozwalając, by uszło powietrze. Jakby opadła z sił. Wyciąga rękę i dotyka jego policzka.

– Oczywiście, że tak.

Ociera oczy nasadą dłoni.

– Wszystko w porządku? – pyta Kim.

Willow ignoruje pytanie.

– Spróbujmy cię doprowadzić do Mii.

Adam się ożywia.

– Myślisz, że ci się uda? Ta stara pielęgniarka się na mnie uwzięła.

– Jeśli to ta stara pielęgniarka, o której myślę, to nie ma znaczenia, czy się uwzięła. To nie zależy od niej. Zajrzemy do dziadków Mii, a potem się dowiem, kto tu odpowiada za łamanie zasad, i pójdziemy do twojej dziewczyny. Ona cię teraz potrzebuje. Bardziej niż kiedykolwiek.

Adam obraca się i ściska Willow tak mocno, że unosi ją w powietrze.

Willow przybyła z odsieczą. Tak samo uratowała Henry'ego, najlepszego kumpla taty z kapeli, który w dawnych czasach był totalnym pijakiem i playboyem. Po kilku tygodniach chodzenia oznajmiła mu, że albo wróci do pionu i skończy z piciem, albo się pożegnają. Tato opowiadał, że niejedna dziewczyna stawiała Henry'emu ultimatum, próbowała go zmusić, żeby się ustatkował, i płakała potem porzucona. Ale kiedy Willow spakowała szczoteczkę do zębów i powiedziała swojemu chłopakowi, że pora dorosnąć, to Henry szlochał. Potem otarł łzy, dorósł, wytrzeźwiał i przeszedł na monogamię. I patrzcie: osiem lat później żyją razem i mają dziecko.

Willow jest niesamowita pod tym względem. Pewnie dlatego niedługo po wyjściu za Henry'ego została najlepszą przyjaciółką mamy: jeszcze jedna twarda jak diament, opiekuńcza jak kotka feministyczna „dziwka”. I pewnie dlatego tato tak bardzo ją lubi, chociaż Willow nie znosi Ramonesów i uważa, że baseball to nuda, podczas gdy tato żyje dla Ramonesów i traktuje baseball jak religię.

A teraz Willow jest tutaj. Willow pielęgniarka. Willow, która nie przyjmuje „nie” za odpowiedź. Sprawia, że Adam mnie odwiedzi. Zajmie się wszystkim. „Hurra! – chcę krzyknąć – Willow jest tutaj!”.

Taka jestem przejęta świętowaniem jej przybycia, że dopiero po chwili dociera do mnie, co to naprawdę oznacza. Nagle czuję, jakby poraził mnie prąd.

Willow jest tutaj. A skoro jest tutaj, skoro jest w MOIM szpitalu, to znaczy, że nie ma powodu być w SWOIM szpitalu. Znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy nie zostawiłaby Teddy'ego. Nawet wiedząc, że tu jestem, nie odeszłaby od jego łóżka. Był ranny; przywieźli go, żeby się nim zaopiekowała. Był jej pacjentem. Jej priorytetem.

Myślę o tym, że babcia i dziadek są ze mną w Portland. Że wszyscy w poczekalni rozmawiają tylko o mnie, unikają najmniejszej wzmianki o mamie, tacie i Teddym. Myślę o twarzy Willow, która wygląda, jakby wytarto z niej do czysta wszelką radość. Myślę o tym, co powiedziała Adamowi: że teraz go potrzebuję. Bardziej niż kiedykolwiek.

I w ten sposób się dowiaduję. Teddy też nie żyje.

* * *

Mama dostała skurczów trzy dni przed Bożym Narodzeniem i uparła się, żebyśmy poszły na świąteczne zakupy.

– Nie powinnaś się położyć, pojechać do izby porodowej czy

coś? – zapytałam.

Skrzywiła się niezależnie od bólu.

– E tam. Skurcze nie są takie silne i na razie pojawiają się najwyżej co dwadzieścia minut.

Zanim urodziłam cię, wysprzątałam cały dom, od piwnic po strych.

– Klin klinem – zażartowałam.

– Bystra jesteś, wiesz? – odparła. Odetchnęła kilka razy. – Mam parę spraw do załatwienia. Zbieraj się. Pojedziemy autobusem. Nie mam siły prowadzić.

– Czy nie powinniśmy zadzwonić do taty? – zapytałam.

Na to się roześmiała.

– Proszę, wystarczy, że mam urodzić DZIECKO. Nie chcę mieć na głowie jeszcze jego.

Zadzwonimy, jak będę gotowa do akcji. Wolę mieć pod ręką ciębie.

No i krążyliśmy po galerii handlowej, przystając co kilkanaście minut, żeby mama mogła usiąść, wziąć parę głębokich oddechów i ścisnąć mój nadgarstek tak mocno, aż zostawały bolesne czerwone ślady. A jednak był to niesamowicie zabawny i pracowity ranek.

Kupiłyśmy prezenty dla babci i dziadka (sweter z aniołem oraz nową książkę o Abrahamie Lincolnie), zabawki dla dziecka i nowe kalosze dla mnie. Zwykle czekałyśmy z podobnymi sprawunkami do poświętecznych wyprzedaży, ale mama powiedziała, że w tym roku będzie zbyt zajęta zmienianiem pieluszek.

– Nie pora na oszczędności. O, szlag! Przepraszam, Mia.

Chodźmy na ciasto.

Poszłyśmy do cukierni Marie Callender. Mama zamówiła dyniowo-bananowe, ja – z czarnymi jagodami. Kiedy skończyła, odsunęła talerz i oświadczyła, że jest gotowa jechać do akuszerki.

Nigdy właściwie nie rozmawiałyśmy o tym, czy powinnam być przy porodzie. W tamtych czasach chodziłam z rodzicami wszędzie, więc w pewnym sensie wydawało się to oczywiste.

Spotkałyśmy się z wijącym się ze zdenerwowania tatą w izbie porodowej, która w niczym nie przypominała gabinetu

lekarskiego. Mieściła się na parterze domu, gdzie rozstawiono łóżka i wanny z jacuzzi, a cały sprzęt medyczny dyskretnie ukryto.

Hipiska-akuszerka wprowadziła mamę do środka i tato zapytał, czy ja też chcę wejść. Słyszałam, jak mama wyrzuca z siebie przekleństwa.

– Mogę zadzwonić po babcię, żeby cię zabrała – zaproponowałam, krzywiąc się na odgłosy maminej tyrady. – Ale to trochę potrwa.

Pokręciłam głową. Mama mnie potrzebuje. Sama tak powiedziała. Usiadłam na kanapie z kwiecistym obiciem i sięgnęłam po gazetę z głupekowatym, łysym niemowlakiem na okładce.

Tato zniknął w pokoju z łóżkiem.

– Muzyka! Cholera jasna! Muzyka! – krzyknęła mama.

– Mamy uroczą płytę Enyi. Bardzo kojąca – zaproponowała akuszerka.

– Do diabła z Enyą! – wrzasnęła mama. – Melvins. *Earth*. Już!

– Tak myślałem – odparł tato.

Po czym nastawił płytę z najgłośniejszym, najdzikszym gitarowym łomotem, jaki słyszałam. W porównaniu z nim

wszystkie szybkie punkowe kawałki, których słuchał normalnie, brzmiały jak brzdąkanie na harfie. Utwór miał w sobie coś pierwotnego i, jak się zdaje, mamie to pomogło. Zaczęła wydawać niskie, gardłowe pomruki. Siedziałam bez słowa. Co jakiś czas mama wykrzykiwała moje imię i wtedy pędziłam do środka. Spoglądała na mnie z twarzą oblaną potem. „Nie bój się – szeptała. – Kobiety potrafią znieść najgorszy ból. Sama się przekonasz pewnego dnia”. A potem znowu klęła.

Parę razy widziałam poród w programie telewizyjnym na kablówce i kobiety zwykle wtedy krzyczały, czasem też przeklinały (co wyciszano), ale wszystko nie trwało dłużej niż pół godziny. Tymczasem po trzech godzinach mama i Melvins wrzeszczeli równo dalej. W ośrodku porodowym panował wilgotny, tropikalny upał, chociaż na zewnątrz były cztery stopnie powyżej zera. W odwiedzinie wpadł Henry. Wszedł do środka i kiedy usłyszał wrzaski, stanął jak wryty.

Wiedziałam, że cała impreza porodowa go przeraża. Podśledzałam, jak rodzice o tym rozmawiali – i o tym, że nie chce dorosnąć. Podobno był w szoku, kiedy ja się urodziłam, a teraz nie mógł się pogodzić, że rodzice zdecydowali się na drugie dziecko. Gdy Henry i Willow zeszli się ponownie, rodzice przyjęli to z ulgą. „Nareszcie ktoś dorósł w życiu Henry’ego” – skomentowała mama.

Henry popatrzył na mnie; twarz miał bladą i spoconą.
– Jasna cholera, Mee. Na pewno powinnaś tego słuchać? I czy ja też powinienem?

Wzruszyłam ramionami. Usiadł obok.
– Chyba mam grypę, ale twój tato zadzwonił, żebym przywiózł coś do jedzenia. No więc jestem – wyjaśnił, wyjmując cuchnącą cebulą torbę z Taco Bell. Mama jęknęła znowu. – Muszę się zmywać. Nie chcę roznosić zarazków i tak dalej. – Mama krzyknęła głośniej i Henry dosłownie podskoczył na kanapie. – Na pewno chcesz tu zostać? Możesz pojechać do mnie. Willow została w domu, żeby się mną zaopiekować. – Wyszczrzył zęby na samą wzmiankę o niej. – Tobą też się zajmie. Podniósł się do wyjścia.

– Nie. Wszystko w porządku. Mama mnie potrzebuje. A tato trochę tchórzy.
– Wymiotował już? – spytał Henry, siadając z powrotem. Roześmiałam się, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że mówi poważnie.
– Kiedy ty się rodziłaś, zwymiotował. Mało nie padł zemdlony jak długi. Nie żebym go winił. Koleś był w proszku, lekarze chcieli go wyrzucić... Powiedzieli, że to zrobią, jeśli się nie urodzisz w ciągu pół godziny. Twoja mama tak się wkurzyła, że wypchnęła cię pięć minut później. – Uśmiechnął się i rozparł na kanapie. – Tak opowiadają. Ale jedno ci powiem: płakał jak cholerne niemowlę, kiedy się urodziłaś.
– Tę część słyszałam.
– Którą część? – zapytał tato zduszonym głosem. Wyrwał Henry’emu torbę. – Taco Bell?
– Obiad mistrzów – odparł Henry.
– Może być. Umieram z głodu. Straszny młyn. Muszę podreperować siły.

Henry mrugnął. Tato wyjął z torby i podsunął mi burrito. Pokręciłam głową. Zaczął odpakowywać kanapkę, kiedy mama warknęła, a potem zaczęła krzyczeć na akuszerkę, że jest gotowa przeć.

Kobieta wystawiła głowę przez drzwi.

– Zdaje się, że jesteśmy blisko, więc niech pan lepiej przełoży obiad na później – powiedziała. – Zapraszam z powrotem.

Henry dosłownie wyfrunął za drzwi. Ja poszłam za tatą do sypialni, gdzie siedziała mama, dysząc jak chory pies.

– Chce pan zajrzeć? – zwróciła się akuszerka do taty, który się zachwiał i zrobił bladozielony na twarzy.

– Chyba lepiej postoję – odparł i złapał mamę za rękę, lecz ona gwałtownie wyszarpnęła mu dłoń.

Mnie nikt nie pytał, czy chcę się przyglądać. Po prostu odruchowo stanęłam obok akuszerki. Muszę przyznać, że wyglądało to dość obrzydliwie. Mnóstwo krwi. I na pewno nigdy wcześniej nie widziałam mamy przodem tak zupełnie gołej. Ale to, że jestem przy porodzie, wydawało mi się dziwnie normalne. Akuszerka mówiła mamie, żeby parła, potem zaczekała, potem znowu parła. „Chodź, dziecko, chodź, dziecko, chodź, dziecko” – nuciła. „Już prawie koniec!” – cieszyła się. Mama wyglądała, jakby chciała ją uderzyć.

Kiedy Teddy się wysunął, był ułożony buzią do góry, w stronę sufitu, więc zobaczył mnie pierwszą. Nie płakał, jak w telewizji.

Po prostu milczał. Oczy miał otwarte i patrzył na mnie.

Przyglądał mi się również, kiedy akuszerka odsysała mu śluz z nosa.

– To chłopiec! – zawołała.

Położyła małego mamie na brzuchu.

– Chce pan przeciąć pępowinę? – spytała taty. Machnął ręką, że nie, zbyt przejęty albo bliski mdłości, by mówić.

– Ja to zrobię – zaproponowałam.

Akuszerka przytrzymała pępowinę i powiedziała mi, gdzie ciąć. Teddy leżał spokojnie, z otwartymi szeroko szarymi oczami, i nadal mi się przyglądał.

Mama zawsze powtarzała, że ponieważ mnie pierwszą zobaczył i ponieważ to ja przecięłam pępowinę, w głębi ducha uważa mnie za swoją matkę.

– To jak te gąsienki – żartowała – które wdrukowały sobie obraz zoologa jako gęsiej mamy, bo po wykluciu zobaczyły najpierw jego.

Przesadzała. Tak naprawdę Teddy nie uważał mnie za swoją mamę, ale pewne rzeczy tylko ja mogłam przy nim zrobić. Kiedy był mały i przechodził okres nocnego kapryszka, uspokajał się wyłącznie wtedy, kiedy zagrałam mu kołysankę na wiolonczeli. Gdy się zainteresował Harrym Potterem, tylko mnie było wolno czytać mu co wieczór jeden rozdział.

A jeśli rozbił sobie kolano albo nabił guza na głowie, a ja znajdowałam się w okolicy, nie przestawał płakać, póki nie dostał ode mnie magicznego pocałunku w obite miejsce, które goiło się cudownym sposobem.

Wiem, że dzisiaj nie pomogłyby mu wszystkie magiczne pocałunki świata. Ale zrobiłabym wszystko, żeby móc go pocałować.

22:40

Uciekam.

Zostawiam Adama, Kim i Willow na korytarzu i miotam się po szpitalu. Nie uświadamiam sobie, że szukam oddziału pediatrycznego, dopóki się tam nie znajdę. Mknę przez korytarze, mijając sale z nerwowymi czterolatkami, drzemiącymi niespokojnie przed jutrzejszym wycięciem migdałków, mijając OIOM noworodkowy z maleństwami wielkości pięści, podłączonymi do większej liczby rurek niż ja; mijając oddział onkologii pediatrycznej, gdzie łysi pacjenci chorzy na raka śpią pod radosnymi malunkami tęczy i balonów. Szukam go, choć przecież wiem, że go nie znajdę. Ale nie mogę przestać.

Wyobrażam sobie jego głowę, mocno skręcone blond loki.

Uwielbiam wtulać w nie twarz. Wciąż czekam na dzień, kiedy mnie odepchnie, powie: „Nie rób mi wstydu” jak do taty, który kibicuje mu zbyt głośno podczas meczów baseballowych. Dotychczas miałam nieograniczony dostęp do jego włosów. Dotychczas. Nie ma już żadnego „dotychczas”.

Wszystko skończone.

Wyobrażam sobie, jak wtulam twarz w jego włosy ostatni raz; nawet w wyobraźni nie potrafię sobie wyobrazić, że nie płaczę, blond loki prostują się od moich łez.

Teddy nigdy nie przejdzie do dorosłej ligi baseballowej. Nigdy nie zapuści wąsów. Nigdy nie wda się w walkę na pięści, nie zastrzeli jelenia, nie pocałuje dziewczyny, nie będzie uprawiał seksu, nie zakocha się, nie ożeni, nie zostanie ojcem własnego berbecia o kręconych włosach.

Jestem od niego tylko o dziesięć lat starsza, a wydaje się, jakbym już przeżyła o tyle więcej. To niesprawiedliwe. Jeśli jedno z nas powinno ocaleć, jeśli jedno powinno otrzymać szansę na dalsze życie, to właśnie on.

Miotam się po szpitalu niczym dzikie zwierzę schwytane w pułapkę. „Teddy! – wołam. – Gdzie jesteś? Wróć do mnie!”. On nie wróci. Wiem, że to nic nie da. Poddaję się i wlokę z powrotem na swój OIOM.

Chcę stłuc rozsuwane drzwi. Chcę rozwalić stanowisko pielęgniarek. Chcę, żeby wszystko zniknęło. Ja chcę zniknąć. Nie chcę tu być. Nie chcę być w szpitalu. Nie chcę być w stanie zawieszenia: widzieć, co się dzieje, być świadomą swoich uczuć i zarazem nie móc niczego poczuć naprawdę. Nie mogę krzyczeć aż do bólu gardła ani zbić szyby, aż rozkrwawię sobie rękę, ani wrywać garściami włosów, aż fizyczny ból przesłoni ten w sercu. Przyglądam się sobie, „żywej” Mii, leżącej na szpitalnym łóżku. Czuję przyływ wściekłości. Gdybym mogła, uderzyłabym własną obojętną twarz.

Zamiast tego siadam na krześle i zamykam oczy, życząc sobie, żeby wszystko zniknęło.

Ale nie mogę. Nie mogę się skupić, bo nagle robi się straszny hałas. Czujniki piszczą i świergoczą, dwie pielęgniarki biegną w moim kierunku.

– Spada jej ciśnienie krwi i saturacja! – krzyczy jedna.

– Ma tachykardię! – woła druga. – Co się stało?

– Kod błękitny, kod błękitny na oddziale urazowym! – dudni

głośnik.

Wkrótce przyłącza się do nich lekarz, trąc zmęczone oczy okolone ciemnymi kręgami.

Zrywa ze mnie przykrycie i zadziera szpitalną koszulę. Jestem naga od pasa w dół, lecz tutaj nikt nie zwraca na to uwagi. Lekarz kładzie mi dłoń na brzuchu, spuchniętym i wzdętym. Otwiera szerzej oczy, potem je przymyka, tak że zostają tylko szparki.

– Twardy brzuch – mówi ze złością. – Trzeba zrobić USG.

Siostra Ramirez biegnie do pokoiku na tyłach, a po chwili przytacza coś, co wygląda jak laptop z długą białą przystawką. Wyciska na mój brzuch trochę żelu, a lekarz przesuwa po nim urządzeniem.

– Cholera. Pełno płynu – stwierdza. – Pacjentka miała po południu operację?

– Usunięcie śledziony – wyjaśnia pielęgniarka.

– To może być niezamknięte naczynie krwionośne – mówi lekarz. – Albo powolny wyciek z przebitego jelita. Wypadek samochodowy, tak?

– Tak. Przywieziono ją helikopterem dzisiaj rano.

Lekarz przegląda moją kartę.

– Operował ją doktor Sorensen. Jest jeszcze pod pagerem.

Proszę go zawiadomić, pacjentkę przewieźć na salę operacyjną.

Musimy otworzyć brzuch i sprawdzić, co cieknie i dlaczego, zanim jej stan się pogorszy. Jezu, stłuczenie mózgu, zapadnięte płuco. Dziewczyna wygląda, jakby ją przejechał walec.

Siostra Ramirez rzuca mu gniewne spojrzenie, jak gdyby mnie obraził.

– Panno Ramirez – karci ją skwaszona pielęgniarka przy pulpicie. – Ma pani własnych pacjentów, proszę się nimi zająć. Tę młodą kobietę trzeba zaintubować i przewieźć na operację.

To jej pomoże bardziej niż kręcenie się bez celu!

Pielęgniarki sprawnie odłączają czujniki i cewniki, po czym umieszczają mi w gardle kolejną rurę. Para salowych zjawia się w pośpiechu z łóżkiem na kółkach i przenosi mnie na nie.

Kiedy wywożą mnie w pośpiechu, nadal jestem naga od pasa w dół, lecz tuż zanim miniemy wewnętrzne drzwi, siostra Ramirez woła: „Zaczekajcie!” i delikatnie nakrywa mnie szpitalną koszulą. Klepie mnie trzykrotnie w czoło czubkami palców, jakby nadawała sygnał Morse’em.

A potem znikam w labiryncie korytarzy prowadzących w kierunku sali operacyjnej na kolejną rundę krojenia, tym razem jednak nie podążam za sobą. Zostaję na OIOM-ie.

Wreszcie zaczyna do mnie docierać. To znaczy, nie rozumiem wszystkiego na sto procent. To nie tak, że jakimś sposobem sprawiłam, by naczynie krwionośne się otwarło i zaczęło krwawić do mojego brzucha. Nie tak, że życzyłam sobie kolejnej operacji. Ale Teddy nie żyje.

Mama i tato nie żyją. Dzisiaj rano wybrałam się na przejażdżkę z rodziną. A teraz jestem tutaj, samotna jak nigdy dotąd. Mam siedemnaście lat. Nie tak miało być. Nie tak miało wyglądać moje życie.

W cichym kącie OIOM-u zaczynam poważnie myśleć o wszystkich bolesnych sprawach, które do tej pory udawało mi się ignorować. Jak to będzie, jeśli zostanę? Jakie to uczucie obudzić

się jako sierota? Już nigdy nie poczuć tytoniu fajkowego taty? Nie rozmawiać cicho z mamą przy zmywaniu naczyń? Nie przeczytać Teddy'emu kolejnego rozdziału *Harry'ego Pottera*? Zostać bez nich?

Nie jestem pewna, czy jeszcze należą do tego świata. Nie jestem pewna, czy chcę się obudzić.

* * *

Tylko raz w życiu byłam na pogrzebie, i to pogrzebie kogoś, kogo prawie nie znałam.

Mogłam iść na pogrzeb ciotecznej babci Glo, kiedy umarła na ostre zapalenie trzustki.

Ale bardzo szczegółowo przedstawiła w testamencie swoje ostatnie życzenia: żadnego tradycyjnego nabożeństwa, żadnego pochówku w rodzinnej kwaterze. Zamiast tego chciała, by ją skremowano, a prochy rozsypano podczas świętej ceremonii indiańskiej gdzieś w górach Sierra Nevada. Babcia bardzo się zezłościła na ten pomysł i na samą ciocię Glo, która (jak mówi babcia) zawsze stara się podkreślić, jaka jest szczególna, nawet po śmierci. Koniec końców, babcia zbojkotowała ceremonię, a skoro ona nie pojechała, nie było sensu, żebyśmy my to zrobili.

Peter Hellman, mój przyjaciel puzonista z obozu muzycznego, zmarł dwa lata temu.

Niewielu z nas wiedziało, że cierpiał na chłoniaka. To była dziwna rzecz związana z obozami: w czasie wakacji bardzo się zaprzyjaźnialiśmy, ale istniała niepisana zasada, że przez pozostałą część roku nie utrzymujemy kontaktu. Byliśmy przyjaciółmi na lato. Dlatego o jego śmierci dowiedziałam się na kolejnym obozie. Tak czy inaczej, zagraliśmy koncert poświęcony pamięci Petera, ale to nie to samo co pogrzeb.

Kerry Gifford był muzykiem z naszego miasta, jednym z kumpli rodziców. Inaczej niż tato i Henry, którzy odkąd dorośli i założyli rodziny, stali się mniej wykonawcami, a bardziej znawcami muzyki, Kerry pozostał singlem wiernym swojej pierwszej miłości: graniu. Należał do trzech zespołów i zarabiał na życie, ustawiając dźwięk w miejscowym klubie: idealny układ, bo przynajmniej jedna z kapel występowała tam prawie co tydzień, więc potrzebował jedynie skoczyć na scenę i przekazać komuś kontrolki na czas swojego setu – chociaż czasami widywano go, jak zbiega ze sceny w połowie numeru, żeby coś poprawić przy urządzeniach. Znałam go w dzieciństwie, kiedy chodziłam na koncerty z mamą i tatą, a potem tak jakby poznałam go ponownie, gdy zostałam dziewczyną Adama i znowu zaczęłam bywać na tego typu imprezach.

Pewnego wieczoru przyszedł do pracy i właśnie ustawiał dźwięk dla portlandzkiej grupy o nazwie Clod, gdy nagle osunął się na konsolę mikserską. Zmarł, zanim przyjechało pogotowie.

Niewykryty tętniak mózgu.

Śmierć Kerry'ego wzbudziła w mieście wielkie poruszenie.

Uchodził w naszych stronach za człowieka instytucję: wygadany gość z wielką osobowością i masą rozczochranych dredów.

Był młody, miał dopiero trzydzieści dwa lata. Wszyscy znajomi planowali wziąć udział w jego pogrzebie w górskim mieście, gdzie dorastał, o parę godzin jazdy samochodem od nas. Mama i tato oczywiście się wybierali, Adam też. Chociaż czułam się trochę jak

intruz wpraszający się na imprezę, postanowiłam się przyłączyć. Teddy został z babcią i dziadkiem.

Jechaliśmy całą karawaną z gromadą ludzi, stłoczeni w wozie z Henrym i Willow, która była w tak zaawansowanej ciąży, że nie dała rady zapiąć pasa. Wszyscy po kolei opowiadali zabawne historie o Kerrym. O Kerrym – zaprzysięgłym lewicowcu, który postanowił zaprotestować przeciw wojnie w Iraku, więc skrzyknął paru kumpli, z którymi przebrał się za drag queens i zgłosił do biura werbunkowego, żeby się zaciągnąć. O Kerrym – sknerze i ateście, który nie znosił komercjalizacji Bożego Narodzenia, więc co roku urządzał w klubie imprezę Wesołych Antyświąt połączoną z konkursem na najbardziej zniekształcone wykonanie kolędy.

Następnie zachęcał wszystkich, żeby rzucali na wielki stos pośrodku klubu okropne prezenty, które dostali. Wbrew miejscowej legendzie wcale ich nie palił; tato mówił, że przekazywał je Stowarzyszeniu św. Wincentego à Paulo. Kiedy tak wszyscy o nim opowiadali, w samochodzie panował radosny i zabawny nastrój, jakbyśmy się wybierali do cyrku, a nie na pogrzeb. Wydawało się to w porządku wobec Kerry'ego, który zawsze tryskał gorączkową energią.

Sam pogrzeb okazał się zupełnie inny. Był mocno przygnębiający – nie tylko dlatego, że żegnaliśmy kogoś, kto zmarł tragicznie młodo i bez szczególnego powodu, nie licząc tętniczego pecha. Pogrzeb odbywał się w ogromnym kościele, co wydawało się dziwne, biorąc pod uwagę, że Kerry był zdeklarowanym ateistą. Ale to mogłam zrozumieć, no bo gdzie indziej urządzić pogrzeb? Problem stanowiło nabożeństwo. Było oczywiste, że pastor nigdy nie spotkał zmarłego, bo mówił o nim w samych ogólnikach: jakie Kerry miał dobre serce i że choć odczuwamy smutek z powodu jego odejścia, Kerry otrzyma swoją „nagrodę w niebie”.

Zamiast kumpli z kapeli czy ludzi z miasta, wśród których Kerry przeżył ostatnie piętnaście lat, wystąpił jakiś wuj Boise i zaczął opowiadać, jak uczył Kerry'ego jeździć na rowerze, kiedy ten miał sześć lat – tak jakby nauka jazdy na rowerze była szczytowym osiągnięciem jego życia. Na koniec zapewnił wszystkich, że Kerry kroczy teraz u boku Jezusa.

Widziałam, jak mama czerwienieje na te słowa, i zaczęłam się trochę niepokoić, by czegoś nie powiedziała. Czasem chodziliśmy do kościoła, więc mama nie miała nic przeciwko religii – ale Kerry miał, i to bardzo dużo, a mama zawsze broniła żarliwie swoich przyjaciół i bardzo osobiście traktowała spotykające ich zniewagi. Znajomi czasem przezywali ją z tego powodu Mamą Niedźwiedzicą. Gdy nabożeństwo zakończyło wzniosłe wykonanie *Wind Beneath My Wings* Bette Midler, mama dosłownie ziała ogniem i siarką.

– Całe szczęście, że Kerry nie żyje, bo padłby trupem na własnym pogrzebie – skomentował Henry.

Postanowiliśmy darować sobie stypę i poszliśmy do restauracji.

– *Wind Beneath My Wings?* – zdziwił się Adam, z roztargnieniem wziął mnie za rękę i podmuchał na moje wieczne zimne palce, by je rozgrzać. – A czemu nie *Amazing Grace*? Też

jest tradycyjna.. – ...ale nie chce się od niej wymiotować – wpadł mu w słowo Henry. – Jeszcze lepsze byłoby *Three Little Birds* Boba Marleya. To bardziej w stylu Kerry'ego. W sam raz dla upamiętnienia tego, jakim był człowiekiem.

– Tu przecież wcale nie chodziło o upamiętnienie życia Kerry'ego – warknęła mama, zrywając z szyi szalik. – Tylko jego wymazanie. Jakby próbowali go zabić po raz drugi.

Tato uspokajającym gestem położył rękę na jej zaciśniętej pięści.

– Już dobrze. To tylko pieśń.

– Nie tylko – zaprzeczyła, wyrywając rękę. – Chodzi o to wszystko, co symbolizowała.

O tę całą farsę. Ty jak nikt powinienes to rozumieć.

Tato wzruszył ramionami, uśmiechając się smutno.

– Może powinienem. Ale nie potrafię się gniewać na jego rodzinę. Wyobrażam sobie, że poprzez ten pogrzeb próbowali odzyskać syna.

– Zlituj się – odparła, kręcąc głową. – Skoro chcieli go odzyskać, czemu nie uszanowali życia, jakie wybrał? Czemu nigdy nawet go nie odwiedzili? Czemu nie cenili jego muzyki?

– Nie wiemy, co myślą o tym wszystkim – odparł tato. – Nie sądzmy ich zbyt surowo. To musi być potwornie smutne chować własne dziecko.

– Nie wierzę, że ich usprawiedliwiasz! – zawołała mama.

– Wcale nie. Myślę tylko, że może wyciągasz zbyt daleko idące wnioski z ich muzycznych gustów.

– A ja myślę, że mylisz współczucie z naiwnością!

Tato skrzywił się ledwie dostrzegalnie, ale to wystarczyło, żeby Adam uścisnął mnie za rękę, a Henry i Willow wymienili spojrzenia. Henry włączył się do rozmowy – jak sądzę, chcąc pomóc tacie.

– Z powodu układu ze swoimi rodzicami ty patrzysz na to inaczej – zwrócił się do taty. – To znaczy, są staroświeccy, ale zawsze się interesowali tym, co robisz, zresztą nawet w najbardziej rockandrollowych czasach pozostałeś dobrym synem i dobrym ojcem. Zawsze meldowałeś się w domu na niedzielny obiad. Mama wybuchnęła śmiechem, jakby uwaga Henry'ego potwierdzała jej opinię.

Spojrzeliliśmy na nią i nasze zszokowane miny chyba ostudziły jej oratorski zapach.

– Trochę poniosły mnie emocje – przyznała.

Tato zrozumiał, że na nic więcej nie może teraz liczyć. Przykrył jej dłoń swoją, a mama jej nie zabrała.

Milczał chwilę, wahając się, czy się odezwać.

– Po prostu myślę, że z pogrzebami jest podobnie jak z samą śmiercią. Można mieć własne życzenia, własne plany, ale ostatecznie nie ma się na nic wpływu.

– Nieprawda – zaprotestował Henry. – Nie, jeśli powiesz o swoich życzeniach właściwym ludziom. – Obrócił się do Willow i zwrócił do jej wydatnego brzucha. – A więc słuchaj, rodzinie.

Na mój pogrzeb nikomu nie wolno przyjść w żałobie. A co do muzyki, chcę coś popowego i oldskulowego, na przykład Mr. T. Experience. – Podniósł wzrok na Willow. – Zrozumiano?

– Mr. T. Experience. Masz to jak w banku.

– Dzięki. A ty, kochanie? – zapytał.

Odpowiedziała bez chwili wahania: – Zagrajcie *P.S. You Rock My World* Eelsów. I życzę sobie ekologicznego pogrzebu, pod drzewem, na łonie natury. I żadnych kwiatów. To znaczy, za życia możecie mi dawać całe naręczka piwonii, ale jak już umrę, lepiej przekażcie pieniądze na jakąś porządną instytucję dobroczynną, na przykład Lekarzy bez Granic.

– Obmyślałaś wszystkie szczegóły – zdziwił się Adam. – To skrzywienie zawodowe?

Willow wzruszyła ramionami.

– Zdaniem Kim, to znaczy, że jesteś głęboka – powiedziałam. – Ciągłe powtarza, że świat dzieli się na ludzi, którzy sobie wyobrażają własny pogrzeb, i takich, którzy tego nie robią, i że osoby inteligentne oraz artyści w naturalny sposób zaliczają się do pierwszej kategorii.

– Więc co ty byś chciała? – spytał Adam.

– *Requiem* Mozarta – odpowiedziałam. Obejrzałam się na rodziców. – Bez obaw, nie mam myśli samobójczych ani nic w tym rodzaju.

– Litości – odparła mama, której nastrój poprawiał się coraz bardziej, w miarę jak mieszała kawę. – Kiedy ja byłam nastolatką, wyobrażałam sobie własny pogrzeb w najdrobniejszych szczegółach. Mój leniwy ojciec i wszyscy przyjaciele, którzy mnie zawiedli, szlochali nad moją trumną, naturalnie w kolorze czerwonym, po czym słuchaliby Jamesa Taylora.

– Niech zgadnę – wtrąciła się Willow. – *Fire and Rain*?

Mama kiwnęła głową i obie wybuchnęły śmiechem.

Po chwili wszyscy przy stole rechotali tak, że łzy płynęły nam po twarzach.

A potem zaczęliśmy płakać – nawet ja, chociaż wcale nie znałam dobrze Kerry’ego.

Płakałam i śmiałam się, śmiałam się i płakałam.

– A teraz? – zwrócił się Adam do mamy, kiedy się uspokoiliśmy. – Nadal darzysz względami pana Taylora?

Znieruchomiała i zamrugęła oczami, jak zawsze, kiedy się nad czymś głęboko zastanawia. Potem pogładziła tatę po policzku – nieczęsty u niej publiczny wyraz emocji.

– W idealnym scenariuszu ja i mój naiwny mąż o złotym sercu umieramy szybko i w tej samej chwili w dziewięćdziesiąte drugie urodziny. Nie jestem pewna w jaki sposób. Może na safari w Afryce? Bo w przyszłości jesteśmy bogaci (ej, te moje fantazje...). Zapadamy na jakąś egzotyczną chorobę i pewnego wieczoru kładziemy się spać, czując się doskonale, aby się nigdy nie obudzić. I żadnego Jamesa Taylora. Na naszym pogrzebie zagra Mia. To znaczy, jeśli uda się ją wyciągnąć z Filharmonii Nowojorskiej.

Tato się mylił.

To prawda, nie zawsze ma się wpływ na to, jak będzie wyglądał nasz pogrzeb, ale czasami można wybrać swoją śmierć. I nie potrafię się uwolnić od myśli, że życzenie mamy częściowo się SPEŁNIŁO. Odeszła razem z tatą. Nie zagram jednak na ich pogrzebie.

Niewykluczone, że ich pogrzeb będzie także moim. Jest w tym coś kojącego: odejść jako rodzina.

Nie zostawiając nikogo. Z drugiej strony, nie mogę się pozbyć myśli, że mamie by się to NIE spodobało. Prawdę mówiąc, Niedźwiedzia Mama pękłaby ze złości, gdyby widziała, w jaki sposób wszystko się dzisiaj potoczyło.

2:48

Jestem znowu w punkcie wyjścia. Z powrotem na OIOM-ie. A właściwie, moje ciało jest.

Ja siedziałam tu cały czas, zbyt zmęczona, żeby się ruszyć. Chciałabym móc zasnąć. Chciałabym, by istniało jakieś znieczulenie DLA MNIE albo przynajmniej coś, co sprawi, żeby świat zniknął.

Chcę być jak moje ciało: spokojna i bezwolna, glina w cudzych rękach. Nie mam siły podjąć tej decyzji. Nie chcę. Mówię to na głos: „Nie chcę tego”. Rozglądam się po OIOM-ie, czując się trochę niepoważnie. Wątpię, by inni pooharatani pacjenci byli zachwyceni pobytem tutaj.

Moje ciało nie na długo opuściło OIOM. Tylko na parę godzin operacji. Jakiś czas w sali wybudzeń. Nie wiem dokładnie, co ze mną zrobili, i pierwszy raz dzisiejszego dnia wcale mnie to nie obchodzi. Nie powinnam mieć tego rodzaju problemów. Nie powinnam się tak męczyć.

Uświadamiam sobie nagle, że umieranie jest proste. To życie jest trudne.

Znowu leżę pod respiratorem i znowu mam oczy zaklejone taśmą. Wciąż nie rozumiem jej przeznaczenia. Czy lekarze się boją, że zbudzę się w połowie operacji i przerazi mnie widok skalpeli i krwi? Jak gdyby coś takiego mogło mnie teraz wyprowadzić z równowagi. Dwie pielęgniarki, jedna przypisana do opieki nade mną i siostra Ramirez, podchodzą do łóżka i sprawdzają odczyty wskaźników. Wykrzykują chórem liczby, równie teraz dla mnie znajome jak własne imię: ciśnienie krwi, saturacja, częstość oddechów. Siostra Ramirez w niczym nie przypomina kobiety, która zjawiała się tu wczoraj po południu. Makijaż się starł, włosy oklapły.

Wydaje się, że mogłaby zasnąć na stojąco. Z pewnością niedługo kończy zmianę. Będę za nią tęsknić, ale cieszę się, że może mnie opuścić, opuścić to miejsce. Też bym chciała je opuścić.

I myślę, że to zrobię. To tylko kwestia czasu – i sposobu. Leżę w łóżku od niespełna piętnastu minut, kiedy zjawia się Willow. Wmaszerowuje przez rozsuwane drzwi i idzie porozmawiać z pielęgniarką za biurkiem. Nie słyszę słów, ale dolatuje mnie ton głosu: uprzejmy, łagodny, lecz niepozostawiający miejsca na dyskusję. Kiedy wychodzi po paru minutach, w powietrzu czuć zmianę. Teraz to ona tu dowodzi. Skwaszona pielęgniarka wygląda początkowo na zirytowaną: „Kim jest ta kobieta, żeby mi rozkazywać?”.

Potem jednak najwyraźniej się poddaje, wyrzuca ręce w górę w geście rezygnacji. To była obłąkana noc. Zmiana prawie się skończyła. Po co się szarpać? Wkrótce ja i wszyscy moi hałaśliwi, nachalni goście staniemy się problemem kogoś innego. Pięć minut później Willow wraca, prowadząc babcię i dziadka.

Pracowała cały dzień, a potem spędziła tutaj całą noc. Wiem, że nawet w zwykłe dni sypia za mało. Pamiętam, jak mama udzielała jej rad, co robić, by dziecko dobrze spało.

Nie jestem pewna, kto wygląda gorzej, ja czy dziadek. Policzki ma ziemiste, skórę szarą i jakby papierową, oczy nabiegłe krwią. Babcia, przeciwnie, prezentuje się jak zawsze. Po niej nie widać ani śladu zmęczenia, jakby nie śmiało wejść jej w paradę. Sunie prosto do mojego łóżka.

– Dałaś nam dzisiaj do wiwatu, bez dwóch zdań – rzuca lekko. – Twoja mama zawsze powtarzała, że nadziwić się nie może, jaka z ciebie grzeczna dziewczynka, a ja mówiłam tylko: „Poczekaj, aż zaczniesz dorastać”. Ale dowiodłaś, że się myliłam. Nawet jako nastolatka byłaś słodka jak anioł. Nigdy nie sprawiałaś kłopotów. Nie należałaś do takich, przez które człowiek dostaje palpacji serca. Dzisiaj odbiłaś to sobie z nawiązką.

– Dość już, dość – ucisza dziadek, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Och, żartuję tylko. Mia by się na tym poznała. Nie brak jej poczucia humoru, chociaż czasem wydaje się taka poważna. A jaka potrafi być złośliwa!

Babcia przysuwa krzesło do łóżka i zaczyna rozczesywać mi włosy palcami. Ktoś splukał je wodą, więc choć nie są naprawdę czyste, nie są też zlepione krwią. Rozplątuje grzywkę, sięgając niemal do podbródka. Ciągłe ją podcinam, a potem zapuszczam. To najbardziej radykalna zmiana wizerunku, na jaką się mogę zdobyć. Sięga niżej, wyciąga kosmyki przyciśnięte poduszką i układa mi na piersi, zakrywając niektóre podłączone do mnie przewody i rurki.

– No, teraz znacznie lepiej – stwierdza. – Wiesz, poszłam dzisiaj na spacer i nie uwierzysz, co widziałam. Krzyżodzioba. W Portland, w lutym. To dopiero niespodzianka. Myślę, że to Glo. Zawsze miała do ciebie słabość. Mówiła, że przypominasz jej swojego ojca, a jego uwielbiała. Mało nie wyprawiła przyjęcia na jego cześć, kiedy pierwszy raz zrobił sobie irokeza.

Była zachwycona, że taki z niego buntownik, że jest inny. Nie miała pojęcia, że jej nie znosił.

Przyszła do nas kiedyś w gości, miał wtedy pięć czy sześć lat, ubrana w te wyliniałe norki. To się działo, jeszcze zanim dostała fioła na punkcie praw zwierząt, kryształów i całej reszty. Futro cuchnęło okropnie kulkami na mole, jak stare prześcieradła, które trzymamy w skrzyni na strychu, i twój ojciec zaczął ją przezywać Cioteczką Śmierdzącą Skrzynią. Nigdy się nie dowiedziała. Ale była zachwycona, że się nam sprzeciwiał, bo myślała, że o to mu chodzi i że twoja muzyka klasyczna to też dowód buntu, tym razem przeciw ojcu. Staralam się jej wytłumaczyć, że to nie tak, ale nie chciała słuchać. Miała własne zdanie na każdy temat; pewnie jak wszyscy.

Babcia terkocze przez kolejne pięć minut, informując mnie o sprawach tego świata: Heather postanowiła zostać bibliotekarką. Kuzyn Matthew kupił sobie motocykl, czym ciocia Patricia nie jest zachwycona. Parę razy słyszałam, jak ciągnęła takie doniesienia z ostatniej chwili całymi godzinami, gotując obiad albo przesadzając orchidee. Słuchając jej teraz, potrafię ją sobie wyobrazić w szklarni, gdzie nawet zimą powietrze jest ciepłe i wilgotne, pachnące piżmem jak ziemia z lekką domieszką obornika. Babcia zbiera ręcznie krowie łajno, „krowie placki”, jak

je nazywa, i miesza ze ściółką, produkując własny nawóz. Dziadek uważa, że powinna opatentować przepis i rozprowadzać go za opłatą, bo jej orchidee zawsze zdobywają nagrody.

Próbuję się poddać dźwiękowi jej głosu, pogodnej paplaninie. Niekiedy potrafię niemal zasnąć, siedząc na barowym stołku w jej kuchni, i zastanawiam się, czy udałoby mi się teraz, tutaj. Sen jest bardzo pożądany. Ciepły koc mroku, który by zakrył wszystko. Sen bez snów.

Słyszałam, jak ludzie mówili o śnie zmarłych. Czy tym właśnie wydawałaby się śmierć?

Najprzyjemniejszą, najrozkoszniejszą, najgłębszą, niekończącą się drzemką? Jeśli tak, to proszę bardzo. Jeśli na tym polega umieranie, nie mam nic przeciwko.

Otrząsam się gwałtownie; pod wpływem paniki znika spokój, który mnie ogarnął, gdy przysłuchiwałam się babci. Nadal nie do końca pojmuję wszystkie szczegóły, ale wiem z całą pewnością, że kiedy raz na dobre postanowię odejść, odejdę. A nie jestem gotowa. Jeszcze nie.

Nie wiem dlaczego, ale nie jestem. I trochę się boję, że jeśli przypadkiem pomyślę: „Nie mam nic przeciwko niekończącej się drzemce”, zapadnę w nią i to będzie nieodwracalne – na tej samej zasadzie dziadkowie ostrzegali, że jeśli wykrzywię twarz, kiedy zegar wybijie południe, mina zostanie mi na zawsze.

Zastanawiam się, czy każdy umierający człowiek może zdecydować: zostać czy umrzeć?

Wydaje się to mało prawdopodobne. Ostatecznie w szpitalu leży pełno chorych, którym przetacza się do żył trujące związki chemiczne, albo przechodzących poważne operacje – wszystko po to, by mogli zostać, a przecież niektórzy mimo to umierają.

Czy mama i tato zdecydowali? Wydaje się, że raczej nie mieli czasu na podjęcie tak doniosłej decyzji; nie potrafię też sobie wyobrazić, by wybrali odejście i zostawili mnie samą.

A Teddy? Czy chciał umrzeć z rodzicami? Czy wiedział, że ja wciąż jestem tutaj? Nawet jeśli tak, nie miałabym za złe, gdyby postanowił odejść beze mnie. Jest mały. Pewnie się bał. Nagle wyobrażam go sobie samotnego i przerażonego i pierwszy raz w życiu mam nadzieję, że babcia nie myli się co do aniołów. Modłę się, żeby były zbyt zajęte uspokajaniem Teddy’ego, by się przejmować mną.

Czemu ktoś nie może rozstrzygnąć za mnie? Czemu nie mogę dostać pełnomocnika do spraw śmierci? Albo postąpić jak drużyny baseballowe, kiedy mecz się kończy i potrzebny jest świetny pałkarz, aby gracze mogli wrócić do bazy domowej? Czemu nie mogę poprosić o gracza rezerwowego, by mnie zaprowadził do domu?

Babcia wyszła. Willow również. Na OIOM-ie panuje spokój.

Zamykam oczy. Kiedy je znowu otwieram, jest przy mnie dziadek. Płacze. Nie wydaje żadnego dźwięku, ale łzy płyną mu strumieniem po policzkach i całą twarz ma mokrą. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak płakał.

Cicho, ale obficie, jakby ktoś tajemniczym sposobem odkręcił kran w jego oczach. Łzy spadają na mój koc, na świeżo rozczesane włosy, kap, kap, kap.. Dziadek nie wyciera twarzy, nie wydmuchuje nosa. Pozwala łzom płynąć, gdzie chcą.

A kiedy studnia rozpaczy nagle wysycha, podchodzi i całuje mnie w czoło. Wygląda, jakby zamierzał odejść, ale potem nachyla się nad łóżkiem, przekręca twarz, tak by znalazła się na poziomie mojego ucha, i szepcze.

– To w porządku – mówi – jeśli zechcesz odejść. Wszyscy pragną, byś została. Ja też tego chcę bardziej niż cegokolwiek w życiu. – Głos łałamuje mu się z emocji. Urywa, odkasłuje, nabiera oddechu i mówi dalej. – Ale to moje życzenie i mozesz się ze mną nie zgadzać. Więć chciałem tylko powiedzieć, że zrozumieć, jeżeli odejdiesz. To w porządku, jeżeli musisz nas opuścić. To w porządku, jeżeli chcesz przestać walczyć.

Pierwszy raz, odkąd zrozumiałam, że Teddy też nie żyje, czuję, jak coś w moim wnętrzu się rozluźnia. Czuję, jak oddycham. Wiem, że dziadek nie może być tym zjawiającym się w ostatniej chwili graczem rezerwowym, na którego pomoc liczyłam. Nie odłączy respiratora, nie poda mi śmiertelnej dawki morfiny ani nic podobnego. Ale pierwszy raz dzisiaj ktoś wspomniał o mojej stracie. Wiem, że pracownica socjalna uprzedzała ich oboje, by mnie nie niepokoiłi, lecz zrozumienie ze strony dziadka i to pozwolenie, którego właśnie mi udzielił... Czuję, jakbym otrzymała dar.

Dziadek nie odchodzi. Siada zgarbiony na krześle. Robi się cicho. Tak cicho, że można niemal usłyszeć sny innych pacjentów. Tak cicho, że można niemal usłyszeć, jak mówię do niego:

„Dziękuję”.

* * *

Po narodzinach Teddy’ego tato nadal był perkusistą w tej samej kapeli, w której zaczął grać na studiach. Wydali kilka płyt; co lato jeździli w trasę. Ich zespół nie był na topie, ale miał grupę fanów na Północnym Zachodzie i w wielu miastach uniwersyteckich od Oregonu po Chicago. I co dziwne, także w Japonii. Ciągłe dostawali listy od japońskich nastolatek, błagających, żeby przyjechali z koncertem, i zapraszających do własnych domów na nocleg. Tato zawsze powtarzał, że jeśli pojedą, zabierze mamę i mnie. Nauczyłyśmy się nawet paru słów po japońsku, tak na wszelki wypadek. *Konnichiwa. Arigato*. Nic jednak z tego nie wyszło.

Kiedy mama oznajmiła, że jest w ciąży z Teddym, pierwszym znakiem nadciągających zmian był fakt, że tato zrobił uprawnienia nauczyciela. W wieku trzydziestu trzech lat. Poprosił mamę, żeby go nauczyła prowadzić, ale, jak twierdził, okazała się zbyt niecierpliwa. Mama zaś mówiła, że tato był zbyt wrażliwy na krytykę. No więc dziadek zaczął go zabierać na przejażdżki po pustych wiejskich drogach, jak robił ze wszystkimi swoimi dziećmi – tyle tylko, że pozostałe nauczyły się prowadzić w wieku szesnastu lat.

Następnie była zmiana garderoby, ale tego nie zauważyliśmy od razu. Nie wyglądało to tak, że pewnego dnia tato zdjął czarne dzinsy rurki i T-shirty z nazwą swojej kapeli i zamienił je na garnitur. Przebiegało to bardziej subtelnie. Najpierw pozbył się Tshirtów na korzyść rayonowych koszul z lat pięćdziesiątych, wygrzebywanych w sklepiku organizacji dobroczynnej, aż stały się modne i musiał je kupować w szpanerskich butikach ze strojami w stylu vintage.

Potem do kosza poszły dzinsy, z wyjątkiem pary wytwornych ciemnoniebieskich lewisów, które prasował i wkładał w weekendy. Najczęściej nosił schludne, dopasowane spodnie z mankietami. Kiedy jednak parę tygodni po narodzeniu Teddy'ego porzucił skórzaną kurtkę – swoją ukochaną, wytartą motocyklową kurtkę z futrzanym pasem w panterkę – w końcu do nas dotarło, że dokonuje się doniosła przemiana.

– Chłopie, nie mówisz poważnie – zaprotestował Henry, kiedy tato wręczał mu kurtkę. – Nosisz ją od dzieciństwa. Nawet pachnie jak ty.

Tato wzruszył ramionami, ucinając dyskusję. I wziął na ręce Teddy'ego, który kaprysił w wiklinowym łóżeczku.

Parę miesięcy później oświadczył, że odchodzi z zespołu.

Mama przekonywała, że nie musi tego robić ze względu na nią.

Powiedziała, że może grać, jeśli tylko nie będzie wyjeżdżał w trasę na cały miesiąc, zostawiając ją samą z dwójką dzieci.

Odpowiedział, żeby się nie martwiła; że to nie przez nią.

Pozostali kumple z kapeli przyjęli wiadomość spokojnie, ale Henry był zdruzgotany.

Próbował przekonać tatę do zmiany zdania. Obiecywał, że będą grali tylko w mieście. Nie będzie musiał jeździć w trasy. Ani zostawać do świtu. „Możemy nawet występować w garniturach. Będziemy wyglądać jak Rat Pack. Grać covery Sinatry. Odpuść, chłopie” – przekonywał.

A ponieważ tato nie dał się przekonać, strasznie się pokłócili.

Henry był wściekły, że nie pytając nikogo o zdanie, tato opuścił kapelę, tym bardziej że mama nie miała nic przeciwko jego grze.

Tato wyjaśnił, że mu przykro, ale nie zmieni decyzji. W tamtym czasie rozesłał już CV do gimnazjów. Zamierzał zostać nauczycielem. Dość objania się.

– Pewnego dnia zrozumiesz – przekonywał.

– Chyba śnisz! – wypalił Henry.

Nie rozmawiali parę miesięcy. Willow wpadała niekiedy jako rozjemczyni.

Wyjaśniała, że Henry musi przemyśleć parę spraw.

„Daj mu trochę czasu” – przekonywała, a tato udawał, że wcale nie jest mu przykro. Potem Willow i mama piły kawę w kuchni i wymieniały znaczące uśmiešky, jakby chciały powiedzieć:

„Faceci są tacy dziecinni”.

Z czasem Henry zaczął nas znowu odwiedzać, ale nie przeprosił taty, przynajmniej nie od razu. Wiele lat później, niedługo po tym, kiedy urodziła mu się córeczka, zadzwonił pewnego wieczoru, łkając. „Teraz rozumiem” – przyznał.

Co najdziwniejsze, pod pewnymi względami dziadek wydawał się równie zmartwiony metamorfozą taty jak Henry. Można by sądzić, że będzie zachwycony. Oboje z babcią są bardzo staroświeccy, jak z innej epoki. Nie używają komputera, nie oglądają kablówki, nigdy nie przeklinają i mają w sobie coś, co zmusza innych do uprzejmości. Mama, która klnie jak szewc, nigdy nie użyła brzydkiego słowa w ich obecności. Tak jakby wszyscy obawiali się ich zawieść.

Babci przemiana taty strasznie się spodobała.

– Gdybym wiedziała, że te wszystkie ubrania wrócą do łask, zachowałabym stare garnitury dziadka – zauważyła pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy wpadliśmy na lunch i tato zdjął

trencz, ukazując wełniane gabardynowe spodnie i kardigan z lat pięćdziesiątych.

– Wcale nie wróciły do łask. To punk stał się znowu modny, więc twój syn znów się buntuje – mama uśmiechnęła się drwiąco.

– Czyj tato się buntuje? Twój tato? – zagruchała do Teddy'ego, który zagulgotał zachwycony.

– Cóż, z pewnością prezentuje się szykownie – uznała babcia. – Nie sądzisz? – zwróciła się do dziadka.

Wzruszył ramionami.

– Dla mnie zawsze wygląda w porządku. Jak wszystkie moje dzieci i wnuki.

Ale powiedział to ze zbolałym wyrazem twarzy.

Później tego popołudnia wyszłam z dziadkiem po drewno do kominka. Musiał porąbać kilka polan, więc patrzyłam, jak zabiera się z siekierą do stosu suchych gałęzi olchy.

– Nie podobają ci się nowe ubrania taty? – zapytałam.

Zamarł. Potem delikatnie odłożył siekierę obok ławki, na której siedziałam.

– Nie mam nic przeciwko jego nowym ubraniom, Mio – odparł.

– Ale wyglądałeś tak smutno, kiedy babcia o nich mówiła.

Dziadek pokręcił głową.

– Nic ci nie umknie, co? A skończyłaś dopiero dziesięć lat.

– Trudno nie zauważyć. Kiedy jesteś smutny, WYGLĄDASZ smutno.

– Nie jestem smutny. Twój tato wydaje się zadowolony i myślę, że będzie z niego dobry nauczyciel. Szczęściarze z dzieciaków, które będą z nim przerabiać *Wielkiego Gatsby'ego*. Po prostu brakuje mi jego muzyki.

– Muzyki? Przecież nigdy nie chodzisz na koncerty.

– Mam uszkodzony słuch. Po wojnie. Od hałasu bolą mnie uszy.

– Powinieneś nosić słuchawki ochronne. Mnie mama też każe.

Bo korki wypadają.

– Może spróbuję. Zawsze jednak słuchałem piosenek twojego taty. Po cichu. Przyznaję, nie jestem wielbicielem elektrycznych gitar. Nie znam się na tym. Ale muzykę zawsze podziwiałem. Szczególnie słowa. Kiedy twój tato miał tyle lat co ty, wymyślał niesamowite historie. Siadał przy swoim małym biurku i je notował, potem dawał babci do przepisania, a w końcu rysował ilustracje. Zabawne opowiadania o zwierzętach, ale prawdziwe i inteligentne.

Zawsze mi przypominały tę bajkę o pajęczycy i małej śwince...

Jak ona się nazywa?

– *Pajęczyna Charlotty*? – Właśnie. Sądziłem, że twój tato zostanie pisarzem, jak dorośnie. I w pewnym sensie miałem wrażenie, że tak się stało. Teksty, które pisze do swojej muzyki, to czysta poezja.

Przysłuchiwałaś im się kiedyś uważnie?

Pokręciłam głową, bo nagle zrobiło mi się wstyd. Nawet nie wiedziałam, że tato pisze teksty. Nie śpiewał, więc założyłam, że piszą je ludzie stojący przy mikrofonie. A przecież setki razy widywałam go siedzącego przy kuchennym stole z gitarą i notesem. Po prostu nigdy nie skojarzyłam faktów.

Tego wieczoru po powrocie do domu wymknęłam się do swojego pokoju z płytą taty i discmanem. Sprawdziłam w

informacjach na okładce, które piosenki napisał, a potem pracownicy spisałam słowa. Dopiero kiedy je zobaczyłam nabazgrane w moim dzienniku laboratoryjnym, zrozumiałam, o czym mówił dziadek. Teksty taty to nie były tylko rymowanki. Były czymś więcej. Szczególnie jeden, zatytułowany *Czekając z odpłatą*, który przesłuchiwałam i czytałam w kółko, aż nauczyłam się go na pamięć. Znajdował się na drugim albumie i to był jedyny wolny kawałek, jaki nagrali; brzmiał niemal jak country, może wskutek przelotnego zauroczenia Henry'ego punkiem hillbilly. Zaczęłam go podśpiewywać, nie zdając sobie z tego sprawy: *Skąd się tu wzięłem? Co teraz będzie? I co dalej, co będzie dalej? Teraz widzę pustkę Zamiast światła w twoich oczach Lecz to było tak dawno Zeszłego wieczoru Co to było? Co to za dziwny dźwięk? To tylko moje życie Przemyka obok ze świstem A kiedy patrzę wstecz Wszystko zdaje się nieważne Już od tak dawna Od zeszłego wieczoru Teraz odchodzę Lada chwila zniknę Może zauważysz Może się zdziwisz, co poszło źle Niczego nie wybieram Po prostu nie mam sił dłużej walczyć To było jasne od tak dawna Od zeszłego wieczoru.* – Co śpiewasz, Mio? – spytał tato, gdy nuciłam tę serenadę Teddy'emu, wożąc go w wózku po kuchni i bez skutku próbując uspić.

– Twoją piosenkę – wyznałam onieśmielona, bo nagle poczułam, że może bezprawnie wdarłam się na jego terytorium. Czy to w porządku śpiewać czyjąś muzykę bez pozwolenia? Ale tato wydawał się zachwycony.

– Moja Mia śpiewa *Czekając z odpłatą* małemu Teddy'emu. Kto by pomyślał! – Schylił się, żeby mi zmierzwić włosy i połaskotać małego w pulchne policzki. – Cóż, nie będę ci przeszkadzał. Śpiewaj dalej. A tym ja się zajmę – dodał, przejmując wózek.

Poczułam się zawstydzona, że mam przed nim śpiewać, więc tylko mruzczałam melodię, ale potem tato się przyłączył i cicho nuciliśmy razem, aż Teddy zasnął. Tato położył palec na ustach i pokazał na migi, żebyśmy poszli do salonu.

– Chcesz zagrać w szachy? – spytał. Ciągłe próbował mnie nauczyć, ale mnie szkoda było wysiłku na coś, co i tak jest udawaniem.

– A może w warcaby? – spytałam.

– Pewnie.

Graliśmy w milczeniu. W przerwach spoglądałam ukradkiem na jego koszulę, próbując przywołać szybko blaknący obraz taty z tlenionymi włosami i w skórzanej kurtce.

– Tato?

– Hmm.

– Mogę o coś spytać?

– Zawsze.

– Jest ci smutno, że już nie grasz w zespole?

– Nie – odparł.

– Ani troszeczkę?

Jego szare oczy spojrzały w moje.

– Skąd te wszystkie pytania?

– Rozmawiałam z dziadkiem.

– Ach, rozumiem.

– Tak?

Kiwnął głową.

– Dziadek myśli, że jakimś sposobem skłonił mnie do zmiany sposobu życia.

– A skłonił?

– Myślę, że pośrednio tak. Przez to, kim jest; pokazując mi, co to znaczy być ojcem.

– Ale byłeś dobrym ojcem, kiedy grałeś w kapeli.

NAJLEPSZYM. Nie chcę, żebyś przeze mnie rezygnował – dodałam, czując nagle, że ściska mnie w gardle. – I Teddy też by nie chciał.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ręce.

– Mio Oj-Oj-Oj. Z niczego nie rezygnowałem. To nie jest wybór typu „albo-albo”.

Uczenie albo muzyka. Dżinsy albo garnitury. Muzyka zawsze będzie częścią mojego życia.

– Ale rzuciłeś zespół! Przestałeś się ubierać jak punk!

Tato westchnął.

– To nie było trudne. Nagrałem się do syta. Już najwyższy czas.

Nie zmagalem się z tą myślą – nieważne, co sądzą na ten temat dziadek czy Henry. Czasem człowiek dokonuje w życiu wyboru, a czasem to wybór stwarza człowieka. Brzmi sensownie?

Pomyślałam o wiolonczeli. O tym, że czasem sama nie wiem, co mnie w niej pociąga; nieraz wydaje mi się, że to instrument mnie wybrał. Kiwnęłam głową, uśmiechnęłam się i skupiłam uwagę na grze.

– Mam królowkę! – zawołałam.

4:57

Nie mogę przestać myśleć o *Czekając z odpłatą*. Od lat nie słuchałam tej piosenki ani o niej nie myślałam, po wyjściu dziadka śpiewałam ją jednak raz za razem. Tato napisał ją wieki temu, lecz wydaje mi się, jakby to zrobił wczoraj. Jakby ją napisał z tego miejsca, gdzie się teraz znajduje – gdziekolwiek to jest. Jakby zawierała tajną wiadomość dla mnie. Bo jak inaczej wyjaśnić słowa: „Niczego nie wybieram. Po prostu nie mam sił dłużej walczyć”. Co to znaczy? Czy ma to być jakiegoś rodzaju instrukcja? Wskazówka, co wybraliby dla mnie rodzice, gdyby mogli? Próbuję wyobrazić sobie całą sytuację z ich perspektywy. Wiem, że chcieliby być ze mną, żebyśmy w końcu wszyscy znaleźli się razem. Ale nie mam pojęcia, czy tak właśnie jest po śmierci, a nawet jeśli stanie się tak bez względu na to, czy odejdę dzisiejszego ranka, czy za siedemdziesiąt lat. Czego chcieliby dla mnie TERAZ? Kiedy tylko zadaję sobie to pytanie, widzę zirytowaną twarz mamy. Pękłaby ze złości, że w ogóle biorę pod uwagę inną możliwość oprócz pozostania. Tato jednak wiedział, co to znaczy nie mieć sił walczyć. Może podobnie jak dziadek zrozumiałby, czemu mi się zdaje, że NIE MOGĘ zostać. Nucę piosenkę, jakby jej tekst skrywał instrukcje, muzyczną mapę z zaznaczonym miejscem i trasą, jak tam dotrzeć. Śpiewam w skupieniu i zastanawiam się tak głęboko, że ledwie zauważam wejście Willow na OIOM; ledwie widzę, jak rozmawia ze skwaszoną pielęgniarzką; ledwie odnotowuję stalową determinację w jej głosie.

Gdybym poświęciła temu więcej uwagi, pewnie bym zrozumiała, że Willow zabiega o to, by Adam mógł mnie odwiedzić. Może jakimś sposobem zdołałabym się wymknąć, zanim – jak zwykle – Willow odniosła sukces.

Nie chcę go teraz widzieć. To znaczy, oczywiście chcę. Tęsknię za nim. Ale wiem, że jeśli go zobaczę, stracę ostatni okruch spokoju, który zyskałam dzięki słowom dziadka. Próbuję zebrać się na odwagę i zrobić to, co muszę. A Adam wszystko komplikuje. Próbuję wstać i odejść, ale coś się ze mną stało po ostatniej operacji. Nie mam siły się poruszać. Już samo siedzenie prosto na krześle wymaga ode mnie wyężenia wszystkich sił. Nie mogę uciec; mogę się tylko ukryć. Podciągam kolana do piersi i zamykam oczy.

Słyszę, jak siostra Ramirez rozmawia z Willow.

– Przyrowadzę go – obiecuje.

Ten jeden raz skwaszona pielęgniarka nie każe jej wracać do własnych pacjentów.

Słyszę, jak siostra Ramirez mówi do Adama: – To, co zrobiłeś wcześniej, było kretyńskie.

– Wiem – odpowiada. Mówi ochrypłym szeptem, jak po szczególnie rozwrzeszczanym koncercie. – Byłem zrozpaczony.

– Nie, romantyczny – poprawia pielęgniarka.

– Zachowałem się jak idiota. Wcześniej lekarze mówili, że jej stan się poprawia. Że ją odłączyli od respiratora. Że jest coraz silniejsza. Ale po mojej wizycie się jej pogorszyło.

Podobno w czasie operacji jej serce się zatrzymało... – jego głos cichnie.

– Ale pobudzili je do pracy. Miała perforację jelita i żółć sączyła się do jamy brzusznej, zaburzając pracę organów wewnętrznych. Podobne rzeczy ciągle się zdarzają i to nie miało żadnego związku z tobą. Zorientowaliśmy się w porę i zaradziliśmy temu, to najważniejsze.

– Było już z nią lepiej – szepcze Adam. Wydaje się młody i wrażliwy jak Teddy, kiedy chorował na grypę żołądkową. – A potem ją odwiedziłem i mała nie umarła.

Głos więźnie mu w gardle i przechodzi w szloch. Ten dźwięk otrzeźwia mnie niczym wiadro lodowatej wody wylane na szpitalną koszulę. Adam sądzi, że to JEGO wina? Nie! Co za bzdura!

Kompletnie się myli.

– A ja PRAWIE zostałam w Puerto Rico i wzięłam ślub z tłustym sukinsynem! – prycha pielęgniarka. – Ale tego nie zrobiłam. I moje życie wygląda zupełnie inaczej. PRAWIE się nie liczy. Musisz stawić czoło temu, co jest. Ona ciągle żyje. –

Zaciąga zasłonę wokół łóżka. – Wchodź – rozkazuje.

Zmuszam się, żeby podnieść głowę i otworzyć oczy. Adam.

Boże, nawet teraz jest piękny. Oczy ma zapadnięte ze zmęczenia.

Twarz zarośniętą, tak że gdybyśmy się całowali, podrapałby mi podbródek. Nosi typowy uniform swojej kapeli: T-shirt, podwinięte spodnie rurki i tenisówki, a na szyi kraciasty szalik dziadka.

Na mój widok blednie, jakbym była jakimś ohydny potworem z Czarnej Laguny.

Rzeczywiście wyglądam marnie podłączona do respiratora i tuzina innych rurek, z opatrunkiem przesiąkniętym krwią po

ostatniej operacji. Po chwili jednak Adam głośno wypuszcza powietrze i znowu jest po prostu Adamem. Rozgląda się wokół, jakby coś mu spadło na ziemię, aż znajduje to, czego szukał: moje dłonie.

– Jezu, Mia, masz ręce jak z lodu.

Kuca, bierze je w swoje i ostrożnie, żeby nie zaczepić o rurki i kable, przykłada usta, po czym wdmuchuje ciepłe powietrze do budki z rąk.

– Ty i twoje zwariowane dłonie.

Adam nie może się nadziwić, że nawet w środku lata, nawet po najgorętszych pieszczotach moje ręce pozostają zimne. Tłumaczę, że to problem z krążeniem, ale nie chce wierzyć, bo stopy mam zwykle ciepłe. Mówi, że mam bioniczne ręce i dlatego tak świetnie gram na wiolonczeli.

Przyglądam się, kiedy rozgrzewa mi dłonie jak setki razy wcześniej. Przypominam sobie, jak zrobił to pierwszy raz, na trawniku przed szkołą, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Pamiętam też pierwszy raz, kiedy to zrobił na oczach moich rodziców. Siedzieliśmy wszyscy na ganku w Wigilię, popijając jabłecznik. Ziąb przejmował do kości. Adam ujął moje ręce i zaczął na nie chuchać. Teddy zachichotał. Mama i tato nic nie powiedzieli, tylko wymienili przelotne spojrzenia, jakby wymieniali jakąś prywatną wiadomość, po czym mama uśmiechnęła się do nas smutno.

Zastanawiam się, czy gdybym się postarała, zdołałabym poczuć jego dotknięcie. Czy gdybym się położyła na mnie leżącej w łóżku, złączyłabym się na nowo ze swoim ciałem? Czy wtedy poczułabym dotyk Adama? Czy gdybym wyciągnęła do niego swoją widmową dłoń, poczułby? Czy rozgrzałby dłonie, których nie może zobaczyć?

Adam wypuszcza moją rękę i podchodzi, żeby spojrzeć.

Znajduje się tak blisko, że czuję niemal jego zapach i ogarnia mnie nieprzeparłe pragnienie, by go dotknąć. Pierwotne, podstawowe i wszechogarniające, jak pragnienie niemowlęcia, by dotknąć piersi matki. Chociaż wiem, że jeśli się to stanie, zacznie się nowa próba sił – jeszcze boleśniejsza od milczących zmagania, jakie toczyliśmy ze sobą przez ostatnich kilka miesięcy.

Adam coś mamrocze. Półgłosem. Powtarza raz po raz: proszę.

PROSZĘ. PROSZĘ.

PROSZĘ. PROSZĘ. PROSZĘ. PROSZĘ. PROSZĘ. PROSZĘ.

PROSZĘ. Wreszcie milknie i patrzy na moją twarz.

– Proszę, Mio – błaga. – Nie zmuszaj mnie, żebym napisał o tobie piosenkę.

* * *

Nigdy się nie spodziewałam, że się zakocham. Nie należałam bowiem do dziewczyn, które się bujają w gwiazdach rocka albo fantazjują o ślubie z Bradem Pittem. Mgliście zdawałam sobie sprawę, że pewnego dnia zapewne spotkam właściwego chłopaka (na studiach, jeśli przepowiednie Kim są cokolwiek warte) i wyjdę za mąż. Nie byłam zupełnie odporna na wdzięki płci przeciwnej, ale też nie miałam w sobie nic z tych sentymentalnych, omdlewających panien, które snują puszyste różowe marzenia o wielkiej miłości.

Nawet w chwili, kiedy się zakochiwałam – miłością porywającą

i malującą na twarzy uparty głupkowaty uśmiech – jakoś nie zarejestrowałam, co się dzieje. Kiedy byłam z Adamem, przynajmniej po tych pierwszych, pełnych skrepowania tygodniach, czułam się tak dobrze, że nie zwracałam sobie głowy rozmyślaniami, co się dzieje ze mną, z nami. Wydawało się to tak normalne i właściwe jak wślizgnięcie się w gorącą kąpiel z pianą. Co nie znaczy, że się nie kłóciliśmy. Spieraliśmy się o mnóstwo rzeczy: że on nie jest wystarczająco miły dla Kim, że ja zachowuję się na koncertach jak socjopatka, że on za szybko prowadzi, że ja ściagam z niego kołdrę. Złościłam się, że nigdy nie napisał o mnie piosenki. Twierdził, że nie wychodzą mu ckiwe kawałki o miłości: „Jeśli chcesz piosenkę, musisz mnie wystawić do wiatru albo coś podobnego”, oznajmił, wiedząc doskonale, że nie ma na to szans. Jednak ostatniej jesieni zaczęły się między nami innego rodzaju kłótnie. Właściwie nawet nie kłótnie. Nie krzyczeliśmy. Nawet nie dyskutowaliśmy, ale w nasze życie wkradło się napięcie. Wydaje się, że wszystko zaczęło się od mojego przesłuchania w Juilliard.

– I co, rzuciłaś ich na kolana? – spytał mnie Adam po powrocie.

– Przyjmą cię z pełnym stypendium?

Miałam przeczucie, że zostanę przyjęta (zanim jeszcze powiedziałam profesor Christie o komentarzu jednego z członków komisji, że wiele czasu minęło, odkąd w szkole „widziano prostą dziewczynę z Oregonu”; zanim jeszcze dostała palpitanję serca, święcie przekonana, że oznacza to cichą obietnicę przyjęcia). Coś się stało z moją grą podczas tamtego przesłuchania; przekroczyłam jakąś niewidzialną barierę i nareszcie potrafiłam zagrać utwory tak, jak je słyszałam w głowie: techniczna i emocjonalna strona moich umiejętności nareszcie złąły się w jedno. Później, w drodze powrotnej, kiedy zbliżaliśmy się z dziadkiem do granicy między Kalifornią i Oregonem, nagle stanął mi przed oczami obraz siebie taszczącej wiolonczelę ulicą Nowego Jorku. Jak gdybym WIEDZIAŁA – i ta pewność umościła się w moim brzuchu niczym ciepły sekret. Nie należę do osób skłonnych do przeczuć lub zbyt pewnych siebie, więc podejrzewałam, że moja wizja była czymś więcej niż tylko fantazją.

– Poszło w porządku – oznajmiłam Adamowi i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że pierwszy raz skłamałam mu w żywe oczy, a to co innego niż wszelkie kłamstwa przez niedopowiedzenie, jakie zdarzały mi się wcześniej.

Przede wszystkim nie wspomniałam, że staram się o przyjęcie do Juilliard, co w rzeczywistości było poważniejszym przewinieniem, niż może się wydawać. Zanim wysłałam podanie, każdą wolną chwilę musiałam poświęcać na próby z profesor Christie, by dopracować koncert Szostakowicza i dwie suitę Bacha. Kiedy Adam pytał, czemu jestem taka zajęta, celowo ograniczałam się do mętnych wymówek, że uczę się trudnych nowych utworów.

Usprawiedliwiałam się przed sobą, bo formalnie była to prawda. A potem profesor Christie zorganizowała mi sesję nagraniową na uniwersytecie, żebym mogła wysłać do Juilliard dobrej jakości nagranie. Musiałam się stawić w studiu w niedzielę o siódmej rano, więc poprzedniego wieczoru udałam, że źle się

czuję, i oświadczyłam Adamowi, że pewnie nie zostanę na noc. Wytłumaczyłam sobie także to kłamstwo. Rzeczywiście, CZUŁAM SIĘ ŹLE z powodu stresu.

Więc właściwie nie skłamałam. A poza tym, pomyślałam, nie ma sensu robić z tego wielkiej sprawy. Kim też nie powiedziałam, więc Adama wcale nie potraktowałam szczególnie.

Gdy jednak mu oświadczyłam, że na przesłuchaniu poszło mi zaledwie w porządku, zdałam sobie sprawę, że zabrnęłam na ruchome piaski i jeszcze krok, a wpadnę na dobre i utonę.

Wzięłam więc głęboki oddech i wróciłam na twardy grunt.

– Szczerze mówiąc, to nieprawda – przyznałam. – Poszło mi naprawdę dobrze. Nigdy w życiu tak nie grałam. Jakby mnie coś opętało.

Pierwszą reakcją Adama był pełen dumy uśmiech.

– Szkoda, że tego nie widziałem.

Potem nachmurzył się i skrzywił wargi.

– Dlaczego od razu się nie przyznałaś? – zapytał. – Nie zadzwoniłaś zaraz po występie, żeby się pochwalić?

– Nie wiem – odparłam.

– No cóż, to wspomniała wiadomość – powiedział, próbując ukryć urazę. – Trzeba to uczcić.

– Okej, więc uczcijmy – zgodziłam się z wymuszoną radością.

– Możemy pojechać w sobotę do Portland. Do Ogrodów Japońskich, a potem na kolację do Beau Thai.

Skrzywił się.

– Nie mogę. W ten weekend gramy w Olympii i Seattle.

Minitrasa. Pamiętasz? Będę zachwycony, jeśli się wybierzesz, tylko nie wiem, czy to dla ciebie rozrywka. Ale wracam w niedzielę późnym popołudniem. Jeśli chcesz, mogę się z tobą spotkać w Portland w niedzielę wieczorem.

– Nie da rady. Gram kwartet smyczkowy w domu u jakiegoś profesora. Co powiesz na przyszły weekend?

Zrobił zbolowaną minę.

– Przez następnych parę weekendów pracujemy w studiu, ale możemy się gdzieś wybrać w tygodniu. Gdzieś w okolicy. Do meksykańskiej restauracji?

– Jasne. Więc meksykańska – zgodziłam się.

Dwie minuty wcześniej nawet nie chciałam świętować, a teraz czułam się zniechęcona i obrażona, ponieważ mój sukces został zredukowany do kolacji w knajpie, do której zawsze chodziliśmy.

Gdy ubiegłej wiosny Adam skończył szkołę średnią i

wyprowadził się od rodziców do Domu Rocka, nie spodziewałam

się wielkich zmian. Nadal mieszkałby w pobliżu. Mieliśmy się

często widywać. Wiedziałam, że będzie mi brakowało pogaduszek

w skrzydle muzycznym, ale czułam też ulgę, że nasz związek

usunie się spod mikroskopu licealnej opinii publicznej.

Zmiany po przeprowadzce Adama do Domu Rocka i

rozpoczęciu nauki w college'u nastąpiły, choć z innych powodów,

niż sądziłam. W początkach jesieni, właśnie kiedy zaczął się

oswajać ze studenckim życiem, kariera Shooting Star nagle nabrała rozpędu.

Średniej wielkości wytwórnia płytowa z Seattle zaproponowała

im kontrakt na płytę i kapela spędzała pracowite dni w studiu

nagraniowym. Grywali też więcej koncertów przed coraz

licniejszą widownią, niemal co weekend. Atmosfera zrobiła się tak gorąca, że Adam zrezygnował z części zajęć i studiował w college'u w niepełnym wymiarze godzin, a gdyby wszystko rozwijało się w tym samym tempie, zamierzał rzucić naukę na dobre. „Nie dostaje się drugiej szansy” – mawiał.

Byłam szczerze przejęta jego sukcesem. Wiedziałam, że Shooting Star to coś szczególnego, więcej niż jeszcze jedna studencka kapela. Nie przeszkadzały mi coraz częstsze nieobecności Adama, szczególnie odkąd jasno dał do zrozumienia, jak bardzo przeszkadzają JEMU. Ale perspektywa nauki w Juilliard w jakiś sposób wszystko zmieniła – sprawiła, że nieobecności Adama zaczęły mnie irytować. Co nie miało najmniejszego sensu, bo ułatwiało mi jedynie sprawę. Teraz także w moim życiu działo się coś ekscytującego.

– Możemy pojechać do Portland za parę tygodni – obiecał Adam. – Kiedy rozwieszą świąteczne dekoracje.

– Okej – zgodziłam się nadąsana. Westchnął.

– Wszystko się komplikuje, co?

– Aha. Mamy zbyt napięte grafiki – przytaknęłam.

– Nie o to mi chodziło – odparł, zwracając moją twarz ku swojej, tak że musiałam mu spojrzeć w oczy.

– Wiem, że nie o to – przyznałam, ale zaraz potem ścisnęło mnie w gardle i nie byłam w stanie dodać nic więcej.

Próbowaliśmy rozładować napięcie, rozmawiać, nie poruszając tematu na serio, „użartobliwić” go.

– Wiesz, czytałem w „US News and World Report”, że Uniwersytet Willamette ma niezłe studia muzykologiczne – rzucił Adam. – To w Salem, które podobno jest coraz bardziej na topie.

– Zdaniem kogo? Gubernatora? – zapytałam.

– Liz widziała tam niezłe ciuchy vintage. A sama wiesz, że jak się zaczynają pojawiać takie miejsca, w ślad za nimi ściąga modne towarzystwo.

– Zapominasz, że ja nie jestem modna – odparłam. – Ale skoro o tym mowa, to może Shooting Star powinna się przenieść do Nowego Jorku. No wiesz, to centrum sceny punkowej.

The Ramones. Blondie.

Mówiłam lekkim, flirciarskim tonem; występ wart Oskara.

– Było. Trzydzieści lat temu – sprzeciwił się Adam. – Zresztą nawet gdybym ja się chciał przeprowadzić do Nowego Jorku, nie ma mowy, żeby reszta kapeli to zrobiła.

Wbił smętny wzrok w buty i zrozumiałam, że żarty się skończyły. Ścisnęło mnie w żołądku – przystawka przed solidną porcją rozpachy, którą, jak czułam, los miał mi zaserwować już wkrótce.

Nigdy nie należeliśmy do par rozmawiających o przyszłości; o tym, dokąd zmierza nasz związek. Od kiedy sytuacja zrobiła się niejasna, zaczęliśmy unikać wzmianki o WSZYSTKIM, co miało się wydarzyć za więcej niż parę tygodni, przez co nasze rozmowy stały się równie sztuczne i pełne skrępowania jak w początkach znajomości. Pewnego popołudnia jesienią zobaczyłam piękną jedwabną suknię z lat trzydziestych w sklepie vintage, gdzie tato kupował garnitury. Już miałam ją pokazać Adamowi i spytać, czy jego zdaniem powinnam w niej wystąpić na balu maturalnym – ale

bal wypadła w czerwcu, a wtedy być może Adam będzie w trasie albo ja będę zbyt zajęta przygotowaniami do Juilliard; nic więc nie powiedziałam.

Niedługo potem Adam skarżył się na zdezelowaną gitarę i wspomniał, że chciałby zdobyć oryginalnego, starego Gibsona SG, więc zaproponowałam, że mu go kupię na urodziny. Odparł, że takie gitary kosztują parę tysięcy dolarów, zresztą urodziny ma dopiero we wrześniu, a słowo wrzesień wypowiedział takim tonem, jak sędzia wydający wyrok więzienia.

Przed kilkoma tygodniami byliśmy na balu sylwestrowym. Adam się upił, a kiedy wybiła północ, pocałował mnie namiętnie.

– Obiecuj. Obiecuj, że w przyszłym roku spędzisz ze mną sylwestra – szepnął mi do ucha.

Już miałam wyjaśnić, że nawet gdybym poszła do Juilliard, przyjadę do rodziców na Nowy Rok, zrozumiałam jednak, że nie o to chodzi. Więc obiecałam, bo chciałam równie gorąco jak on, by tak się stało. I odwzajemniłam pocałunek tak mocno, jakbym chciała skleić nasze ciała.

W Nowy Rok po powrocie do domu zastałam rodzinę zgromadzoną w kuchni z Henrym, Willow i niemowlęciem. Tato robił śniadanie: zapiekankę z wędzonego łososia, swoją specjalność.

Na mój widok Henry pokręcił głową.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. Wydaje się, że jeszcze wczoraj uważałem, że to trochę za wcześnie, jeśli dotarłem do domu o ósmej. Teraz zabiłbym, by móc do ósmej pospać.

– Nawet nie dotrwaliśmy do północy – przyznała Willow, huśtając dziecko na kolanie. – I całe szczęście, bo młoda dama postanowiła zacząć Nowy Rok o piątej trzydziści.

– Ja nie spałem do dwunastej! – zawołał Teddy. – Oglądałem o północy w telewizji opadającą kulę. To w Nowym Jorku, wiesz? Jeśli się tam przeprowadzisz, zabierzesz mnie, żebym mógł ją zobaczyć naprawdę? – zapytał.

– Jasne – odparłam z udawanym entuzjazmem.

Perspektywa wyjazdu stawała się coraz bardziej realna i chociaż generalnie napełniało mnie to nerwowym, choć pełnym sprzecznych emocji podnieceniem, obraz mnie i Teddy'ego włączających się razem w sylwestrowy wieczór wywołał poczucie nieznośnego osamotnienia.

Mama spojrzała na mnie, unosząc brwi.

– Dzisiaj Nowy Rok, więc nie będę się czepiać, że zjawiasz się o tej godzinie. Ale jeśli jesteś na kacu, masz szlaban.

– Nie jestem. Wypiłam tylko jedno piwo. Po prostu czuję się zmęczona.

– Po prostu zmęczona, tak? Na pewno?

Złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Na widok mojej zgnębionej miny przechyliła na bok głowę, jakby pytając:

„Wszystko w porządku?”. Wzruszyłam ramionami i zagryzłam

wargę, żeby się nie rozpłakać. Mama kiwnęła głową. Wręczyła mi filiżankę z kawą i poprowadziła do stołu. Podsunęła talerz z zapiekanką i grubą kromką chleba na zakwasie, a chociaż jeszcze przed momentem nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym coś zjeść, do ust napłynęła mi ślina, w brzuchu zaburczało i nagle poczułam wilczy głód. Jadłam w milczeniu, mama zaś nie

spuszczając ze mnie oka. Kiedy wszyscy skończyli, odesłała ich do salonu, żeby obejrzeć w telewizji Paradę Róż.

– A teraz wynocha – zarządziła. – Mia i ja pozmywamy.

Po ich wyjściu zwróciła się do mnie, a ja z płaczem padłam jej w ramiona, wyrzucając z siebie całe napięcie i niepewność ostatnich paru tygodni. Czekwała bez słowa, pozwalając mi chlipać w swój sweter. Kiedy skończyłam, podała mi gąbkę.

– Ty zmywasz. Ja wycieram. Pogadamy. Zawsze mnie to uspokaja: ciepła woda, mydliny.

Sięgnęła po ścierkę do naczyń i zabrałyśmy się do pracy. Opowiedziałam jej o mnie i Adamie.

– Spędziliśmy ze sobą idealne półtora roku – mówiłam. – Tak doskonałe, że nigdy nawet nie pomyślałam o przyszłości. O tym, że może nas ponieść w różne strony.

Uśmiech mamy był zarazem smutny i pełen zrozumienia.

– JA o tym myślałam.

Obróciłam do niej głowę. Patrzyła przez okno, obserwując parę wróbli kąpiących się w kałuży.

– Pamiętam, jak w zeszłym roku Adam przyszedł na Wigilię. Powiedziałam twojemu ojcu, że zbyt szybko się zakochałaś.

– Wiem, wiem. Co głupi dzieciak może wiedzieć o miłości. Przerwała wycieranie patelni.

– Nie o to chodzi. Prawdę mówiąc, o coś wręcz przeciwnego. Wasza miłość, twoja i Adama, nigdy nie wydawała mi się „licealna” – wyjaśniła, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu. – W niczym nie przypominała obściskiwania się po pijaku na tylnym siedzeniu czyjśgo chevroleta, co uchodziło za miłość za moich licealnych czasów. Wydawaliście się, ciągle się wydajecie, naprawdę głęboko w sobie zakochani. – Westchnęła. – Ale siedemnaście lat to niedogodny czas na miłość.

To sprawiło, że się uśmiechnęłam i węzeł w moim żołądku trochę się rozluźnił.

– Mów do mnie jeszcze – odparłam. – Co prawda, gdybyśmy nie byli oboje muzykami, poszlibyśmy razem do college’u i nie byłoby problemu.

– To tylko wymówka, Mio – odparowała mama. – Każdy związek jest trudny. Tak jak w muzyce, czasem zdarza się harmonia, a kiedy indziej kakofonia. Nie muszę ci tłumaczyć.

– Pewnie masz rację.

– I przestań narzekać, przecież to dzięki muzyce się poznaliśmy. Zawsze tak uważaliśmy z tatą. Oboje najpierw kochaliście muzykę, a potem zakochaliście się w sobie. Nieco podobnie było w naszym wypadku. Ale ja nie grałam, tylko słuchałam. Na szczęście miałam trochę więcej lat, kiedy się poznaliśmy.

Nigdy jej nie powtórzyłam, co powiedział Adam tamtego wieczoru po koncercie Yo-Yo Ma, kiedy zapytałam: „Czemu ja?”. Że muzyka na sto procent miała w tym udział.

– Tak, tylko teraz czuję, jakby właśnie muzyka miała nas rozdzielić.

Mama pokręciła głową.

– Bzdura. Muzyka nie może tego zrobić. Życie może was poprowadzić różnymi drogami.

Ale każde musi samo zdecydować, którą z nich wybierze. –

Zwróciła się do mnie. – Adam nie próbuje cię powstrzymać przed wyjazdem do Juilliard, prawda?

– Nie bardziej niż ja próbuję go zmusić do przeprowadzki do Nowego Jorku. Zresztą to bez sensu. Mogę tam wcale nie pojechać.

– Niewykluczone. Ale weszłaś na pewną drogę. Chyba wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. I podobnie Adam.

– On przynajmniej może do czegoś dojść, zostając tutaj. Mama wzruszyła ramionami.

– Być może. Przynajmniej na razie.

Ukryłam twarz w dłoniach i pokręciłam głową.

– Co ja mam robić? – lamentowałam. – Czuję się, jakby ktoś mnie próbował rozerwać.

Mama zrobiła współczującą minę.

– Nie wiem. Wiem jednak, że jeśli chcesz zostać i być z nim, będę cię wspierać, chociaż może tylko tak mówię, bo sobie nie wyobrażam, że mogłabyś odrzucić Juilliard. Ale rozumiem, jeśli wybierzesz miłość, miłość do Adama postawisz ponad miłością do muzyki. W obu wypadkach wygrasz. I w obu wypadkach przegrasz. Co ci mam powiedzieć? Miłość to dziwka.

Później raz jeszcze rozmawialiśmy na ten temat z Adamem. Siedzieliśmy na jego materacu w Domu Rocka, grał riffy na gitarze akustycznej.

– Może się nie dostanę – powiedziałam. – Może skończę w tutejszym college’u razem z tobą. W pewnym sensie mam nadzieję, że mnie nie przyjmą, żebym nie musiała wybierać.

– Jeśli się dostaniesz, wybór jest przesądzony, prawda? – zapytał.

Był. Wyjechałabym. To nie znaczy, że przestałabym kochać Adama czy zerwalibyśmy ze sobą, ale oboje (i mama, i on) mieli rację: nie zrezygnowałabym z Juilliard.

Milczał dłuższą chwilę, brzdąkając na gitarze tak głośno, że niemal mi to umknęło, kiedy powiedział: – Nie chcę być gościem, który cię odciąga od wyjazdu. Gdyby było na odwrót, pozwoliłabyś mi jechać.

– W pewnym sensie już ci pozwoliłam. W pewnym sensie już wyjechałeś. Do twojej własnej Juilliard School – odparłam.

– Wiem – przyznał cicho. – Ale ja ciągle tu jestem. I wciąż kocham cię jak szalony.

– Ja ciebie też.

A potem na pewien czas przestaliśmy rozmawiać; Adam grał jakąś nieznaną melodię.

Zapytałam, co to.

– Nazywam to bluesem *Moje punkowe serce jest w strzępach, bo moja dziewczyna wyjeżdża do Juilliard School* – wyśpiewał tytuł przesadnie nosowym głosem. Potem uśmiechnął się tym głupkowatym, nieśmiałym uśmiechem płynącym z dna serca. – Żartuję.

– Całe szczęście – odparłam.

– Tylko trochę – dodał.

5:42

Adam odszedł. Wybiegł nagle, wołając do siostry Ramirez, że zapomniał o czymś ważnym i wróci najszybciej, jak się da. Był już przy drzwiach, kiedy odkrzyknęła, że niedługo kończy pracę.

Prawdę mówiąc, wyszła przed chwilą, nie zapomniała jednak powiadomić pielęgniarki, która zastąpiła Starą Jędzę, że „ten rozczochny młody człowiek w rurkach” ma prawo mnie odwiedzić, kiedy wróci.

Co prawda, to już niepotrzebne. Teraz rządzi tu Willow.

Musztruje wszystkich od rana.

Po babci, dziadku i Adamie zajrzała do mnie ciocia Kate.

Potem ciocia Diane i wujek Greg.

Potem zjawili się kuzyni. Willow biega tu i tam z błyskiem w oku. Coś knuje, urządza paradę krewnych, by mnie przekonali do ziemskiej egzystencji, a może po prostu ich sprowadza, by się pożegnali – nie umiem powiedzieć.

Teraz kolej na Kim. Biedna Kim. Wygląda, jakby spała w kontenerze na śmieci. Jej włosy podniosły bunt na całego; więcej wymknęło się ze zmaltretowanego warkocza, niż w nim pozostało. Ma na sobie jeden ze swoich, jak to nazywa, „sraczkowatych sweterków”, które ciągle kupuje jej matka: supełkowaty, w kolorze zielonkawo-szarawo-brązowym. W pierwszej chwili patrzy na mnie zmrużonymi oczyma jak na ostre, jaskrawe światło. Potem jakby się przyzwyczaiła do blasku i doszła do wniosku, że nawet jeśli wyglądam jak zombie, to mimo rurek sterczących z każdego otworu mojego ciała, mimo widocznych na cienkim kocu plam krwi, która przesączyła się spod opatrunku, ciągle jestem Mią, a ona ciągle jest Kim. A co Mia i Kim lubią robić najbardziej? Plotkować.

Siada na krześle przy łóżku.

– Jak leci? – pyta.

Nie jestem pewna. Czuję się wykończona, ale zarazem wizyta Adama pozostawiła mnie.. sama nie wiem, w jakim stanie.

Pobudzona. Niepokojna. Rozbudzona, zdecydowanie jestem rozbudzona. Chociaż nie poczułam, kiedy mnie dotykał, jego obecność coś we mnie poruszyła.

Właśnie zaczynałam być wdzięczna, że się zjawił, kiedy wypadł, jakby go diabeł gonił. Przez ostatnich dziesięć godzin starał się do mnie dostać, a teraz, kiedy mu się wreszcie udało, uciekł po dziesięciu minutach. Może się mnie przestraszył. Może nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Może nie jestem jedynym tchórzem w okolicy. Ostatecznie wczorajszy dzień spędziłam na wyobrażaniu sobie, jak mnie odwiedza, a kiedy się wreszcie przywłókł na OIOM, zwiąłabym, gdyby tylko starczyło mi sił.

– Ha, nie uwierzyłabyś, co to była za szalona noc – mówi Kim.

I zaczyna opowiadać. O ataku hysterii swojej mamy, która rozkleiła się na oczach moich krewnych – oni zachowali się bardzo przyzwoicie. O awanturze przed Roseland Theater na oczach gromady punków i modnego towarzystwa, kiedy to Kim nawrzeszczała na szlochającą matkę, żeby „wzięła się do kupy i zaczęła zachowywać jak dorosły człowiek”, a potem wmaszerowała do klubu, zostawiając zaszokowaną panią Schein na chodniku, a gromada gości w nabijanych ćwiekami skórach i z włosami w odblaskowych kolorach wiwatowała na jej cześć i przybijała piątkę. Opowiada o determinacji Adama; o tym, jak po wyrzuceniu z OIOM-u poprosił o pomoc swoich kumpli muzyków, którzy wcale nie są takimi snobistycznymi bucami, jak sobie

wyobrażała. Następnie relacjonuje, jak ze względu na moją osobę do szpitala pofatygowwała się najprawdziwsza gwiazda rocka. Oczywiście wiem niemal o wszystkim, ale ona nie ma o tym pojęcia. Poza tym podoba mi się to sprawozdanie z ostatniego dnia. Podoba mi się, że mówi do mnie normalnie, jak wcześniej babcia; papie jak zwykle, opowiada niestworzone historie, jakbyśmy siedziały u mnie na werandzie, popijając kawę (w jej wypadku lodowe karmelowe frappuccino), i nadrabiały zaległości. Nie wiem, czy po śmierci pamięta się rzeczy, jakie zdarzyły się nam za życia. W pewnym sensie byłoby logiczne, gdyby się je zapominało. Wtedy śmierć przypominałaby okres sprzed narodzin, czyli otchłań nicości. Tyle że dla mnie lata sprzed mojego urodzenia nie są całkiem puste. Co jakiś czas któreś z rodziców opowiadało historie (jak tato złowił pierwszego łososa z dziadkiem albo o fantastycznym koncercie Dead Moon, który mama obejrzała z tatą na pierwszej randce), a mnie ogarniało przemożne poczucie *déjà vu*. Nie w tym sensie, że słyszałam te opowieści już wcześniej, tylko że je przeżyłam. Potrafię sobie siebie wyobrazić, jak siedzę na brzegu rzeki, gdy tato wyciąga z wody jaskraworóżowego łososa, chociaż miał wtedy raptem dwanaście lat. Albo usłyszeć reakcje widowni, kiedy Dead Moon grali *D.O.A.* w X-Ray Café, choć nigdy nie słyszałam ich na żywo, a X-Ray Café zamknięto przed moim urodzeniem.

Czasem te „wspomnienia” wydają się tak realne, tak namacalne, tak osobiste, że myślę je z własnymi.

Nigdy nikomu o nich nie mówiłam. Mama pewnie by powiedziała, że przy tym byłam – jako komórka jajowa w jej brzuchu. Tato by zażartował, że zbyt wiele razy zadręczali mnie swoimi wspominkami i nieumyślnie wyprali mi mózg. A babcia oznajmiłaby, że może tam BYŁAM w postaci anioła, zanim postanowiłam zostać dzieckiem swoich rodziców.

Teraz jednak się zastanawiam. I mam nadzieję. Bo kiedy odejdę, chcę pamiętać Kim.

Chcę ją pamiętać właśnie taką: opowiadającą zabawną historyjkę, spierającą się ze swoją szaloną matką, słuchającą wiwatujących na jej cześć punków, stojącą na wysokości zadania, znajdującą w sobie wciąż nowe zasoby siły, o których istnieniu nie miała pojęcia.

Adam to inna historia. Pamiętać znaczyłoby tracić go wciąż na nowo, więc nie jestem pewna, czy mogłabym to znieść.

Kim dotarła do części Operacji Zakłócenie, kiedy Brooke Vega i tuzin zebranych punków najeżdżają szpital. Opowiada, że zanim dotarli na OIOM, okropnie się obawiała zadymy, ale kiedy wbiegła na oddział, ogarnęła ją radość. Gdy złapał ją strażnik, wcale się nie bała.

– Pomyślałam tylko: co najgorszego może mnie spotkać?

Wsadzą mnie do paki. Mama dostanie ataku szału. Zafunduje mi szlaban na cały rok. – Milknie na chwilę. – Po tym, co się stało dzisiaj, to przyszcz. Nawet pójście do więzienia to łatwizna w porównaniu ze stratą ciebie.

Wiem, że to mówi, chcąc mnie utrzymać przy życiu. Nawet nie podejrzewa, że w jakiś dziwny sposób jej uwaga zwraca mi wolność, tak jak słowa dziadka. To będzie straszne dla Kim, jeśli umrę, ale myślę też o tym, co powiedziała: że się nie boi; że

więzienie byłoby niczym w porównaniu z moją śmiercią. Stąd wiem, że da sobie radę. Będzie cierpiała, jeśli mnie straci; tym rodzajem bólu, który w pierwszej chwili nie wydaje się rzeczywisty, a kiedy się taki staje, aż zapiera dech. I resztę czwartej klasy będzie miała przechłapaną, przez to przesłodzone współczucie spod znaku „twoja najlepsza przyjaciółka nie żyje” – to ją doprowadzi do furii, ponieważ tak naprawdę każda z nas jest dla drugiej jedyną bliską osobą w szkole. Ale da radę.

Będzie funkcjonować dalej. Wyjedzie z Oregonu. Pójdzie na studia. Pozna nowych ludzi.

Zakocha się. Zostanie fotografem, który nigdy nie wsiada do helikoptera. I założę się, że będzie silniejszym człowiekiem z powodu tego, co dzisiaj straci. Mam wrażenie, że kiedy się przeżyje coś takiego, człowiek staje się trochę niezwyciężony. Wiem, to w pewnym sensie hipokryzja z mojej strony. Skoro sprawa tak się przedstawia, czy JA nie powinnam zostać? Stawić temu czoło? Może gdybym miała trochę doświadczenia, gdybym zaznała dotychczas więcej nieszczęść, byłabym lepiej przygotowana, by zostać. To nie oznacza, że moje życie było idealne. Przeżyłam niejedno rozczarowanie, bywałam samotna, sfrustrowana, wściekła – doświadczyłam tych samych paskudnych uczuć co wszyscy. Ale oszczędzono mi rozpacz. Nie zahartowałam się na tyle, by w prawdziwym życiu uporać się z tym, co mnie spotkało dzisiaj.

Kim opowiada teraz, jak Willow ocaliła ją od nieuchronnego uwięzienia. Kiedy opisuje Willow przejmującą dowodzenie w szpitalu, w jej głosie słychać podziw. Wyobrażam sobie, jak zostają przyjaciółkami, chociaż jest między nimi dwadzieścia lat różnicy. Z zadowoleniem przywołuję w myślach obraz, jak piją razem herbatę albo idą do kina złączone niewidzialnym węzłem w postaci rodziny, która przestała istnieć.

Kim wymienia wszystkich obecnych i tych, co zajrzeli do szpitala w ciągu dnia, odliczając na palcach: – Twój dziadkowie i ciotki, wujowie, kuzyni. Adam i Brooke Vega oraz banda zadymiarzy, którzy jej towarzyszyli. Kumple z kapeli Adama: Mike, Fitzy, Liz i jej dziewczyna Sarah, którzy siedzieli w poczekalni na dole, kiedy ich wyrzucili z OIOM-u. Profesor Christie, która przyjechała tutaj i została pół nocy, po czym wróciła do siebie, żeby się przespać parę godzin, wziąć prysznic i zdążyć na jakieś poranne spotkanie. Henry i niemowlę, którzy właśnie tu jadą, bo mała obudziła się o piątej rano i Henry zadzwonił do nas, że nie wytrzyma dłużej w domu. Oraz ja i mama – dodaje na zakończenie. – Kurczę. Straciłam rachubę, ilu ich było. Ale mnóstwo. A jeszcze więcej dzwoniło z pytaniem, czy przyjechać, lecz twoja ciocia Diana kazała im poczekać. Powiedziała, że wystarczająco uprzykrzamy wszystkim życie. I myślę, że przez „my” rozumie mnie i Adama.

Milknie i uśmiecha się przelotnie. Potem wydaje taki dziwny dźwięk, coś pośredniego między kasznięciem a chrząknięciem. Słyszałam go już wcześniej; robi tak, kiedy się zbiera na odwagę; przygotowuje do skoku na głęboką wodę.

– Specjalnie ich wymieniłam – ciągnie. – W tej chwili w poczekalni jest około dwudziestu osób. Część jest z tobą spokrewniona. Część nie. Ale wszyscy jesteśmy twoją rodziną.

Milknie. Nachyla się nade mną, tak że pasma jej włosów łaskoczą mnie po twarzy. Całuje mnie w czoło.

– NADAL MASZ RODZINĘ – szepcze.

* * *

Latem zeszłego roku nieoczekiwanie urządziliśmy przyjęcie z okazji Dnia Pracy. To był bardzo pracowity okres. Najpierw wyjechałam na obóz. Potem pojechaliśmy do rodziny babci, do domku myśliwskiego w Massachusetts. Miałam wrażenie, że całe lato prawie się nie spotykałam z Adamem i Kim. Rodzice lamentowali, że od miesiący nie oglądali Willow, Henry'ego i dziecka.

– Henry wspomniał, że mała zaczyna chodzić – rzucił tato tego ranka.

Siedzieliśmy w salonie przed wentylatorem, próbując się nie roztopić. Przez Oregon przechodziła fala rekordowych upałów. Była dziesiąta rano, a temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Mama spojrzała na kalendarz.

– Ma już dziesięć miesięcy. Jak ten czas leci! – Zerknęła na mnie i brata. – Jakim cudem to możliwe, żebym miała córkę w ostatniej klasie liceum? I jak, u diabła, mój mały synek może iść do drugiej klasy?

– Nie jestem mały – zaprotestował Teddy, wyraźnie dotknięty.

– Przykro mi, dzieciaku; dopóki się nie dorobimy następnego, zawsze będziesz mały.

– Jeszcze jedno? – spytał tato z udawanym lękiem.

– Spokojnie. Żartowałam... No, prawie – odparła mama. – Zobaczmy, jak zareaguję na wyjazd Mii na studia.

– W grudniu kończę osiem lat. Zostanę mężczyzną i będziecie musieli nazywać mnie Tedem – oznajmił Teddy.

– Doprawdy? – roześmiałam się tak, że sok pomarańczowy wyleciał mi nosem.

– Casey Carson mi powiedział – wyjaśnił Teddy z ustami zaciśniętymi w stanowczą linię.

Rodzice i ja jęknęliśmy jednym głosem. Casey Carson był najlepszym kumplem Teddy'ego; wszyscy bardzo go lubiliśmy i uważaliśmy jego rodziców za niezwykle miłych ludzi, więc nie mieściło nam się w głowie, jak mogli nadać dziecku tak idiotyczne imię.

– Cóż, skoro Casey Carson tak powiedział... – Zachichotałam, a po chwili mama i tato także wybuchnęli śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – spytał naburmuszony Teddy.

– Nic, Mały Wielki Człowieku – odparł tato. – To z gorąca.

– Ale włączymy zraszacz? – upewnił się Teddy.

Tato obiecał, że po południu będzie mógł sobie pobiegać pod zraszaczami, chociaż gubernator apelował do mieszkańców stanu o oszczędzanie wody. Prośba wkurzyła tatę, który stwierdził, że my Oregocnicy przez osiem miesięcy w roku cierpimy z powodu deszczu, więc powinniśmy być zwolnieni z obowiązku oszczędzania wody.

– Jasne, do cholery – odparł tato. – Jeśli chcecie, możecie zatopić całą okolicę.

Teddy wyglądał na udobruchanego.

– Skoro mała umie już chodzić, moglibyśmy się pobawić razem. Mogę ją zaprosić?

Mama spojrzała na tatę.

– To nie jest zły pomysł – powiedziała. – Zdaje się, że Willow ma dzisiaj wolne.

– Możemy urządzić grilla – zgodził się tato. – To Święto Pracy, a grillowanie w takim upale z pewnością KWALIFIKUJE SIĘ jako praca.

– Poza tym mamy całą zamrażarkę steków, odkąd twój tato postanowił zamówić połówkę cielaka – dodała mama. – Czemu nie?

– Czy Adam może przyjść? – zapytałam.

– Oczywiście – zgodziła się. – Nie widywaliśmy ostatnio twojego młodszego przyjaciela.

– Wiem – przytaknęłam. – Kapela zaczyna zdobywać sławę. Wtedy byłam tym bardzo przejęta. Szczerze i do głębi. Babcia dopiero niedawno posiadała w mojej głowie myśl o Juilliard, więc ziarno nie zapuściło korzeni. Nie zdecydowałam się jeszcze ubiegać o przyjęcie. Sytuacja z Adamem jeszcze się nie skomplikowała.

– Jeśli gwiazda rocka wytrzyma na skromnym pikniku z takimi sztywniakami jak my – zażartował tato.

– Skoro wytrzymuje z taką sztywniaczką jak ja, poradzi sobie i z wami – odparowałam. – Chyba zaproszę też Kim.

– Im więcej, tym weselej – przytaknęła mama. – Urządzimy wielką balangę jak za dawnych czasów.

– Kiedy dinozaury panowały na ziemi? – spytał Teddy.

– Właśnie – zgodził się tato. – Kiedy dinozaury panowały na ziemi, a ja i mama byliśmy młodzi.

Zjawiło się około dwudziestu osób. Henry, Willow, mała; Adam, który przyprowadził Fitzy'ego; Kim, która przyprowadziła kuzynkę z New Jersey, oraz cała gromada przyjaciół rodziców, których nie widzieli od wieków. Tato wyciągnął z piwnicy starożytnego grilla i skrobał go całe popołudnie. Piekliśmy steki oraz, jak przystało na Oregon, hot dogi z tofu i hamburgery wegetariańskie. Był arbuz chłodzony w wiadrze z lodem i sałatka z organicznych warzyw przywiezionych przez jakichś znajomych mamy i taty, prowadzących ekologiczną farmę.

Upiekliśmy z mamą trzy ciasta z jeżynami uzbieranymi przeze mnie i Teddy'ego. Piliśmy pepsi ze staroświeckich butelek, na które tato natrafił w jakimś wiejskim sklepiku – przysięgam, że smakowała lepiej niż ta zwykła. Z powodu upału, tego, że wszystko robiliśmy na ostatnią chwilę, a może dlatego, że z grilla wszystko smakuje lepiej, był to jeden z tych posiłków, które się długo pamięta.

Tato włączył zraszacz dla Teddy'ego i małej, ale wszyscy postanowili pod nim przebiec.

Woda lała się tak długo, aż wyschnięty trawnik zmienił się w wielką, śliską kałużę i zastanawiałam się, czy gubernator we własnej osobie nie przybędzie nas skarcić. Adam mnie przytulił, śmialiśmy się i turlaliśmy po trawniku. Panował taki żar, że nawet się nie przebierałam w suche ubranie, tylko co jakiś czas wchodziłam pod wodę, kiedy zaczynałam się za bardzo pocić. Pod koniec dnia moja sukienka była sztywna. Teddy zdjął koszulkę i wymazał się błotem.

Tato powiedział, że wygląda jak jeden z bohaterów *Władcy*

much.

Zaczęło się ściemniać i większość gości odjechała, żeby zdążyć na pokaz sztucznych ogni na uniwersytecie albo występ kapeli zwanej Oswald Five-0. Garstka ludzi, w tym Adam, Kim, Willow i Henry, została. Kiedy się ochłodziło, tato rozpałił na trawniku ognisko i piekliśmy ślazowe pianki. Potem pojawiły się instrumenty. Werbel taty z domu, gitara Henry'ego z jego samochodu, zapasowa gitara Adama z mojego pokoju.

Improwizowaliśmy wszyscy razem: piosenki taty, piosenki Adama, stare piosenki Clash, stare piosenki Wipers. Teddy tańczył dokoła, w jego blond lokach odbijały się złote płomienie. Pamiętam, jak patrzyłam na to wszystko, czując łaskotanie w piersi i myśląc sobie: „To właśnie jest szczęście”.

W pewnej chwili tato i Adam przerwali grę; przyłapałam ich, jak szepczą coś do siebie.

Potem poszli do domu – jak twierdzili, przynieść więcej piwa.

Wrócili z moją wiolonczelą.

– O, nie. Nie będę koncertować – zaprotestowałam.

– Wcale nie o to chodzi – odparł tato. – Chcemy, żebyś z nami zagrała.

– Mowy nie ma.

Czasami Adam próbował mnie skłonić, żebym z nim poimprowizowała, ale zawsze odmawiałam. Ostatnio zaczął żartować, żebyśmy zegrali duet na niewidzialną gitarę i niewidzialną wiolonczelę, i to było wszystko, na co byłam gotowa się zgodzić.

– Czemu nie, Mio? – spytała Kim. – Jesteś taką klasyczną snobką?

– Nie w tym rzecz – odpowiedziałam, nagle spanikowana. – Po prostu te dwa style nie pasują do siebie.

– Kto tak mówi? – wtrąciła mama, unosząc brwi.

– Właśnie, kto by pomyślał, że taka z ciebie muzyczna segregacjonistka? – zażartował Henry.

Willow przewróciła oczami i zwróciła się do mnie.

– Pięknie proszę – powiedziała, kołyszając małą do snu na kolanach. – Ostatnio w ogóle nie słyszę, jak grasz.

– Śmiało, Mee – poparł ją Henry. – Jesteś w rodzinie.

– Absolutnie – dodała Kim.

Adam wziął mnie za rękę i pogładził czubkami palców wnętrze mojego nadgarstka.

– Zrób to dla mnie. Naprawdę chciałbym z tobą zagrać. Tylko raz.

Już miałam pokręcić głową; utwierdzić się przekonaniu, że dla mojej wiolonczeli nie ma miejsca wśród improwizujących gitar, w świecie punk rocka. Ale w tej samej chwili spojrzałam na mamę, która uśmiechała się ironicznie, jakby rzucała mi wyzwanie; i na tatę, który wystukiwał fajkę, udając nonszalancję, by nie wywierać na mnie najmniejszego nacisku; i na Teddy'ego, podskakującego w miejscu – chociaż myślę, że był na cukrowym haju po piankach; na Kim, Willow i Henry'ego, wpatrzonych we mnie, jakby to naprawdę miało znaczenie; i na Adama z miną pełną szacunku i dumy jak zawsze, kiedy słuchał mojej gry. Trochę się bałam, że się potknę, nie zgram z nimi, źle wypadnę. Ale patrzyli na mnie w takim skupieniu, tak bardzo chcieli, bym się przyłączyła...

Uświadomiłam sobie, że fałszywa nuta to nie najgorsza rzecz, jaka się może przydarzyć.

Więc zagrałam. I chociaż nikt by się tego nie spodziewał, wiolonczela wcale nie brzmiała źle na tle gitar. Prawdę mówiąc, wyszło to naprawdę odjazdowo.

7:16

Ranek. W szpitalnych murach wstaje świt innego rodzaju: szelest prześcieradeł, przecieranie oczu. W pewnym sensie szpital nigdy nie zasypia. Światła pozostają zapalone i pielęgniarki czuwają, ale choć na dworze wciąż jeszcze jest ciemno, widać, że nastaje dzień.

Powracają lekarze, podnoszą mi powieki, świecą latarkami, ze zmarszczonymi brwiami robią notatki na karcie, jakbym ich zawiodła.

Już mnie to nie obchodzi. Jestem zmęczona tym wszystkim i wkrótce to się skończy.

Pracownica socjalna także melduje się na służbie. Wygląda, jakby sen niewiele jej pomógł.

Powieki nadal ma opuchnięte, włosy zmierzwiłone i rozczochrane. Czyta kartę i wysłuchuje sprawozdań pielęgniarek o mojej niespokojnej nocy; wygląda, jakby to jeszcze zwiększyło jej znużenie. Pielęgniarka o granatowoczarnej skórze również wróciła. Powitała mnie słowami, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi dziś rano; że myślała o mnie wczoraj wieczorem i miała nadzieję mnie zastać. Potem zauważyła plamę z krwi na moim kocu, zacmokała i szybko się zakrzętnęła, by przynieść nowy.

Po wyjściu Kim nie miałam więcej gości. Domyślam się, że Willow wykorzystwała każdego, kogo mogła przysłać, by mnie próbował przekonać. Zastanawiam się, czy ta historia z decydowaniem to coś, o czym wiedzą WSZYSTKIE pielęgniarki. Siostra Ramirez z pewnością zdawała sobie z tego sprawę. Ta, która teraz się mną zajmuje, chyba wie także, sądząc z gratulacji, jakie mi złożyła z okazji przetrwania nocy. Willow pewnie też, skoro zmobilizowała do odwiedzin, kogo tylko się dało. Tak bardzo je lubię. Mam nadzieję, że nie potraktują mojej decyzji osobiście.

Jestem tak zmęczona, że ledwie mam siłę zamrużyć oczami. To już tylko kwestia czasu i w głębi ducha zastanawiam się, czemu odwlekam nieuniknione. Wiem jednak dlaczego.

Czekam na powrót Adama. Zdaje się, że go nie było całą wieczność, a upłynęła pewnie najwyżej godzina. Prosił, żebym zaczekała, więc czekam. Chociaż tyle mogę dla niego zrobić.

Oczy mam zamknięte, więc najpierw go słyszę. Słyszę ochrypty, przyspieszony oddech.

Dyszy, jakby dopiero co przebiegł maraton. Czuję zapach jego potu; czystą, piżmową woń, którą gdybym mogła, butelkowałabym i używała zamiast perfum. Otwieram oczy. Adam zamknął swoje.

Powieki ma obrzęknięte i zaczerwienione, więc wiem, czym się zajmował. Czy dlatego mnie opuścił? Żeby nie widziała, jak płacze?

Nie tyle siada na krześle, ile się na nie osuwa, jak ubrania rzucone na podłogę po długim dniu. Zakrywa twarz dłońmi i

oddycha głęboko, żeby się uspokoić. Po chwili opuszcza ręce na kolana.

– Posłuchaj – mówi tonem, który brzmi jak wystrzał.

Szeroko otwieram oczy. Prostuję się na tyle, na ile zdołam. I słucham.

– Zostań. – Po tym jednym słowie głos więźnie mu w gardle, tłumi jednak emocje i mówi dalej. – Nie da się wyrazić słowami tego, co cię spotkało. Nie ma w tym żadnej jaśniejszej strony. Ale JEST coś, dla czego warto żyć. I nie mówię o sobie. Po prostu... Sam nie wiem. Może gadam bzdury. Wiem, że jestem w szoku. Wiem, że nie przetrwałem tego, co się stało z twoimi rodzicami, z Teddym.. Kiedy wypowiada to imię, głos mu się załamuje i lawina łez toczy się po twarzy. A ja myślę: „Kocham cię”.

Słyszę, jak chwyta powietrze wielkimi haustami, by odzyskać opanowanie. A potem mówi dalej: – Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to jakie by to było pochrzanione, gdyby twoje życie skończyło się tutaj, teraz. To znaczy, wiem, twoje życie zostało schrzanione na zawsze, bez względu na wszystko. I nie jestem taki głupi, by sądzić, że zdołam to zmienić, że ktokolwiek zdoła. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, że się nie zestarzejesz, nie będziesz miała dzieci, nie pójdiesz do Juilliard, nie będziesz grać na wiolonczeli przed salą pełną słuchaczy, żeby oni też mogli odczuć ten dreszcz, który ja czuję za każdym razem, kiedy ujmujesz smyczek; za każdym razem, kiedy się do mnie uśmiechasz... Jeśli zostaniesz, zrobię dla ciebie wszystko. Rzucę kapelę, wyjadę z tobą do Nowego Jorku. Jeżeli każesz mi odejść, odejdę.

Rozmawiałem z Liz i powiedziała, że może powrót do dawnego życia będzie dla ciebie zbyt bolesny; że może łatwiej ci będzie wymazać pamięć o nas. To by był koszmar, ale zrobię to, jeśli będzie trzeba. Mogę cię stracić w taki sposób, jeśli nie stracę cię dzisiaj. Pozwolę ci odejść. Jeśli zostaniesz.

A potem daje się ponieść emocjom. Każdy jego szloch jest niczym cios pięścią w bezbronne ciało.

Zamykam oczy. Zasłaniam uszy. Nie mogę na to patrzeć. Nie mogę tego słuchać.

Lecz naraz słyszę nie Adama, lecz inny dźwięk – cichy jęk, który w ułamku sekundy nabiera mocy i słodczy. Wiolonczela.

Adam nakłada mi na uszy słuchawki i kładzie iPoda na piersi.

Przeprasza; wie, że to nie mój ulubiony utwór, ale to najlepsze, co udało mu się zdobyć.

Podkreca dźwięk, tak żebym mogła usłyszeć muzykę płynącą w porannym powietrzu. Potem bierze mnie za rękę.

To Yo-Yo Ma. Gra *Andante con moto e poco rubato*

Gershwina. Ciche dźwięki fortepianu brzmią niemal jak

ostrzeżenie. A potem wchodzi wiolonczela, niczym krwawiące serce. Czuję, jakby coś w moim wnętrzu pękło.

Siedzimy przy śniadaniu całą rodziną, pijemy gorącą czekoladę, śmiejąc się z czekoladowych wąsów Teddy'ego. Na dworze pada śnieg.

Odwiedzam cmentarz. Trzy groby pod drzewem na wzgórzu nad rzeką.

Leżę z Adamem, z głową wspartą na jego piersi, na piaszczystym brzegu.

Słyszę, jak ktoś wypowiada słowo SIEROTA i uświadamiam sobie, że to o mnie.

Idę z Kim przez Nowy Jork, drapacze chmur rzucają cień na nasze twarze.

Trzymam na kolanach Teddy'ego i go łaskoczę; zaśmiewa się tak bardzo, że aż przewraca się na plecy.

Siedzę z wiolonczelą, tą, którą dostałam od rodziców po pierwszym recitalu. Moje palce pieszczą drewno i kołki wygładzone przez dotyk i czas. Unoszę smyczek nad strunami.

Patrzę na swoją rękę, czekając na pierwszy dźwięk.

Patrzę na swoją rękę w dłoni Adama.

Yo-Yo Ma gra dalej; mam wrażenie, że dźwięki fortepianu i wiolonczeli wlewają się w moje żyły jak kroplówki i krew podczas transfuzji. Nagle wzburzoną falą napływają wspomnienia dotychczasowego życia i obrazy tego, jakie może być. Czuję, że za nimi nie nadążam, lecz nie przestają się pojawiać i zderzać ze sobą, aż nie mogę już tego znieść. Aż nie mogę tego wytrzymać ani chwili dłużej.

W oślepiającym błysku pojawia się rozdzierający ból i przenika mnie przez jeden moment; milczący krzyk poranionego ciała. Pierwszy raz czuję, jak niewyobrażalnym cierpieniem będzie pozostanie.

Lecz w tej samej chwili czuję dotyk dłoni Adama. Nie wyobrażam sobie, lecz czuję. Nie siedzę już skulona na krześle. Leżę na plecach w szpitalnym łóżku, ponownie zjednoczona ze swoim ciałem.

Adam płacze i gdzieś w środku ja też płaczę, bo nareszcie powróciło mi czucie. Czuję nie tylko ból fizyczny, lecz ból z powodu straty, głębokiej i tragicznej, pozostawiającej w mojej duszy krater, którego nic nigdy nie wypełni. Czuję także, jak wiele posiadam: zawiera się w tym wszystko, co utraciłam, lecz także wielka niewiadoma: to, co życie może mi jeszcze przynieść. To zbyt wiele. Uczucia piętrzą się, grożąc, że rozsadzą mi pierś. Jedyne sposoby, by przetrwać, to skupić się na dłoni Adama. Trzymającej moją.

Naraz POTRZEBUJĘ go trzymać za rękę, jak nigdy niczego w życiu. Potrzebuję nie tylko czuć jej uścisk, lecz także go odwzajemniać. Każdy pozostały mi okruszek energii posyłam do prawej dłoni. Jestem słaba; to takie trudne. Najtrudniejsza rzecz, jaką muszę zrobić w życiu.

Przywołuję całą miłość, jaką kiedykolwiek czułam, przywołuję całą moc, jaką dali mi babcia i dziadek, Kim, pielęgniarki i Willow. Każde tchnienie, jakie mama, tato i Teddy przesłaliby mi, gdyby mogli. Przywołuję całą swoją siłę, skupiam ją niczym promień lasera na palcach i dłoni prawej ręki. Wyobrażam ją sobie gładzącą po włosach Teddy'ego, trzymającą uniesiony smyczek, splecioną z dłonią Adama.

A potem ją zaciskam.

Omdlewam z wyczerpania, niepewna, czy mi się udało. Ani co to znaczy. Ani czy zostało to zauważone. Czy w ogóle ma znaczenie.

Wtedy jednak czuję, jak Adam zaciska mocniej rękę, aż wydaje mi się, jakby jego uścisk obejmował całe moje ciało. Jak gdyby mógł mnie podnieść ze szpitalnego łóżka. Słyszę, jak gwałtownie

wciąga powietrze, a potem dobiega mnie dźwięk jego głosu.
Pierwszy raz dzisiaj słyszę go naprawdę. Na prawdę słyszę.
– Mia? – pyta.